



# ODGŁOSY

► ALEKSANDER ZAWADZKI — Ziemowit Miedziński ► W MURACH FABRYKI — Jerzy Wilmański ► GŁOS ROBOTNICZY WSZĘDZIE Z TOBĄ! — Lucjusz Włodkowski  
 ► CZAS TO (TYLKO) PIENIĄDZ — Krzysztof Pogorzalec ► AWANTURA O WNUCZKA — Edward Bryl ► W OBRONIE SZTUKI ZAANGAŻOWANEJ — Andrzej Grun ►  
 NA PABIANICKIEJ — Feliks Bąbol ► KONKRETNY REALIZM MIECZYŚLAWA JANIKOWSKIEGO — Jerzy Zagrodzki ► NIEUDANA PODRÓŻ DO ŁÓDZI — Franciszek  
 Lewandowski ► RECENZJE ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► LISTY ► POLEMIKI ►



## GRAŁAM W MARZENIACH NA GITARZE...

Czytaj na str. 16

EDWARD SZUSTER

## INAUGURACJA

(Scenariusz widowiska telewizyjnego)

(FRAGMENTY)

Oświetlenie przystrojona i oświetlona stolówka czy świetlica w trzech czwartych zastawiona stolikami. Przy stolikach pełno; ludzie spoglądają po sobie i na duse nakrycia. Gwar oczekiwania. Batkowska podnosi się ze swego krzesła.

BATKOWSKA — (woła) Kochani! (dzwoni łyżeczką o szklankę) Kochani! Proszę o chwilę ciszy. (po chwili) Zaním zaczniecie jeść i pić.  
 MIKOŁAJ — (siedzi obok Batkowskiej) — Co tu można wypić?  
 BATKOWSKA — Ty już na pewno masz coś z sobą. Już ja cie znam. (śmiech) Nie jesteśmy co prawda na akademii ku czci, ale i nie w barze mlecznym. Pare słów powiedzieć trzeba, bo i okazja jest niezwykła. Batkowska długo gadać nie będzie, ale i zakrzyżać się nie da — dobrze o tym wicie, więc cierpliwie posłuchajcie, a przedź skończcie. Kochani, jesteśmy tu po raz pierwszy, a to coś przecież znaczy. Jesteśmy tu po raz pierwszy i jesteśmy wszyscy razi, że nasza załoga zyskała ten właśnie obiekt, takie miejsce, w którym i urlopu można będzie i na sobotę; niedziela wyskoczyć po trochę powietrza. I dlatego właśnie trzeba, bez kadzenia, ale po sprawiedliwości, podziękować tym wszystkim, których wysiłek sprawił, że mogliśmy się tu snoknąć. (oklaski) A wicie, komu klaszczecie? — Sobie klaszczecie, bo przecież wielu z was dało swą pracę dla adaptacji tego obiektu. A teraz trzeba szczególnie podziękować inicjatorowi tej całej sprawy, koledze dyrektorowi Kowalskiemu...

(Między stolik wchodzi kelnerki z dzbankami na tacach. Jedna z nich zbliża się do stolika Batowskiej)

KELNERKA — Kawa czy herbata?  
 BATKOWSKA — Herbata.

(Stolik Kowalskiego, Kaliny i Wiktora)

KALINA — (do Wiktora) Spójrz! (wskazuje wzrokiem Kowalskiego mechanicznie manipulującego łyżeczką w szklance) Zdaje się, że bohaterowie są zmęczeni.  
 WIKTOR — (do Kowalskiego) Od kiedy to słodzi pan kawę, panie Janie?  
 KOWALSKI — Co takiego?

KALINA — Byłeś nieco za długo nieobecny.  
 KOWALSKI — Przepraszam — zamyśliłem się.  
 WIKTOR — Zdaje się, nie ma pan szczególnej ochoty uczestniczyć w tej imprezie.

KOWALSKI — To prawda. Tak jakoś...  
 KALINA — Nic z tego. Musisz tu być, musisz siedzieć aż do końca. Choćby tylko dla tych, którzy są przekonani, że jest ci z nimi dobrze.

KOWALSKI — Jesteś madra kobieta.  
 KALINA — Nie ułatwia mi to życia. Najwyżej uwalnia od złudzeń.

(Stolik Wandy, Jerzego i Zofii)

WANDA — Lubię tę ciotkę Batkowską. Jeszcze kwadrans temu byłam na nią wkurzona, a teraz z powrotem ją lubię.

JERZY — Skąd ta nagła zmiana?

WANDA — A bo dobrze powiedziała. Należało się Kowalskiemu tych paru słów. Sam wiesz o tym dobrze.

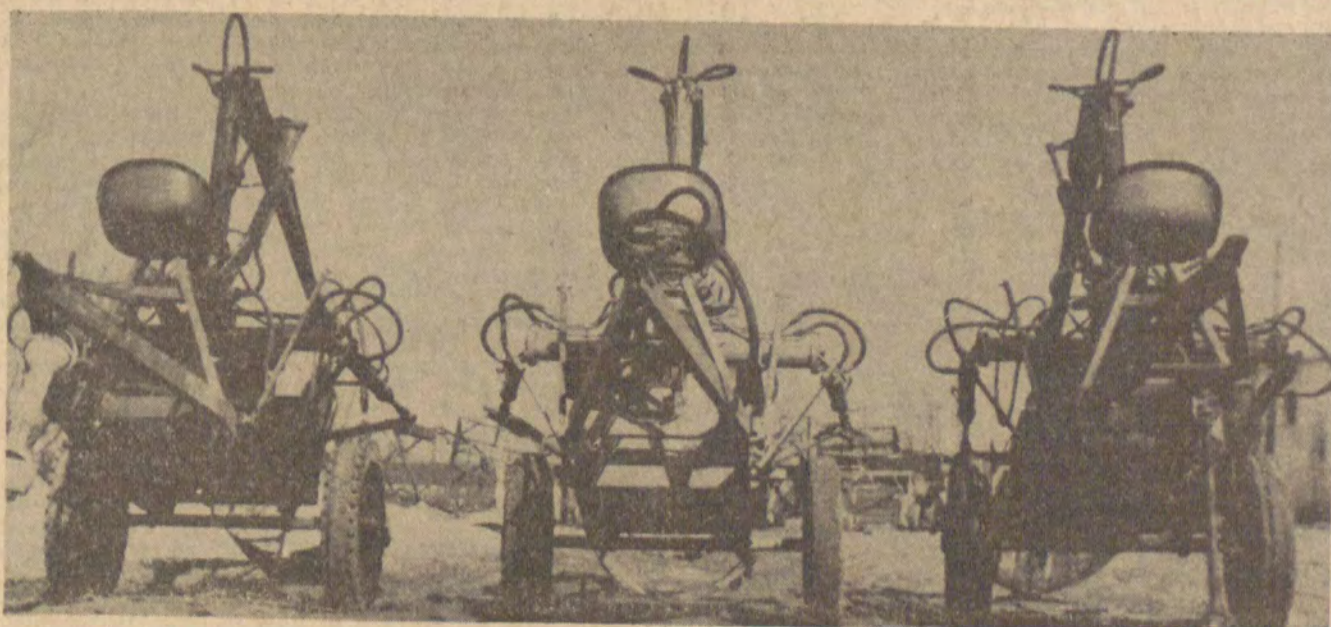
JERZY — Słyszałem, że on ma rzeczywiście osiągnięcia w zakresie, powiedzmy, stosunków międzyludzkich.

(Dalszy ciąg na str. 6)

RYSZARD BINKOWSKI

## NIE DEPTAĆ MAJERANKU

Do Rumunii, gdzie dotąd prowadzono staroegipską młockę „deptaną”, albo „tratowaną”, podczas drugiej wojny światowej żołnierze polscy przynieśli wynalazek cepów, co powinno być przyczynkiem do dumy narodowej, ale nie było, bo jakkolwiek stanowiliśmy kraj typowo rolniczy, to z techniką w rolnictwie i z mechanizacją byliśmy na bakier; dopiero polska rewolucja i późniejszy okres wprowadziły na wieś maszyny, ale i wówczas nie było powodów do prześmiewców z Rumunów, ponieważ na polskich polach zagorzali wrogowie cywilizacji i kolektywizacji rzucali się pod koła traktorów; polała się też krew, bo jak w czasie wykopków nie obeznany z maszyną gospodarz wydłubywał palcami lęty z pracującej kopaczki, ręka zostawała w wirujących stalowych prętach...



Uroczyście stuka trzydziestolecie, wieś się zmechanizowała, lecz nadal obok ciągnących przez zagony siewników, traktorów, kłokoczących skrzydłami snopowiązałek widać pochylonych mozolnie ludzi, wtykających w

dołki, redlinki ziemniaki, wrywających dzbankami bulwy, ścinających liście brukwi, buraków; od takiej roboty ciemne koła tańczą w oczach, trudno wyprostować obolały grzbiet, dobrze, że maszyn mamy coraz wię-

cej, ale przy ich obsłudze trafiają się jeszcze nieszczeniwe wypadki, bo dla BHP i racjonalizacji wieś stanowi wciąż teren dziewiczy.

Dalszy ciąg na str. 4

## SPRAWY KULTURY NA PLENUM KL PZPR

W dniu 3 czerwca odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu Łódzkiego poświęcone sprawom kultury w naszym mieście. W obradach plenum, którym przewodniczył I sekretarz KL tow. Bolesław Koperski, wziął udział sekretarz KC tow. Jerzy Łukaszewicz, który wysoko ocenił poziom przygotowania materiału na plenum, rzetelność i konstruktywność dyskusji w której wzięło udział 22 mówców. Referat programowy oceniający dzień dzisiejszy i perspektywy kultury łódzkiej do roku 1980 wygłosił sekretarz KL tow. Zbigniew Faliński.

W następnym numerze „Odgłosów” zapoznamy naszych Czytelników z programem działania przyjętym na plenum, którego realizacja w przyszłości zagwarantuje w pełni harmonijny rozwój społeczno-gospodarczy naszego miasta.

(JW)

## Po Krajowym Spotkaniu Środowisk Twórczych SPOTKANIE z WARSZAWĄ

Spotkanie czwarte, po Gdańsku, Katowicach, Poznaniu — w Warszawie. Podobne w formie, ale inne — bo w Warszawie. Jedynej i niepowtarzalnej. W Warszawie, która dla każdego Polaka jest wszystkim: symbolem walki i cierpienia, dumy i udręki, żywą historią i wizją przyszłości. Wreszcie tym o czym wiemy, ale nie zawsze uprzytomniamy sobie na co dzień: wielkim, nowoczesnym miastem, jednym z największych w kraju ośrodków gospodarki i przemysłu, promieniującym na cały kraj centrum nauki i kultury.

To ostatnie wrażenie dominowało podczas spotkania ponad 200-osobowej grupy pisarzy, plastyków, aktorów, filmowców, muzyków, dziennikarzy, chociaż organizatorzy nie zapomnieli o łączących uczestników spotkania związkach uczuciowych ze swoją stolicą, gdyż obok nowych osiedli, uczelni i instytucji, zakładów pracy — była okazja do zadumania się przed historycznymi pomnikami pamięci narodowej.

Spotkanie było świetnie zorganizowane, atmosfera przyjazna i gościnna. Program tak ułożony, że każdy z uczestników, nawet tych, którzy są częstymi gośćmi stolicy, mógł znaleźć dla siebie wiele interesujących okazji do poznania Warszawy innej, dotychczas nie znanej. Należało właśnie do tych, których obowiązki zawodowe (ale również potrzeba serca) przyniosły tu często. Tyle że zawsze na te same trasy i miejsca. Teraz było inaczej, zanurzyłem się w te inne miejsca, znane najwyżej z lektur książek, albumów, czasopism, reportaży telewizyjnych.

Gospodarze spotkania proponując poznanie konkretnych programów, nie zapomnieli o informacji syntetycznej. Podczas spotkania z I sekretarzem KW i prezydentem miasta historia, dzień dzisiejszy i przyszłość Warszawy ukazały się nam w przekonującej jedności, wyraziście i optymistycznie. Ten optymizm towarzyszył nam już do końca.

STEGNY — nowe osiedle wzniesione z elementów powstających w fabryce domów. Poznajemy kolejne fazy powstania osiedla od końca, od gotowych już mieszkań. Komentaryj jest wiele: na temat jakości, metrażu, rozkładu, ale w konsekwencji dominuje ton wspólny: w takich mieszkaniach chciałoby się mieszkać. Cale osiedle w obecnym stanie niestety nie szarżuje elewacji, ale wkomponowane jest w teren w sposób świadczący o wyobraźni projektantów, a fakt, że zaplanowano 500 hektarów na teren rekreacji i wypoczynku, wzbudza zrozumiałe uznanie.

W fabryce domów wyjaśniają się pewne wątpliwości. To pierwszy tego typu obiekt w Warszawie i w kraju. Obecnie już może nie najnowocześniejszy, ale — jak stwierdził dyrektor P. Wasylewski — na ówczesne możliwości zakładu, kompletowane wyłącznie z ludźmi młodymi, którzy tu zdobywali całkiem nowy zawód. Fakty są za nimi. Trzy lata temu, kiedy zaczęli, powstało osiem tysięcy izb, w bieżącym roku 18 tys., a w przyszłym „wycisną” jeszcze o dwa tysiące więcej. Proszę popatrzeć jak im „krzywa rośnie”, a tak również jest w pozostałych trzech

fabrykach domów warszawskiego kombinatu budownictwa. Tyle, że fabryka na Stegnach była pierwszą zbudowaną w wyszczególnionym jak największą ilość wybudowanych mieszkań. Dobra praca popłaca. Przekonała się o tym 1300-osobowa załoga po dojeździe do projektowanych mocy przerobowych — minister budownictwa dał na nagrody pół miliona złotych.

HUTA „WARSZAWA” — jeden z czołowych obiektów polskiej metalurgii, huta jakościowa, której znaczny procent wyrobów przeznaczony jest na eksport. Obiekt jeden z najnowszych w kraju, szczególnie jego podstawowe wydziały: walcownia „gorąca” i „zimna”. Ale ucale to nie oznacza, że praca jest tu łatwa. Na stalowni, która jest sercem huty, nie wszystko ze względu na specyfikę procesu technologicznego da się zautomatyzować czy nawet zmechanizować. Przypomina mi to obraz znany doskonale ze starych śląskich hut: monstrum z ognia, dymu, huków, tempa, precyzyjne zgranie wszystkich zespołów ludzkich. Ruch ciągły, na niedzielę nie można wygasić pieców, ale od kilku lat wprowadzono system czterobrygadowy i stalownicy mają swoją „niedzielę” co piąty dzień. Troška o człowieku znalazła na wydziałach gorących swój konkretny wyraz.

O tym myśli się tu nie od dzisiaj. Z rozmowy z dyrektorem huty inż. Adamem Żurkiem i sekretarzem KZ tow. Janem Głucem dowiadujemy się wiele ciekawych rzeczy na temat socjalnych zdobyczy logi. I tutaj również, jak podczas spotkań w wielu innych zakładach i instytucjach prze-

świadczenie, że nie tylko produkcja, nie tylko zakład sam dla siebie. Huta „Warszawa” pomaga Warszawie, we wszystkich i w rozmaity sposób. Pracując społecznie przy budowie Wisłostady, zbierając na odbudowę Zamku Warszawskiego ponad 400 tys. zł, opiekując się wszechstronnie 12 szkołami podstawowymi. Pomagając więc Warszawie, pomagając sobie, zdając sobie sprawę, że partycypatoryzmy zakładowe i dzielnicowe do niczego dobrego nie prowadzą. Dobrem wspólnym jest Warszawa.

Niekiedy pytają mnie, co jako pisarz wynoszę z takich spotkań bezpośrednio dla swej działalności literackiej. Trochę mnie denerwują takie pytania, podobnie jak moich kolegów z pokrewnych branż. Nie w tym rzecz przecież, żeby po przyjeździe z Gdańska, Katowic, Poznania czy Warszawy usiąść do biurka i napisać opowiadanie, powieść, albo żeby malarz stanął przy sztaludze i namalował obraz na podstawie przywiezionych szkiców. Idea tych spotkań, w ramach ogłoszonego przed dwoma laty w Porcie Północnym „sojuszu pracy i sztuki” jest inna, tkwi głębiej. Przyniesie efekty przedzej czy później. Przyniesie na pewno, bo dla każdego twórcy najważniejszy jest багаż doświadczeń, wiedzy, zapis w pamięci, która jest najcenniejszym kapitałem. Nigdy nie wiadomo co z tego może być użyteczne bezpośrednio, ale oczywistością jest fakt, że bez tego doświadczenia — nic godziwego i na miarę potrzeb społeczeństwa stworzyć się nie da.

Swoego kraju można uczyć się na wiele sposobów. I różnie można go kochać, stawiać pracę i pieśnią, wysiłkiem rąk i biegłością pióra. Jest to według mnie ta sama kategoria wysiłku i umiłowania — razem przecież wnosimy jeden, wspólny gmach.

JERZY WAWRZAK

## POMYSŁ SPRZED PÓŁ WIEKU

Pomysł uruchomienia pierwszej wędrowną księgarni na terenie obecnej ziemi łódzkiej zrodził się przed I wojną światową. Postanowił ją założyć księgarz zgierski — Aleksander Lach. Starania u ówczesnych władz o udzielenie koncesji na prowadzenie ruchomej księgarni przerwał jednak wybuch wojny w 1914 r.

Mysł założenia ruchomej księgarni odżyła w pierwszych latach Polski niepodległej. W roku 1923 Aleksander Lach kupił od Kasy Chorych w Łodzi użyty karetkę pogotowia. Po przebudowie wnętrza samochodu powstała autentyczna księgarnia z półkami i ladą. Wydał też dwa katalogi książek. Niektóre książki można było nabywać na raty.

Chcąc podnieść atrakcyjność księgarni, nabył wojskowy, polowy agregat elektryczny z demobilu i projektor filmowy. Tak zaopatrzony zaczął w roku 1924 objeżdżać wsie i miasteczka województwa łódzkiego i terenów do niego przyległych samochodem, na którym widać napis: „Wędrowna Księgarnia Ludowa z kinem A. Lacha”. W dzień sprzedawał książki, zaś wieczorem wyświetlał filmy popularnonaukowe i fabularne. Projekcje filmowe odbywały się w remizach strażackich lub innych pomieszczeniach.

Borykając się z różnymi trudnościami, nie mając znikąd pomocy i poparcia, Aleksander Lach był zmuszony — po przesłaniu rok trwającej działalności w terenie — zlikwidować wędrowną księgarnię z kinem. Tak zakończyły się niedługo dzieje pierwszej na ziemi łódzkiej, a może i w kraju, ruchomej księgarni z ruchomym kinem.

HENRYK SZUBERT

## BŁĄD W SZTUCE BUDOWANIA PIRAMID

Powszechne zainteresowanie budzą zabytki kultury starożytnego Egiptu. Pod egidą UNESCO, z funduszy 16 państw, trwa akcja ratowania świątyni egipskich na wyspie File koło pierwszej katarakty Nilu.

Zainteresowanie i to nie tylko turystów budzą też piramidy. Szczególnie jedna — piramida w Meidum. Do dziś zachowały się jej szczątki. Piramida ta uległa katastrofie, która wydarzyła się przed 4 650 laty. Co było powodem tej katastrofy?

Na pytanie to odpowiedział niedawno w książce, która ukazała się w NRF, niemiecki fizyk — dr Kurt Mendelssohn. Tytuł książki: „Tajemnica piramid”.

Faraon Snofru kazał wybudować trzy piramidy. Pierwszą była to Meidum. Pierwotnie była to piramida stopniowa, ale faraon Snofru nie był z niej zadowolony i kazał przykryć stopnie okładziną z kamienia. Budowniczości tej piramidy dążyli uparcie do jak największego zmniejszenia kosztów budowy piramidy i popełnili błąd przy planowaniu jej przeróbki. Kiedy już niemal całość była na ukończeniu i brakowało tylko kilku metrów do zamknięcia pokrywy piramidy, zerwała się gwałtowna ulewa, ściany piramidy zaczęły trzeszczeć i nastąpiła największa katastrofa w dziejach budownictwa. Pod rumowiskiem ważącym około czterech milionów ton zgineło tysiące robotników, wnoszących te piramidy. Rumowisko zachowało się do dziś.

M. R.

► **NAGRODY I WYRÓŻNIENIA.** W Komitecie do Spraw Radia i Telewizji wręczono doroczne nagrody za twórczość radiową i telewizyjną. Wśród nagradzanych są też twórcy filmu „Profesor na drodze” — reżyser Zbigniew Chmielewski i autor scenariusza i powieści, na te kłóre ten scenariusz oparto — Henryk Czarniecki.

W Urzędzie Rady Ministrów odbyła się uroczystość wręczenia nagród Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży. Nagrodzono również zespół autorów filmu „Przygody Misia Colargola” w składzie: Tadeusz Wilkosz, Lucejan Dembiński, Janina Hartwig, Eugeniusz Ignaciuk, Mieczysław Janik, Maria Kielbaszka, Stanisław Kucner, Jadwiga Kudrzycka, Leszek Nartowski, Marian Sitek, Dariusz Zawilski.

Przyznano doroczne nagrody Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch”. Wśród 38 osób nagrodzonych indywidualnie znalazł się również dotychczasowy dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch”, a obecnie kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KL PZPR — Tadeusz Lewandowski.

Wszystkim nagrodzonym gratulujemy!

► **MIEDZYUCZELNIANY INSTYTUT NAUK SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH** ma powstać w Łodzi. Wniosek w tej sprawie uchwalił kolegium rektorów łódzkich wyższych uczelni.

W wyższych uczelniach Łodzi 36 pracowników naukowych zajmuje się wykładaniem nauk polityczno-społecznych. Z tego 22 pracuje w Uniwersytecie Łódzkim. Stąd też przyszły Międzyuczelniany Instytut Nauk Społeczno-Politycznych mieściłby się przy Uniwersytecie Łódzkim.

Zdaniem rektorów wyższych uczelni w Łodzi taki instytut powinien powstać już w październiku bieżącego roku.

► **JARMARK ŁÓDZKI** — kolejna i już tradycyjna impreza „Dziennika Łódzkiego”. Celem Jarmarku — jak stwierdzają organizatorzy — „jest

nawiązanie do tradycji dawnych jarmarków ludowych w Łodzi, pokazania łódzkiego folkloru, a jednocześnie — zgodnie z zasadą jarmarczno-gospodarczą — możliwość maksymalnego przybliżenia towarów do konsumenta”.

Jarmark Łódzki jest istotnie nawiązaniem do tradycji, gdyż taki przywilej — odbywania jarmarków — ustanowił Władysław Jagiełło, stwierdzając: „... i aby miasta Łódzia tem lepiej i szybciej chciała się osadzać i w wielką liczbę ludności wyrastać, targ... roczny... kładziemy i ustanawiamy, aby był odbywany po wsze czasy...”.

Jarmark Łódzki był miłą imprezą, pożyteczną i cieszył się powodzeniem, choć pogoda była kapryśna.

► **FILMY KANADYJSKIE** po przeglądzie w warszawskim

biorstw, których pracę koordynowało Poznańskie Przedsiębiorstwo Budowlane nr 3.

► **„LUX” DLA WARSZAWY.** Ruszyło się u nas z budownictwem hoteli. Dla Warszawy nowy hotel będzie budowała szwedzka firma „Skanska Cementgjuteriet”. Pierwszy projekt hotelu, który ma stanąć przy pl. Zwycięstwa został odrzucony przez naczelnego architekta Warszawy — Tadeusza Szumielewicza. Powodem odrzucenia była architektura przyszłego hotelu, która nie nawiązywała do istniejącej zabudowy placu. Nowy projekt przygotowali polscy architekci: Andrzej Dzierżawski, Zbigniew Pawelski i Leszek Salomonowicz przy współpracy z nacelnym plastykiem Warszawy — Stanisławem Soczyńskim.

W dalszej fazie przygotow-

cyli sprawom muzealnictwa i ochrony zabytków. Redakcja wyjaśnia, że nie jest to przypadek, iż wybrano właśnie ten problem. „Pierwszą polską placówką kulturalno-oświatową — pisze Jerzy Janitar — powstała na terenie Warmii i Mazur po zakończeniu II wojny światowej było Muzeum Mazurskie”. Muzeum to nawiązywało do tradycji działającego przed wojną w Działdowie i prowadzonego przez małżeństwo Biedrawów, Muzeum Mazurskie w Olsztynie nie tylko gromadziło zabytki kultury i folkloru, ale też prowadziło szeroką działalność oświatową i kulturalną, która stała się podstawą rozwoju kultury tego regionu Polski.

► **GDAŃSKIE LOTNISKO** we Wreszcu hamowało rozwój budownictwa. Po prze-

## NOTY i OPINIE

kinie „Bajka” można będzie od 5 do 11 czerwca obejrzeć w łódzkim kinie „Bałtyk”.

► **„TAKON”** — Międzynarodowe Targi Techniczne w Poznaniu zainicjują się 9 czerwca i będą trwały do 18. W tym roku jesienią odbędą się Międzynarodowe Targi Towarów i Kuchni w Poznaniu wystawia około 30 tys. wystawców z blisko 30 krajów.

► **„POLONEZ”** — hotel na 600 miejsc w 400 pokojach 1 czerwca br. przyjął już gości. Są to w większości goście, którzy zjechali na tegoroczne Międzynarodowe Targi Techniczne „TAKON” w Poznaniu.

Hotel ten zbudowano w 20 miesięcy, a więc trzykrotnie szybciej niż przewidywał cykl normatywny. Głównym projektantem „Poloneza” był mgr inż. arch. Józef Maciejewski. Budowało go 30 przedsię-

wania dokumentacji przyszłego hotelu uczestniczyć będą architekci szwedzcy.

► **W WARSZAWIE** przy budowie podziemnego przejścia u zbiegu ulicy Emilii Plater i Al. Jerozolimskich natrafiono na dwa mocne bunkry, wybudowane tu przez Niemców. Specjaliści z Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych nr 15, którzy budują to przejście, stanęli wobec konieczności wezwania pomocy inżynierów. Okazało się, że nie ma innego sposobu rozkruszenia betonowych ścian. Gdańscy inżynierzy, którzy współpracowali już wielokrotnie z Przedsiębiorstwem Robót Kolejowych nr 15, specjalizują się w wyburzaniu różnych urządzeń i umocnień w szczególnie trudnych warunkach.

► **„WARMIA I MAZURY”** — miesięcznik kulturalny —

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

# ALEKSANDER ZAWADZKI

W roku obecnym mijają dwie rocznice związane z nazwiskiem człowieka, o którym Edward Gierek powiedział:

„Droga życia tego robotnika z Zagłębia Dąbrowskiego była drogą cierpień i zwycięstw. O Śląsku i Zagłębiu pamiętał zawsze. Powracał tu zarówno w misjach politycznych, jak i w mniej oficjalnych okolicznościach. Stąd czerpał siły do dalszej pracy, tu potwierdzał wciąż na nowo przywiązanie do klasy robotniczej, miłość do ziemi rodzinnej i tych wszystkich jej osiągnięć, które dokonywały się również dzięki Niemu, dzięki Jego pracy, dzięki Jego pomocy.”

Mowa tu o ALEKSANDRZE ZAWADZKIM, którego 75 rocznicę urodzin i 10 śmierci, przypadła w bieżącym roku.

Syn rodziny o starych tradycjach hutniczych urodził się w osiedlu Ksawerze, dzisiejszej dzielnicy Dąbrowy Górniczej, 16 grudnia 1899 roku. Jego ojciec pracował jako robotnik w hucie cynku „Pod Będzinem”.

Aleksander Zawadzki przyszedł na świat i wzrastał wśród krajobrazu smutnej i czarnej ziemi, grabionej kapitalistycznym wyzyskiem, który obraz znany jest już tylko z opisów literackich. Stefan Żeromski przedstawił Zagłębie Dąbrowskie oczami przerażonego i wstrząsnętego do głębi humanisty, na łamach „Ludzi bezdomnych”:

„Były tam dzieci robotników z cynkowymi. Wymarzone okazy gatunku ludzkiego, przedwczesni starcy z obliczami trupów i warokiem, który woła o pomoc do nieba. Spoglądali na nich babska paskudne i złe, twarze chorzy, którzy może są, dźwili, że to śmierć nareszcie drzwi uchyla”.

Ziemia nad Czarną Przemszą była miejscem rewolucyjnej działalności wielu wybitnych komunistów, a w ich gronie przede wszystkim Aleksandra Zawadzkiego, Pawła Findera, Bolesława Bieruta. Za pośrednictwem tak wybitnych aktywistów skupionych w obrębie partii marksistowskich: SDKPiL, KPP, wreszcie PPK oraz dzięki oddanej bez reszty sprawie socjalizmu klasie robotniczej, Czerwone Zagłębie mogło zapisać jedną z najpiękniejszych kart w historii ruchu robotniczego w Polsce.

Aleksander Zawadzki wzrastał w atmosferze żywych tradycji rewolucyjnych, ogarniających swym wpływem jego rodzinny region. To właśnie w pobliskiej Nivce pamiętano wybuch pierwszego strajku górniczego w 1891 roku. W roku następnym, kiedy po masakrze proletariatu w Łodzi padło od kul stu robotników, na znak solidarności zastrajkowały w Zagłębiu kopalnie „Renard” w Sielcu, „Andrzej” w Brzeźowicach oraz „Flora” w Golonogu.

Ziemia Aleksandra Zawadzkiego była zatem kolebką polskiego ruchu

rewolucyjnego, wydając całe pokolenia bojowników o wolność narodową i społeczną. A przy tym walka strajkowa, polityczna i militarna w licznych starciach z policją, zbierająca refleksy w potężnych manifestacjach, hartowała się w ogniu kul, wykrywając najsilniejsze charaktery ofiarnych bojowników.

Rewolucyjna i wzniosła przeszłość Czerwonego Zagłębia, wierność ideałom przechodzącym w sztafecie pokoleń, wreszcie współczesne budownictwo socjalistyczne, które przeobraziło i odmieniło w imponującym rozmachu tę ziemię, urzeczywistniając wiekowe marzenia pokoleń proletariackich, stały się główną treścią ogniskującą się najwymowniej w życiu i pracy Aleksandra Zawadzkiego. Wchodził wszakże w skład tej generacji polskich rewolucjonistów, w sercach których jarzył się nigdy nie gasnący płomień poświęcenia za sprawę robotniczą i narodową. Zarliwy patriotyzm nasycał jednocześnie wiarą i ufnością, że prawdziwie wolna i niepodległa może być tylko ludowa i socjalistyczna Polska.

Postawa bojownika o wolność i demokrację formowała się w bezpośrednim zetknięciu ze wszystkimi problemami życia proletariackiego. Z tym ostatnim spotkał się młody Aleksander już w 15 roku życia. Świadomość klasową kształtował w ogniu hutniczych pieców siemianowickiej „Laury” (dzisiejsza „Jedność”) i chorzowskiego „Bismarcka” (obecnie „Batory”). Nieobcy był mu smak potu górniczego, bowiem poznawał go w ciężkim trudzie kopalnianego życia, w trakcie „fedrunku” na szybach „Hohenzollerna”, przemianowanego w 1945 roku na „Szombierki” oraz „Paryża” (aktualnie „Generał Zawadzki”).

Już od wczesnej młodości porwał go w wir pracy społeczna i działalność rewolucyjna w nurcie ruchu komunistycznego. W Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej rozwijał swoją wrażliwość na najżywotniejsze kwestie klasy robotniczej. W połowie roku 1923 należał już do składu Komitetu Centralnego tej organizacji i przez pół roku kierował pracami młodych komunistów okręgu łódzkiego.

Następny szlak polityczny zawiódł go do szkoły partyjnej w Moskwie. Połowe międzywojennego dwudziestolecia przesiedział w więzieniach sądeckich Będzina i Brzeźowic. Razem z nim przebywali także wówczas Julian Leński, Bolesław Bierut, Zenon Nowak.

Na wolność wyszedł po wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny wschodnie. Tam też dopadła go wiadomość o formowaniu się jednostek I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych, przekształconego następnie w I Armię Wojska Polskiego. Aleksander Zawadzki przeszedł wszystkie szczeble stanowisk oficerskich, od porucznika do generała, aby uwieńczyć karierę wojskową funkcją zastępcy naczelnego dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych. W tym samym czasie wszedł

do składu Biura Politycznego Polskiej Partii Robotniczej.

Od pierwszych dni po wyzwoleniu, dokładnie od 21 stycznia 1945 roku, otrzymuje funkcję Pełnomocnika Rządu a następnie pierwszego wojewody



Fot. Archiwum

śląsko-dąbrowskiego, stając na czele najważniejszego odcinka budowy zniszczonego kraju. Organizowanie zrzębów pokojowego życia, wnoszenie fundamentów nowej, ludowej władzy na Śląsku i Zagłębiu, musiało być zadaniem, które nawet z dzisiejszej perspektywy przytłaczało swym ogromem. W dodatku Polacy wracali na zachodnie obszary Śląska po kilkuletniej nieobecności, po okresie spotęgowanym nazistowską nienawiścią i walką w wszelkich przejawami polskości. Jednocześnie narodził się nowy rodzaj władzy polskiej to-

warzyszył jeszcze huk dział operacji militarnych, rozgrywających się w pobliżu Katowic.

Olbrymie doświadczenie, wiedza polityczna i talent organizacyjny generała Aleksandra Zawadzkiego zainicjowały z powodzeniem wielki proces integracyjny całego Śląska, połączony z twórczą organizacją życia gospodarczego i kulturalnego w województwie pełniącym rolę najpotężniejszej dźwigni odbudowy całego, zniszczonego kraju.

W październiku 1948 roku opuścił posterunek śląski, zostawiając piękne i cenne owoce swej działalności oraz serdeczne wspomnienia. Żegnając się z krajanami podzielił się z nimi refleksją:

powierzył mu najszczytniejsze stanowisko przewodniczącego Rady Państwa. Ten urząd piastował aż do śmierci, podobnie jak godność członka Biura Politycznego KC PZPR i pisała oraz przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Całe jego życie przenikało zainteresowaniem a nawet rodzajem fascynacji światem kultury, sztuki i nauki. Jeszcze w swoim okresie katowickim istniała instytucja, popularnie określana mianem „salonu Zawadzkiego”. W jego reprezentacyjnej willi przy ulicy Ligonia w stolicy województwa skupiał się wokół generała krąg literatów, muzyków, plastyków, aktorów i publicystów, prezentujących najnowsze osiągnięcia na polu twórczości. W tej akcji wojewody nie było cienia snobizmu, natomiast uczestnicy spotkań wyczuwali bez trudu ogromną troskę o stały kontakt między wszystkimi środowiskami artystycznymi, aby wśród polemik i dyskusji krystalizowały się podstawy nowej, socjalistycznej estetyki.

Wilhelm Szewczyk zanotował w relacji ze swojej ostatniej rozmowy z generałem w Krynicy wiosną 1964 roku jego życzenie adresowane do ludzi pióra: „Chciałbym przeczytać powieść o tym, jak kształtowała się nasza władza ludowa na wyzwolonych terenach”. Wtedy także, podczas ostatniego już pobytu rekreacyjnego, mocno przy tym schorowany, nie tylko ujawniał tego typu pragnienia, ale poszukiwał ich wytrwale jako ważny czytelnik. Lista książek przeczytanych mogła zaimponować nie jednemu humaniście. Najgoręcej polemizował wówczas po lekturze wspomnień Jerzego Putramenta, zwłaszcza tomu z doby wojennej.

Aleksander Zawadzki był przykładem nie tylko wielkiej pracowitości, ale symbolem oddania wszystkich sił umysłowej sprawie, to jest aktywności na rzecz ojczyzny. Nawet w okresie ciężkiej choroby uczestniczył w życiu partyjnym i państwowym. Niezwykła siła woli pozwoliła mu wygłosić w przeddzień jubileuszu 20-lecia PRL, 21 lipca 1964 roku oświadczenie przygotowane przemówienie, które przetrwało w formie testamentu:

„Serca nasze przepelnione są dziś uczuciem dumy z osiągnięć uzyskanych w ubiegłym dwudziestolecu, zarazem pełnił powagi myślimy o nowych dniach i latach, w trosce o to, by dalszy nasz trud był jeszcze bardziej wydajny, aby jak najlepiej zrealizować wytyczne uchwały IV Zjazdu Partii, realizować program Frontu Jedności Narodu — dla wzrostu siły naszej socjalistycznej Ojczyzny, dla pomysłowości i dobrobytu naszego narodu i jego młodych pokoleń.”

Kiedy zmarł po kilkunastu dniach, 7 sierpnia 1964 smutek zapanował nie tylko w jego rodzinnym Zagłębiu. Imię jego przybrała na patrona kopalnia węgla kamiennego w Dąbrowie Górniczej, statek Polskich Linii Oceanicznych, ponad sto szkół rozslanych po całym kraju.

Aleksander Zawadzki był zasłużonym komunistą i żołnierzem, toteż w powojennym krajobrazie politycznym jawił się jako postać niezwykle i niezapomniana.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

## oko na gospodarke

### CZAS TO (TYLKO) PIENIĄDZ?

Mierzenie czasu to jak się okazuje, nie tylko zadanie zegarków. W jednym z numerów „Trybuny Ludu” znalazłem takie ciekawe liczby:

- każdego dnia polskie górnictwo wydobywa około 400 tys. ton węgla;
- wytwarza niemal 200 mln kWh energii elektrycznej;
- wtapia się ponad 35 tys. ton stali;
- z taśm montażowych zjeżdża średnio biorąc 300 samochodów osobowych;
- wreszcie — to specjalnie ku uwadze rodzimych — przemysł włókienniczy produkuje ponad 3,3 mln metrów rozmaitych tkanin.

Tyle jeśli chodzi o sferę produkcji, a przecież do tego koniecznie należy doliczyć choćby jeszcze takie niebagatelne pozycje jak 1,2 mld zł — za taką sumę nasz handel wewnętrzny sprzedaje każdego dnia różnych towarów, no i 10 mln dolarów, które stanowią wartość dziennego eksportu polskich placówek handlu zagranicznego.

Już tylko te liczby mówią bardzo wiele o wartości społecznie wydatkowanego czasu, a przecież to tylko niepełny bilans wartości czasu mierzonego pracą zamienioną w konkretny produkt, a ten — w złotówki. To

tylko fragment, bowiem batalia toczy się na wielu płaszczyznach, gdzie czas może i ma jeszcze bardziej liczącą się cenę. Weźmy tylko dla przykładu inwestycje.

W bieżącym pięcioletnim zamierzamy na ten cel wydać kwotę przekraczającą 1,5 biliona złotych, co oznacza, że średnio każdego dnia lokujemy w inwestycjach 800 mln zł!

A więc czas to nie tylko wymierna wartość dająca się wyliczyć w złotych, lecz ma on swoją wagę społeczną, właśnie celów do których zmierzamy.

Czy jednak rzeczywiście umiemy go w każdym przypadku cenić, czy rozumujemy jego wagę? Wiele już straszy i farb drukarskiej zużyto na wskazywanie rozmaitych niedomagań w naszym życiu gospodarczym, które skracają nasz krok w rozwoju ekonomicznym. Niewątpliwie do takich problemów ciągle należy sprawa właściwego modelu organizacyjnego, wytworzenia takich mechanizmów, które niejako automatycznie gwarantują odpowiednią rytmiczność i dynamikę produkcji, zachęcają — także materialnie — do zwiększonego, twórczego wysiłku maszyn i ludzi. Chodzi o nie innego jak o taki model, w którym inicjatywa jednych nie byłaby przekreślana indolencją drugich. A tak, niestety,

może być i tu i ówdzie jeszcze jest. Cóż bowiem z tego, że zakład „X” jest w stanie, dzięki lepszym zorganizowaniu produkcji, wytworzyć więcej bluzek czy ubrań, jeśli jego kooperant nie dostarczy na czas dodatkowych ilości zamków błyskawicznych czy guzików. Jeśli te dwa elementy postępu organizacyjnego nie zostaną odpowiednio ze sobą zsynchronizowane?

Jeśli mamy odrobić dystans dzielący nasz kraj od organizmów techniczno-ekonomicznych najbardziej rozwiniętych, to nie tylko trzeba nam wydatkować setki milionów złotych, spora część doходу narodowego na badania naukowe, ale przede wszystkim należy zadbać o to, by znikłe biurokratyczne przeszkody i papierkowe bariery hamujące przeobrażenia, a właściwa organizacja pracy była decydującym elementem w ocenie umiejętności i zdolności, a także przydatności kadry kierowniczej.

Jeśli już mówimy o postępie technicznym i organizacyjnym... Prof. Marian Mazur w swojej „Historii naturalnej polskiego naukowca” podaje, że tzw. „czas wdrożenia” w przypadku jakiegoś wynalazku czy pomysłu sięga w naszym kraju 3-4 lat, a bywa, że i wydłuża się on do 5 lat. A przecież jesteśmy narodem zdolnym,

potrafiącym zaskakiwać wiele innych nacji niebagatelnymi rozwiązaniami na światową skalę o czym świadczy choćby dowodnie nasze sukcesy w budowie komputerów kolejnych, coraz to dalszych generacji. Tylko znowu ten czas: od projektu — do dzieła. Tak, wielkie i małe sprawy liczą się w tym wysiłku z czasem i to trzeba sobie koniecznie uświadomić. Niedawno „Trybuna Ludu” podała jako przykład marnotrawienia wolnego od pracy czasu — niedomagania komunikacji miejskiej, wskutek których dojazd z miejsca pracy do domu i na odwrót pochłania godzinę, a niekiedy i więcej. Ile kosztuje więc ten czas?

Musimy ciągle liczyć. Musimy patrzeć na to zjawisko z całą rozważą potrafiamy zaskakiwać wiele innych właśnie znając jego wartość. Dr Stanisław Czajka na ostatnim zjeździe polskich ekonomistów, analizując czynniki, które jego zdaniem mogą przyspieszyć bądź hamować „krok” naszej gospodarki powiedział m.in.

„Nowoczesne społeczeństwo musi w coraz większym stopniu umieć liczyć i to nie tylko rezerwy mocy urządzeń, paliw, surowców, ale również rezerwy tkwiące w czynniku ludzkim, bo one dziś są w największym stopniu nie wykorzystane w wielu przedsiębiorstwach. Czynnikiem bowiem jest występująca w dużej części zakładów nadmierna fluktuacja siegająca 60 proc. zatoru! Mamy całe galezie gospodarki, gdzie to zjawisko w skali rocznej sięga 30-35 proc. osłabła zatrudnienia. Równocześnie z różnego rodzaju badań wynika, że na każdych 100 zmieniających miejsce pracy, 60 pozostaje na nie ze względu — jak by się to mogło wydawać — na plać, ale z powodu wadliwej funkcjonalnego systemu organizacji pracy, metod kierowania, a także na niezadowolające stosunki międzyludzkie”.

Znowu wartość czasu. Wartość czasu, który przecieka nam przez palce.

Nie sądzę jednak, że taką kategorię jak czas można i należy rozpatrywać wyłącznie w kategoriach ekonomicznych, przyznajmy, że dla wielu zjadaczy chleba naszego powszedniego — dosyć mimo wszystko abstrakcyjnych. Z miejsca sięgam więc do niezmiernie ciekawych wniosków badań przeprowadzonych niedawno przez Główny Urząd Statystyczny, a z nich dowiadujemy się, że przeciętny obywatel naszego kraju przeznacza:

- 8 godzin — na pracę zawodową;
- 1 godz 5 min. — na dojazdy do i z pracy;
- 5 godz. 17 min. — na zajęcia domowe;
- 2 godz. 33 min. — na tzw. czas wolny dla siebie;
- 6 godz. 45 min. — na sen.

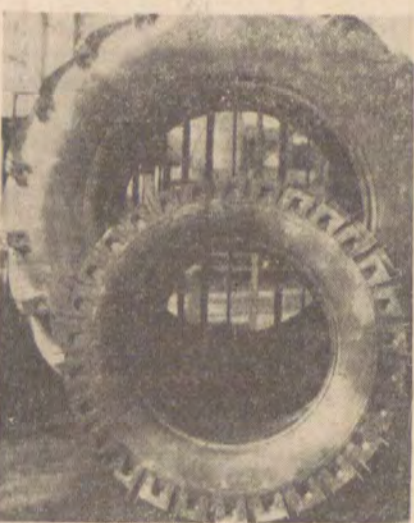
Statystyka jak każda jest tylko pewną wypadkową sytuacji, ale nawet i te liczby wskazują, że ciągle nie doceniamy wartości ludzkiego czasu, który przecież jest nie tylko sumą godzin, ale także możliwości wypoczynku, kształcenia się, zdobywania nowych horyzontów w dziedzinie kultury i oświaty, a także po prostu zwyczajnie regeneracji sił. Nie jest przecież przypadkiem, że w grupie osób, które mają bardzo trudne warunki dojazdu do pracy, następnie powrotu do domu, stwierdzono występowanie bardzo licznych schorzeń nerwicowych, przewodu pokarmowego, utyskiwania na stany depresji i zniechęcenia.

Ile więc kosztuje czas? Musimy się nauczyć go bardzo ściśle liczyć, a jeszcze bardziej zyczajnie cenić.

KRYSZTOF POGORZELEC

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Dobrze więc się stało, że od pewnego czasu za pośrednictwem prasy codziennej i radia oraz afiszów wywieszanych w wiejskich, gminnych i powiatowych urzędach pocztowych, w spółdzielniach młeczarskich i Państwowych Ośrodkach Maszynowych rozpoczęto popularyzowanie konkursu na najlepszego, młodzieżowego racjonalizatora — rolnika, gospodarującego indywidualnie, zorganizowanego przez Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej oraz Wojewódzki Klub Techniki i Racjonalizacji w Łodzi. Pierwszy taki konkurs i jedyny, jak dotąd, w kraju mamy już za sobą; przyczynił się on do popularyzacji ruchu wynalazczego wśród młodzieży i doprowadził do powstania w gospodarstwach projektów typu racjonalizatorskiego ułatwiających codzienną pracę, zmniejszających poprzez mechanizację ciężkich, pracochłonnych czynności wysiłek rolnika, zwiększających możliwości hodowlane oraz podnoszących warunki bezpieczeństwa i higieny pracy.



Fot. Włodzimierz Parys

— Zwróciłem się do przewodniczących Klubów Techniki i Racjonalizacji przy POM — mówi sekretarz WKTiR, Wacław Kulpiński — które udzieliły pomocy i poradnictwa młodym rolnikom mającym trudności w opracowaniu projektów. Ponieważ większość z nich miała wyłącznie charakter zgłoszeń i pomysłów, bez należytego opracowania, wysłaliśmy

do rolników specjalistów, którzy udzielili na miejscu pomocy w sporządzeniu dokumentacji technicznej oraz wykonali szereg zdjęć dokumentujących projekty.

## NIE DEPTAĆ MAJERANKU

— Jaki był płon konkursu?  
— Projekty zgłoszone na ten konkurs odbiegały nieco od rozwiązań nadesłanych w ubiegłym roku, dotyczyły bowiem zmechanizowania szeregu uciążliwych i pracochłonnych czynności oraz miały duży wpływ na usprawnienie niektórych prac plantatorskich, mniej natomiast usprawniały pracę związaną z hodowlą. Ogółem napłynęło 19 nowych rozwiązań technicznych, których autorami jest siedmiu młodych rolników.

— To znaczy, że młodzi rolnicy zgłaszali po kilka projektów naraz?  
— Tak, przykładem może tu być młody rolnik z Krężelewic, pow. Łęczyca, Władysław Fornalczyk, który przedstawił następujące wnioski: przystosowanie motocykla do eksploatacji w okresie zimowym, czyli rewelacyjne „sanki motorowe pojedyncze”, pojazd „Roweroped”, uniwersalny traktor dla gospodarstw rolnych, przeznaczony do wykonywania lżejszych, lecz pracochłonnych prac polowych, ulepszenie konstrukcji maski do spawania, urządzenie mechanizujące prace polowe „Opiełacz motorowy” oraz urządzenie do obcinania liści buraków.

— Fornalczyk był najlepszy?  
— Nie, pierwszą nagrodę przyznał zespół racjonalizatorów ze wsi Bartochów, pow. Sieradz. To taka rodzina plantatorska: Zygmunt Kaźmierski, Marian Kaźmierski i Ryszard Szczepaniak. Pan wie, co to jest majeranek?

— Używa się go do przypraw.  
— Uprawna bylina, proszę pana, z rodziny wargowych, tworzy małe krzaczki, po wysuszeniu — przyprawa. O tym ostatnim wie każda gospodyni, ale mało kto orientuje się, jak pracochłonna jest uprawa majeranku...

— Aby mnie o tym przekonać, Kulpiński przeszedł do wystawki fotograficznej przedstawiających projekty racjonalizatorskich pomysłów.

— Oto sadzenie, albo też sianie majeranku — pokazuje zdjęcie — tysiące nasion trzeba żmudnie wpychać w ziemię. A to siewnik dwurzędowy do mechanicznego siania majeranku z urządzeniem do wciskania w glebę. Proszę zauważyć, że większość maszyn, a więc i ten siewnik, wykonano z urządzeń już istniejących, głównie z części motocykli. W siew-

niczku wykorzystano koła od roweru i kółka od wózka dzieciennego.  
Przy sprężeniu majeranku często posługiwano się sierpem, aby wyciąć każdy krzaczek; ci z Bartochowa

skonstruowali „Antosika-1”, maszynę do cięcia i zbioru majeranku, z możliwością dostosowania do ścięcia trawy, bo urządzenie posiada także mały transporter, niosący ścięte krzaczki na wóz.

A teraz niech pan popatrzy na tego chłopca, przedepiującego z nogi na nogę. Ten „deptany” taniec to dotychczasowy omlot majeranku. Nikt już nie będzie majeranku deptać, bo ta konstrukcja z rur, kółek, zwana „Majeranką”, to maszyna do otarcia i czyszczenia byliny. W przemyśle zawsze się przelicza na złotówki korzyści, jakie daje nowe urządzenie. Projekty racjonalizatorów z Bartochowa zastępują pracę ręczną 20 ludzi; jeśli wysokość dniówki ustalimy na 150 zł, to dziennie wychodzi 3000 oszczędzonych złotych, a ile jest takich dni w roku?...

Chodzę po tej wystawie i odkrywam coraz to ciekawsze sposoby ułatwiania pracy rolnika. Każdy, kto kiedykolwiek był na wsi, orientuje się, jak trzeba się naharować przy wywózce obornika; wyrzucanie z obory na podwórko, z podwórka na wóz itd; albo przeciągający się w tygodnie zbiór buraków, kiedy trzeba ścinać liście, wyciągać bulwy z ziemi. Być może te czynności należą do przeszłości, bo na zdjęciu widzimy transporter do obornika (poruszany energią elektryczną), który można wstawić w drzwi lub okno i obornik spada prosto na wóz; niewątpliwym osiągnięciem racjonalizatorskim jest też kombajn do wyredania buraków z jednoczesnym obcinaniem liści i załadunkiem.

Na jednym z zdjęć dostrzegam pomyslowo skonstruowaną pompę do gnojówki. Zwierzam się Kulpińskiemu, że taką pompę, niedostępną w sprzedaży, widziałem już pod Wieruszowem w gospodarstwie młodego rolnika, Jana Gaja, o którym będę jeszcze pisał. Widziałem tam też mały żelazny piecyk z pięcioma rurami; jedną odprowadza się dym, a czterema, przy minimalnym zużyciu paliwa, ogrzewa się pomieszczenie.

— Sąd wniosek — mówi Kulpiński — że akcja konkursowa jeszcze nie wszędzie dotarła.

— Może by więc urządzać wystawy tych pomysłów racjonalizator-

skich, np. podczas dożynek powiatowych? Ludzie zaczęli oglądać ze wszystkich stron, kombinować, oceniać przydatność we własnym gospodarstwie.

— Myślmy i o tym, bo gra jest warta świeczki, zwłaszcza, że pomysły młodych rolników zainteresował się Departament Mechanizacji Ministerstwa Rolnictwa i Przemysłu Maszynowego. Wydaje mi się, że warto wprowadzić do produkcji dla mnie osobiście rewelacyjny projekt małego kombajnu zbożowego, zamontowane-



Fot. Włodzimierz Parys

go w charakterze przyręczy do motocykla! Taki kombajn nie kosztuje 300 tys. zł, a jedynie 60 tys.

Kulpiński mówi o konkursie z entuzjazmem i trudno mu się dziwić, bo postęp w rolnictwie to przecież sprawa niebagatelna, zwłaszcza w obecnej sytuacji żywnościowej na świecie. Myślę, że do tego konkursu należy wciągnąć wszystkich ludzi ze wsi, mających coś wspólnego z techniką: młodych pracowników Spółdzielczych Kółek Rolniczych, Młodzieżowych Baz Maszynowych, Kółek Rolniczych, Państwowych Ośrodków Maszynowych itp.

Bo usprawnić, i to we wszystkich gałęziach rolnictwa, hodowli, sadownictwa, leśnictwa, potrzeba jeszcze wiele. Dla przykładu: zastosowanie energii elektrycznej do poruszania plugów, urządzenia do ochrony przed kurzem, usprawnienia opryskiwania i zraszania roślin, maszyny do wrywania marchwi, pietruszki, szklarnie

przenośne lub przewoźne, przyrządy do niszczenia i wrywania chwastów itp.

Aby jednak racjonalizacja na wsi ruszyła do przodu, racjonalizatorom należy stworzyć warunki odpowiadające tym, jakie stwarza się w przemyśle. Muszą oni znać zarówno swoje obowiązki, jak i prawa, które zostały już opracowane i pomieszczone w „Informatorze Młodego Rolnika-Racjonalizatora”, wydanym przez WKTiR w Łodzi.

Ruch wynalazczy i racjonalizatorski powinien, ze względu na znaczenie dla kraju, budzić szacunek i zasługiwać na powszechną akceptację. Większość młodych racjonalizatorów boryka się z trudnościami, nie zawsze bowiem stać ich na urzeczywistnienie własnych pomysłów ze względu na brak zaplecza, materiałów i funduszy, dlatego też należy im się wszechstronna pomoc ze strony prowadzących działalność techniczną in-

stytucji i zakładów pracy na wsi.

Wiadomo mi, że twórcom rozwiązań oryginalnych, mogących stanowić przedmiot wynalazku lub wzoru użytkowego, ZW ZSMW i WKTiR udzielają pomocy w zabezpieczeniu praw autorskich, dokonują na własny koszt opracowania dokumentacji i przesyłają rozwiązania w imieniu wnioskodawcy do Urzędu Patentowego PRL.

Takiej inicjatywy należy przykłaść. Mechanizacja i racjonalizacja mogą w przyszłości doprowadzić do tego, że 8-godzinny dzień pracy w fabryce nie będzie przeciwstawiany harówce od świtu do nocy w gospodarstwie; skrócenie tego dnia na wsi, zmniejszenie uciążliwości pracy rolnika to gwarancja zatrzymania, mimo stwarzania coraz korzystniejszych warunków, trwałej jeszcze ucieczki młodych ludzi do miasta.

RYSZARD BINKOWSKI

## NIEUDANA WYPRAWA DO ŁODZI

Jakie były związki Bolesława Prusa z Łodzią? Aby odpowiedzieć na te i inne pytania, zwiędziałem kilka bibliotek, przewertowałem szereg roczników pism łódzkich, z tych czasów, w których żył i działał Bolesław Prus. Znalazłem garść informacji, które pokazują mało znane sprawy z twórczości tego pisarza.

Matka pisarza, Apollonia Glowacka, pochodziła ze znanej na Ziemi Łęczyckiej rodziny Trembińskich. Natomiast herbem Prus, który pisarz przybrał na stałe jako drugie swoje nazwisko, pieczętowała się rodzina Glowackich, pochodząca z nie istniejących już dziś Glowaczewic w Ziemi Sieradzkiej.

Bolesław Prus był nie tylko wybitnym pisarzem, ale także świetnym dziennikarzem. Właśnie w dziennikarskich „Kronikach”, pisanych nieraz z zacięciem satyrycznym, poruszał problemy, dotyczące ówczesnego Królestwa Polskiego. Znalazłem w „Kronikach” kilkanaście pozycji, mówiących o Łodzi i o regionie łódzkim. Dla przykładu:

1 MARCA 1876:

„Kilku obywateli miasta Łodzi udali się z prośbą do jaśnie wielmożnego general-gubernatora i jaśnie wielmożnego kuratora o stworzenie w tym mieście wyższego zakładu technologicznego. Wypadek ten zaalarmował czujność „Gazety Kieleckiej” i kilka pism warszawskich z których każde, rozumie się, zalecało swoją parafię i upominano się, aby w Kielecach lub w Warszawie, nie zaś gdzie indziej, umieszczono szkołę technologiczną. Co do nas, sądzimy, że walka o to

Jabiko Parysa toczyć się może tylko między Warszawą a Łodzią. Pierwszą parafię dostarczył utrzymanie pewnej liczby ludzi młodych i ubogich, posiadała fabryki i gabinety, druga posiadała również fabryki, a bogaci ich właściciele mogli by dostarczyć zajęcia kształcącej się młodzieży. Lecz przypuściwszy, że okoliczności powyższe z jednakową siłą przemawiają za obu miastami, to Łódź ma za sobą jeszcze pierwszeństwo projektu, jej bowiem obywatele, nie zaś warszawiaczy, wysłali deputację do władz z prośbą o fundowanie szkoły.”

27 STYCZNIA 1884 r.:

„W sławnej z przemysłu Łodzi brakuje stolarzy, ślusarzy, piekarzy, rzemieślników. Trzeba gwałtem postarać się o wywołanie wśród naszych rzemieślników jakiegoś ruchu umysłowego i towarzyskiego, przyciągnąć do nich inteligencję krajową. W przeciwnym razie wcześniej lub później rzemieślnicy ostatecznie upadną a dzisiejsi majstrowie staną się wyrobnikami, a ich miejsce zajmą Niemcy, Francuzi, Anglijcy i Szwedzi...”

15 GRUDNIA 1874 r.:

„General gubernator Królestwa, zwiędzając gubernie, rozmawiał z miejscowymi obywatelami, zapytując ich o dobrobyt i potrzeby okolicy. Jakże tam bywały odpowiedzi, ach! Za najważniejsze kwestie uważano ograniczenie kontrabandy wódki, tudzież urządzenie wielkiej obławy na wilki. Reprezentanci stanu miejskiego i kupieckiego prosili tylko o otwarcie reursy, gdzie by można urządzać demokratyczne bały i zab-

wy, to znaczy — bez ceremonii, fraków i sukien balowych. Jedno tylko miasto Piotrków wiedziało co odpowiedzieć i zażądało: szkoły realnej, filii Banku Polskiego, kasy wkładowo-zaliczkowej i trybunału cywilnego”.

1 LUTEGO 1879 r.:

„W naszym kraju ukazał się diabeł. Tak jest, żywy diabeł we fraku, z ogonem — jak należy. Praktykuje on w okolicach Radomska — pomimo obławy, która nań urządził obywatel ziemski i jeomeira, uzbrojeni w dubelówki, tudzież cięśla, opatrzeni toporem. Pewnej nocy waleczna ta trójka zapoławiała na diabła w jego obecnym legowisku. Zły duch nie ułakł się, zaszedł im drogę i naraził się na cztery bardzo głośne wyrzuty z odległości 20 kroków. Potem nastąpił atak bronią białą. Ponieważ jednak cięśla równie biegle władał toporem, jak obywatel ziemski i jeomeira dubelówkami, diabeł więc nie tknięty, przencował na zdobytym pobojowisku, a jego przeciwnicy wykonali szereg ruchów strategicznych, które umożliwiły im przesłanie do gazet autentycznych wiadomości o istnieniu pokurca pod Radomskiem. W tej sprawie gorzej mnie jedna rzecz. Dlaczego, u paratusza, panowie ci, żyjący przecież w epoce powszechnej gołizny, zamiast odstraszać, nie zapytali diabła: czyby nie pożyczyl pieniędzy na zastaw kilku dusz biednych grzeszników?...”

Na wiadomość o wybuchu w Łodzi rewolucji 1905 r. zamieszcza specjalny artykuł na pierwszym kolumnie pierwszego numeru czasopisma „Młodość”. Czytamy w nim m. in.:

„Byłem stanowczym przeciwnikiem ruchów rewolucyjnych, a nade wszystko strajków. W szczególności zaś zdoby to zależało ode mnie, głosowałbym przeciw jakimkolwiek „nieporządkom” u nas, z obawy, ażeby nasze niepokoję nie skłoniły rządu do ogłoszenia wojny świętej przeciw „polskim buntownikom”, wojny, która cały naród mogłaby zjednoczyć z burkością przeciw nam, zakończyć się reakcją dla Rosji, a dla nas... zhyba więzieniem... Otóż, myśląc tak, myliłem się... z największym zadowoleniem przyznałem to — myliłem się!... Wbrew moim bardzo stanowczym mniemaniom, wybuchła rewolucja. Najważniejszą rolę odegrało w niej bezrobocie i w dodatku powszechne. Mnie „wiek zamroczył, chybał ku ziemi poradone czoło...”, a oni „wzbivszy się nad poziom” mają dziś prawo zawołać: „Dalej było z posad świata! Nowymi się pełniemy tory, aż opłenił się zbyszy się kory, Zielone przypomnisz lata...”

W „Kurierze Warszawskim” z 22 maja 1880 r. znalazłem interesujący reportaż Bolesława Prusa pt. „Osada w Studzieniu”. Pisarz opisuje, jak z okazji pobytu w Skierniewickim, zwiędził zakład dla nieletnich przestępców. Reportaż swój kończy apelem do społeczeństwa polskiego o poparcie finansowe zakładu wychowawczego.

W „Gońcu Łódzkim” z 7 sierpnia 1899 r. wyczytałem taką notatkę:

„Znakomity autor „Lalki” i „Faraona”, Bolesław Prus, przyjeżdża do naszego miasta w tych dniach i zamieszka przez kilka tygodni w prywatnie wynajętym mieszkaniu”.

Wiadomość tę powtarzają następnie inne pisma. Potem jednak ani prasa łódzka, ani warszawska, nie zamieszcza żadnej wzmianki o pobycie pisarza w Łodzi. Jak widać z tego, podróż ta nie doszła do skutku.

Bolesław Prus nigdy do Łodzi nie przyjechał. To prawda. Przez całe swe życie przebywał w Warszawie, a w miesiącach letnich jeździł na wypoczynek do Nałęczowa.

\* \* \*

Przed 60 laty — w 1904 r., redakcja łódzkiego dziennika „Rozwój” ogłosiła konkurs im. B. Prusa na nowelę. Przypadało wtedy właśnie 25-lecie wydania „Placówki”. Dla uczestników konkursu przewidziano dwie nagrody: jedną Prusa, a drugą czytelników. Pisarz jednak nie chciał sam decydować, zrzekł się prawa do przyznania pierwszej nagrody i oddał decyzję w ręce samych czytelników „Rozwoju”. Na podstawie nadesłanych propozycji, jury w 1906 roku przyznało pierwszą nagrodę Zofii Libiszowskiej za nowelę „Pociąg”, a drugą Henrykowi Majkowskemu za opowiadanie „Na czwartaku”. Bolesław Prus przejrzał nagrodzone nowele i potwierdził słuszną decyzję czytelników. Kim była zdobywczyni pierwszej



BOLESŁAW PRUS po 1890 roku (Reprodukcja z „Tygodnika Ilustrowanego” — 1912 r.)

nagrody — powiedziała mi imienniczka laureatki, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, dr Zofia Libiszowska.

— Po raz pierwszy do Łodzi wraz z mężem przybyłam po zakończeniu wojny — w 1945 r. Interesowałam się ludźmi, noszącymi moje nazwisko. Lecz takich w Łodzi nie znalazłam. Dowiedziałam się tylko, że przed sześćdziesięciu kilku laty była w Łodzi kobieta o podobnym imieniu i nazwisku. Pochodziła z domu Bader, rodziny pochodzenia niemieckiego, ale całkowicie spolszczonej. Po wyjściu za mąż zmieniła nazwisko. Była wybitnym pedagogiem, nauczycielem i kierownikiem, a zarazem właścicielką prywatnej pensji — szkoły żeńskiej przy ul. Piotrkowskiej. Była to pierwsza łódzka szkoła, która w 1905 r. przeszła na polski język wykładowy. Cieszyła się opinią najlepszej średniej szkoły żeńskiej. Libiszowska zmarła w Łodzi w latach międzywojennych i tu została pochowana, prawdopodobnie na cmentarzu przy ulicy Ogrodowej.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Za tymi murami kryje się tak wiele; w tych murach zaklęta jest nie tylko historia miasta, ale losy ludzi, dzieje przemysłu — cały bez mała burzliwy wiek dziewiętnasty. Łódzkie fabryki — czerwone i białe skrynie tkalni i przędzalni. Czerwone i białe — dziś można z tych barw ukuć symbol tego polskiego miasta. Polskiego wbrew bajaniom o niemieckości grodu nad Łódką. I choć rzuca się w oczy miążdząca przewaga niemieckich i żydowskich nazwisk przywiązanych do tych murów, to przecież ta realna siła, która wzniosła owe monumentalne budowle, była siłą mięśni polskich chłopów i robotników.

I choć przypadek czy architektoniczna moda zdecydowały o tym, że budownictwo przemysłowe Łodzi podzielić można na „białe” i „czerwone”, to dziś możemy uznać ten zbieg okoliczności za symbol polskiego trydu, dzięki któremu wzniesiono to miasto. Kapitał był niemiecki — ręce polskie. A zresztą i ten kapitał był niemiecki tylko w sensie własnościowym — ten kapitał wypracowały w ciężkim, morderczym trudzie ręce polskich robotników.

Irena Popławska pisze, że „ogromne, ciężkie bloki czerwonych murów fabrycznych, potężne wieże, monumentalne bramy i wysokie kominy nadawały miastu surowe i ponure piętno”.

I pisze Władysław Reymont:

„Domy, pałace podobne do zamków włoskich, w których były składy bawełny, zwykłe pudła murywane o trzech piętach, poobdzierane z tynków domy stłowe o złoconych balkonach żelaznych barocco, powymiarane, wdzierające się pełne amorków we frzazach i nad oknami, przez które było widać szeregi warsztatów tkackich, małe drewniane domki o zielonych omszonych dachach, za którymi wznosiły się w dziedzińcach potężne kominy i korpusy fabryk tully się do boku pałacu, o ciężkim renesansowo-berlińskim stylu... o dwóch bocznych pawilonach zakończonych wieżami i rozdzierającą żelazną kratą, za którą w głębi wznosiły się kolosalne mury fabryki, domy ogromem i wspaniałością podobne do muzeów, a które były składami gotowego towaru”.

Powtarzają się w tych zdaniach słowa „monumentalne”, „kolosalne”. Możemy sobie wyobrazić ogrom fabrycznych gmachów na tle starej parterowej Łodzi — jeśli nawet dziś stajemy przytłoczeni i zaurczeni ogromem czerwonych murów przędzalni Poznańskiego i płaszczyzną białych ścian geyrowskiej tkalni.

2.

W roku 1835 Ludwik Geyer pisze do cara Mikołaja I: „upiększyłem miasto Łódź wspaniałymi gmachami i doprowadziłem to miasto do rzędu podrzędnych miast Królestwa...”

Nieważne, że w tym piśmie do cara chodziło o kupno folwarku, którego mu w Łodzi sprzedać nie chciało. Ale ten ton — upiększyłem, doprowadziłem.

W gruncie rzeczy ten przyszły potentat przybył do Łodzi z dość nędznym dobytkiem i dopiero tu, w „zie-

mi obiecanej” zrobił fortunę rękoma polskich robotników.

A jednak — dziś po latach — niezależnie od ponurej i dość podejrzanej kariery Geyera — te gmachy, które powstały za jego sprawą nadają miastu charakter i tworzą klimat łódzkiej architektury. W geyrowskiej „białej fabryce” mieści się Muzeum Historii Włókiennictwa, mury geyrowskich fabryk zaczęły żyć swoim życiem, stanowią urokliwe pomniki architektury fabrycznej z pierwszej połowy XIX wieku...

I tak jest chyba z całym budownictwem przemysłowym Łodzi z XIX wieku. Nie można oddzielić tych murów od spraw przeszłości, jakie się w nich i wokół nich rozgrywały. Ale po latach — kiedy mija już półtora wieku — patrzymy na te murywane pomniki, na te dekoracje z cegły i wapna z czułym sentymentem.

3.

Fabrykanckie fortuny wyrastały z potu polskiego robotnika i jest to stwierdzenie, którego oczywistości udowodnić nie trzeba. A jednak Poznański wyróżniał się wśród innych brutalnością i bezwzględnością nawet wówczas nieczęsto spotykaną. Stąd i robotnicze legendy, jakie krążyły wokół jego postaci i fortuny.

Nie kończyło się jednak na legendach. Robotnicy Poznańskiego zapisali piękną kartę walki z wyższością, kartę patriotyzmu i internacjonalizmu. Już w roku 1870 nawiązali kontakt z emisariuszami Kas Oporu. W roku 1883 powstało w tej fabryce kilka kół Proletariatu.

W lutym 1891 roku przybył do Łodzi Julian Marchlewski. Najpierw pracował w fabryce Biedermanna, gdzie założył koło Związku Robotników Polskich — potem od lipca był

farbarzem u Poznańskiego, aż do aresztowania w listopadzie 1891 roku.

Oczywiście klasa robotnicza z fabryki Poznańskiego od dawna znana była z rewolucyjnych wystąpień, ale po aresztowaniu Marchlewskiego ruchy rewolucyjne jeszcze się wzmożyły. Znaczny był udział robotników Poznańskiego w buncie łódzkim 1892, w końcu października 1900 miał tu miejsce tygodniowy strajk, a w samym tylko roku 1905 do walki strajkowej robotnicy ruszali aż dwanaście

tych murach pozostała pamięć o tamtych dniach.

4.

Pisał Lucjan Rudnicki:

„W wielkim porannym chórze syren fabrycznych wybije się na pierwszy plan sfinksowy głos syreny widzewskiej, wykluczający wszelką dyskusję. Punktualnie o godzinie szóstej wielkie koło rozmachowe centralnej siłowni, ruszając z majestatyczną powolnością, w kilkadziesiąt sekund nabierze właściwego tempa i połącząc w swa orbite tysiące maszyn i ludzi, Fabryczny wschód słońca. Biała

JERZY WILMAŃSKI

## W MURACH FABRYKI

temu, kto nie oczekuje przy maszynie na jego wzejście...”

„Biała temu...” Kunitzer był rzeczywiście bezwzględny dla robotników. Rudnicki wiedział o tym dobrze, w Widzewskiej Manufakturze pracował w końcu dziewiętnastego wieku. Kunitzer żył jeszcze, choć w 1892 roku rzucono bombę do jego pałacu.

Potem, właśnie przed fabryką Kunitzera, miało miejsce pierwsze krwawe starcie w rewolucji 1905 roku i tutaj też w czerwcu stanęła barykada. I tu lokat trwał najdłużej — dwa lata. Kiedy znów otwarto fabrykę Kunitzer już nie żył. Zginął z

razą. Podczas czerwcowego powstania tego roku obok czerwonej skryżni przędzalni przy ul. Ogrodowej wzniesiono barykadę, która należała do jednej z najdłuższych broniących się przed atakami Kozaków.

Poznański niebawem zemścił się za te rewolucyjne wystąpienia. W listopadzie 1906 roku zamknął fabrykę. Jego śladem poszły dalsze fabryki — lokat objął prawie całe miasto. Robotnicy Poznańskiego przystąpili do pracy po długich pertraktacjach — wycieńczeni głodem, 27 kwietnia 1907 roku — po północnym lokaucie.

Te stare, czerwone mury, spogląda-

jące dziś w lata siedemdziesiąte kratownicą okien, pamiętają tamte dni, tę barykadę na Ogrodowej, strajkujących robotników i skłębiony tłum przed ogromną bramą... I w nas i w

ram zamachowca, robotnika Karola Szulca, we wrześniu 1905 roku.

Robotnicza twórczość samorodna, zrodziła wówczas pieśń:

„Tam na przystanku przy Nawrot ulicy Kunitzer żegnał swych towarzyszy

„Żegnał mu też pałacu i nieba bielecie Bo dzisiaj, lotrze, kończysz swe życie”

Z tytu, na platformie dwaj holowcy stał I każdy pojedynczo z brauninga wali „Lud cie prosil daremnie, prosil ze łami.

A tyś mu sie, lotrze, odplacił Kozakami”.

Z pracy z warsztatu na lew wyrzuciłeś Za dlugoletnia prace tak sie wywdziec- czales

Konczysz dzis swe zycie — masz wiec pozdrowienia Od twych robotnikow wpakowanych do wiezienia”.

Na Promenadzie, pod pałacem murem Stanal tłum ludzi dlugim sznurem

A każdy po ciehu swe usta otwieral: „Już diabli wzięli nareszcie Kunitzera”.

5.

Diabli wzięli fabrykanckie fortuny, rozjechali się po świecie potomkowie rodów o obco brzmiących nazwiskach, część z nich została tu — między Wisłą i Bugiem, niektórzy w sytuacjach dramatycznych w czasie ostatniej wojny manifestowali swoją polskość. Po jednym została tylko zła sława — po innych dobra sława.

Pozostały po tamtych latach białe i czerwone skrynie fabryk — niefunkcjonalne, trudne do adaptacji w lata siedemdziesiąte... A jednak nie można sobie wyobrazić Łodzi bez tej posępnej architektury, tak przecież pięknej w swojej surowości.

I dziś — po latach — stoją wokół nas te posępne gmachy, i dziś służą nam nadal. Nie zamieniliśmy ich na muzea, do dziś dudnią w nich automatyczne krosna i nowoczesne maszyny. Są na pewno pomnikami tamtych dni, ale są także naszą codziennością w współczesności.

Pisze Antoni Szram:

„Brzemienne duchowa spuścizną przeszłości zabytkowe dzieła architektury przemysłowej zbudowane rękami klasy wykształconej, klasy robotniczej, porostają w zwięzłym współczesnym żywym świadectwem stuletniej tradycji naszego fabrycznego miasta. Dzisiaj, z każdym dniem bardziej świadomi oszołomujących wartości dochowanej spuścizny, musimy z całą odpowiedzialnością dziesiętnastowiecznego dzieła sztuki przeżyć za dziesięć lat wymagające uznania i zachowania dla przyszłych pokoleń. Poczujemy się bo-

wiem do przekazania tych wartości w całym bogactwie ich autentyzmu”.

Fragment książki „Fabryki Łódzkie” — album grafik Wacława Kondka, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

FELIKS BĄBOL

## NA PABIANICKIEJ

Fabryka przy ul. Pabianickiej, w której nawet zaraz po wojnie było tyle pracy, że starczyłoby jej na chleb dla 10-tysięcznego miasteczka, łączyła się przede wszystkim z historią Horaka, wspomnieniami dziecięcych wypraw szosą Garapicha czy też wypadów na Wolfówkę, czyli do kąpieliska dla ubogich.

Horak stał się w opinii podłódzkiej Rudy, czyli „małego Berlina” zagorzałym pionierem innowatorstwa. Na łono kościoła baptystów starał się przywieść każdego majstra, każdego nowo przyjętego robotnika. Dobrych majstrów nie było w owych latach przed wojną zbyt wielu, więc i szantaż religijny fabrykanta nie mógł być zbyt brutalny, robotników jednak, szukających jakiejś kółki roboty na przędzalni, czy tkalni nieciła praca u siebie za cenę przejścia do baptystów. Opartym pokazywał brame, jeśli nie chcieli zrywać z katolicyzmem. Wiele więc podłódzkich chl po-robotników zostało baptystami — ku wielkiej rozpaczce proboszczów z Rudy, Przemienienia Pańskiego czy św. Wojciecha.

1.

Był to wymyślny fabrykancki „konik” — te wszystkie „chwytły” Horaka. Głowe do interesu miał nieziła i fabryka — jak mawiali ludzie „szła” dobrze. Szczegóły z życia Horaków opowiadał mi potem — już w czasie okupacji — Hugo Szwajcer, zarządca komisaryczny pożydowskiej fabryczki, w której jakiś czas pracowałem skierowany przez Arbeitsrat. Szwajcer sam pochodził z Rudy, osobiście znał kilku członków rodziny przemysłowca, wymienicie, jak mogłem się orientować — rozznawal się we wziętach i upadkach Horaków. Byli wśród nich, jego zdaniem, ludzie

niegodni, jak ów utracusz Willy, którego na się nie można było zmusić do żadnej roboty, bo sens życia widział tylko w dziewiętnastkach i wódce. Mawiano, że za ćwiartkę i Chrystusa by sprzedał. Przebrał też raz 30 tys. marek, które stary Horak dał mu na załatwienie jakichś pilnych spraw finansowych.

Opowiadał mi o tym wszystkim Hugo Szwajcer, zasiedziały łódzki Niemiec, na którego głowe — takie sprawiał wrażenie — wojna i komisaryczny zarząd nad pożydowską fabryczką spadły jak niezmyślnym niewytlumaczona niespodzianka. Uśmiechał się dobitnie do Polaków zatrudnionych u siebie, ale gdy składali mu wizyty SS-mani i oficerowie Wehrmachtu pamiętał o zamykaniu wszystkich drzwi, żeby nikt niczego nie mógł podsłuchać. Miał opinię „dobrego” Niemca i byli podobno Polacy, którym w czasie okupacji wyświadczył mniejsze, czy większe przysługi. Ale te opinie o nim, jako o volksdeutschu, który nie zapomniał w latach triumfów niemieckich, że go wykarmiła polska ziemia — nabrały znaczenia dopiero wtedy, gdy już nie były — można rzec — aktualne. Rozszerzyły się o Szwajcerze wieści, że to był „dobry” Niemiec, dopiero w pierwszych dniach po wyzwoleniu Łodzi, gdy już nie żył. Niektórzy mówili, że ta kula, która go ugodziła, była najlepszym potwierdzeniem istnienia tego, co nazywamy ironią tragiczną.

2.

Naprzeciwko „Horaka” szeroka szosa prowadziła na lotnisko. Było ono celem wielu wypraw obłopaków z Chojen i Rudy, stanowiło — na tle szarzyzny podwórkowej vegetacji, nieznosnego niedostatku i smutku długotrwałych strajków w łódzkich fabrykach — atrakcję nie lada. Dzieci z Chojen i Rudy ledwo słyszały o samolotach, a tylko raz na własne oczy mogły ujrzyć samolot nad miastem, gdy wynajęty przez zagraniczną firmę wyniszał na niebie białym dymem napis „Radiom sam pierze”. Jedynym reprezentantem techniki był przecież w wyobraźni młodych ludzi projektor filmowy, warezany za naszymi plecami w kinach „Mewa”, „Rekord” i „Colosseum” — przybliżający nam niezwykłe perypetie Elmo Lincoln i Rinaldo Rinaldiniego. Projektor filmowy i tramwaj, o którym słyszało się, że jeździ już po mieście, ale którego linie nie sięgały jeszcze Chojen i Rudy.

Chodziliśmy więc na lotnisko, aby z usłuszeniem oczekiwać odgłosów nadlatujących stalowych ptaków, albo startu polyskającej w słońcu maszyny, rwącej trawę i ogłuszającej w szerokim promieniu nas wszystkich. Nieraz i kilka godzin czekaliśmy daremnie na tę muzykę, która mówiła nam, że nie stoi w miejscu, że przyszłość musi być piękniejsza niż dzień dzisiejszy. Leżaliśmy więc z dala od hangaru na bujnej trawie lotniska, obserwując czarny worek wiszący na wysokim słupie i wskazujący lotnikom kierunek wiatru.

3.

Chodziliśmy też na Wolfówkę, czyli nad szerokie rozlewiszko rzeczki, aby uciec się pływania. To było kąpielisko dla ubogich, kąpiel w łaźni na Kruczej była za drogą, tutaj zresztą uciechy było

znacznie więcej. Największej sławy zazwyczaj bynajmniej nie najlepsi pływacy, bohaterami byli ci, którzy bili rekordy w „tonięciach”. Oczywiście takich rekordów nie można było nieprzerwanie, toneli więc naprawdę największych rekordzistów.

4.

To wszystko raz jeszcze odżyło w pamięci owego dnia, gdy o dawnego „Horaka”, a obecnie w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej, wmurowano kamień węgielny pod pierwszą w powojennej Łodzi dużą przędzalnię. Była to radziecka pomoc i radziecka technika — pierwsza w takich rozmiarach w mieście, w którym przez kilka pierwszych lat powojennych nie większego się nie budowało.

Staliśmy wtedy nad wykopem, obserwując, jak ludzie znaczący w tym mieście podpisują duży pergamin, jak generał radziecki dziękuje dziewczynom za kwiaty, jak ludzie ze starej, walącej się przedziałni radują się tak, jakby ten akt erekcyjny rozpoczynał budowę ich własnych domków jednorodzinnych, jak pada zaprawa murarska na kwadratowy węzeł, w którym schowano wielki pergamin. Przedziałnia miała mieć aż 50 tys. wrzecien. To był pierwszy wielki cios w przeszłość, w zle czasy Horaków i jego baptystów.

5.

Nieraz przyszło mi jeszcze potem odwiedzić „Armię Ludową”. Fabryka stała się bliska, bo najbliższe zawsze jest to, co pomaga utrwalic się przeżyciom dziecka i młodości. Ludzie, z którymi tu rozmawiałem, którzy po tych wziętach stawali się najczęściej bezimiennymi bohaterami gazetowych artykułów o fabrycznym życiu, o planach i normach — wrosli w rudzkie przedmieście, jak kamienie wrastają w ziemię wąskich, nie skanalizowanych uliczek, których pełno było w Rudzie, a które i dziś jeszcze wyznaczają drogęwom ich najpiękniejsze zadania.

Zawsze w tej fabryce, niezależnie od tego, czy przychodziłem po nagłe zlecenie wypowiedzieć przewodniczącego rady zakładowej, dyrektora czy sekretarza partii, schematycznie i szampa dzienni-

karskich form ginęły w uczuciach sympatii do tych ludzi, którzy tu harowali na tkalni czy przy obracznikach, których z fabryką związała nie tylko praca ojców i matek, ale i sentyment dla dzielnicy. Z ich twarzą spoconych często, zasnutych zmęczeniem 8-rodzinnej szczyty, był sentyment dla fabryki. Przyparcela ona ich ojców i matki w okresie, gdy na podłódzkich wsiach wytrzymywali tylko kilkunastomorgowi chłopcy i grol falangi dwu- i czteromorgowych „rolników” spod Łasku, Pabianic, Tusznicy i Piotrkowa tutaj właśnie — na przedpolu fabrykanckiej Łodzi szukały chleba.

6.

Z lat owej pierwszej po wojnie wielkiej budowy w „Armi Ludowej” wielu już się wykryszło, zostali tylko nieliczni reprezentanci międzywojennego dwudziestolecia i tylko ci, którzy w latach 50-tych dopiero zaczynali tu pracę. Tych ludzi, te najmłodsze roczniki robotników, czekała teraz nowa przeżycia. Poskapiono ich międzywojennym rocznikom tkaczy i przędzalników, nie doczekali lat 70-tych, gdy decyzyje gospodarcze w naszym kraju są coraz śmielsze, gdy w kilka lat staramy się odbić straty całego dziesięciolecia.

Wiele buduje się przedziałnia eksperymetalna, z przedziałkami bezwzględnie nowymi, z wydajnością wiele razy wyższą niż przy starych obracznikach. Buduje się także nowa tkalnia, aby obraz nowoczesności siał się coraz pełniejszy. Owe przedziałki są prawdziwą rewelacją, a ich twórcy wpisani zostali na listę autorów dziesięciu największych osiągnięć Roku Nauki Polskiej. Nowa przedziałnia sprawi, że „Armia Ludowa” obrośnie w sławę fabryki dającej najnowocześniejszą produkcję, stanie się też polieionem doświadczeń dla przemysłu maszyn włókienniczych. Wnioski z pracy pierwszych dziesięciu zainstalowanych tu przedziałek bezwzględnie stanowią nieodzowny i ostatni etap przed rozpoczęciem seryjnej produkcji tych maszyn. Mają one zaś zapewnić zbyt nie tylko w kraju, ale i na wielu rynkach światowych.

Zaczął się nowy rozdział w historii Fabryki.

„NAJWIĘCEJ POWAGI  
JEST W ŻARCIE”

Te słowa, linijka z wiersza bez tytułu, nieźle określają charakter wyobraźni Jana Huszczy z nowego tomu poetyckiego „Rozmowy i zaklęcia”. Żartu nie można tutaj rozumieć jako dowcipu, bliższy jest on raczej pojęciu paradoksu, a więc takiej aktywności języka, która pozwala prawdom potocznych nadać nowy, przewrotny sens. Chcąc pełniej opisać ten typ widzenia trzeba posłużyć się znamiennym kwantifikatorem z tego samego utworu: „Najczęściej zaś kłamstwo brzmi godnie”.

Godność oznacza w tym wypadku napuszoną, za którą kryje się retyryczna pustota. Świadomość tego stanu rzeczy sprawiła, że poeta wystrzega się programowo patosu przemawiając do czytelnika językiem kolokwialnym, potocznym i że jest to dialog prowadzony głosem sejszonym; pobrzmiewa w nim ton perswazyjny, a prawionej niekiedy drwiną tam, gdzie inwokacja poetycka okazywa się bezsilna wobec obojętności świata. Niemów słowa, a

„Słowa wyrzekają się  
każda  
nadaje im inne znaczenia  
znieprawiając je”

zakcentowana jest bezpośrednio w całym cyklu „zaklęcia”, które raz mają kształt żartowej litanii, innym razem są świadomym bluźnierstwem.

Tym, co zdaje się poetę najbardziej niepokoić, jest żywiołowy rozwój cywilizacji, która w swojej wyrodniejszej postaci niszczy nie tylko środowisko naturalne człowieka, ale także wyjawia jednostkę ludzką z elementarnych piewiastków humanizmu. Stąd odwoływanie się Huszczy do archetypów, które zdają się potwierdzać trwałość przyrody i jej ciągłość naruszoną teraz nie tylko przez industrializację, ale także przez zakłócenia ładu moralnego, jakie przyniosły ze sobą kataklizm ostatniej wojny. I jeśli Huszcza powtarza za Zawieyskim, że „stosunek do śmierci wyznacza właściwe wymiary życia, stosunek do życia pogłębia się przez stosunek do śmierci”, to jednocześnie stosuje wykładnię rozszerzającą, jakby chciał powiedzieć, że stosunek do przyrody określa stosunek człowieka do człowieka i jakiegokolwiek zachowanie tej równowagi sfera nas w kulturalnym dziedzictwie.

„Kto zapomni?  
Trawa.  
Kto zapamięta?  
Trawa.  
Kto będzie współczuł?  
Trawa.  
Kto pojednał?  
Trawa.  
Ona wyzywająca wobec stuleci.”

Tym, co utrwała tę równowagę jest także humanistyczna tradycja, wraz z wypracowanym przez nią kodeksem wartości. Wprawdzie nieraz okazywał się zawodny, a ścisłej bezsilny wobec barbarzyńskiej przemocy, ale w nim właśnie zawarta jest ta prawda, dla której warto żyć a nawet walczyć.

„Może mniejszość wśród  
większości  
ale ona  
jak iskry światła  
w mętnie rozlanych kałużach”

Terazniejszość i przyszłość czynią życie niepewnym. Nieraz w wierszach Huszczy pobrzmiewa gorzki ton zwątpienia i przeszłość, a raczej młodość, jawi mu się jako krajina sielskiej Arkadii. Niekiedy, jak choćby w „Podróży sentymentalnej” jest to młodość naszych dziadków i pradziadków, do której wrota są jednak przed nami zatrzaśnięte i jeśli można mówić o wspólnocie to tylko duchowego dziedzictwa. Ale ten pechaż przeszłości zamajęcają narodość doświadczenia historyczne, tym boleśniejsze, że nie można się ich wyzerować, nie umniejszając siebie (doskonale wiersz „Grotty”).

Zarazem, jak w twórczości z poprzednich tomików, dochodzi Huszcza do afirmacji życia, odwołując się do uroków prowincji przeciwstawionej zgłębki wielkich metropolii. Ale jest uwrażliwiony także na poetykę codzienności i jak poeta Skamandra głosi pochwałę szarego człowieka („Córka rzeźnika”, „Rozmowa”) spakobierze dziedzictwa świata nie skazane jeszcze dezintegracją i cywilizacyjną bezduśnością. Od tego umiłowania prostoty dochodzi Huszcza do najczystszej liryzmu, jak choćby w wierszu „Kwiatnik”, a liryka stanowi pokazną część tomu.

Świadczy to najlepiej o tym, że poeta nie zatracił swej najwcześniejszej wrażliwości, a nawet, mimo doświadczenia życiowego, każącego powątpiewać w jakąkolwiek wartość, pozostał niepoprawnym romantykiem i niewierzącym słowu jako narzędziu kształtowania świata pisze jednocześnie:

„Smieszna jest  
z kilkoma tomikami swolch  
wierszy  
Lecz pisałbyś je  
i drewnikiem na korze”

A więc w ostatecznym rachunku pozycja jest tym co ocala przed utratą wrażliwości, tym, co pozwala porozumieć się ludziom. Toteż nie dziwi już, że od perswazyj i zaklęcia dochodzi Huszcza do formuły buntu protestując przeciw zjałskom, które nie znajdują jego akceptacji i chociaż wiersz jest ostatni nosi tytuł „Lament” jest to raczej larum, alarm, co znamionuje walkę nie zaś bezsilność i przerażenie.

KONRAD FREJDLICH

Jan Huszcza: „Rozmowy i zaklęcia”, Wydawnictwo Łódzkie 1973, str. 142, cena zł. 12.—

# INAUGURACJA

Dalszy ciąg ze str. 1

ZOFIA — Doprawdy? Nie o tym nie wiedziałam.  
JERZY — Akurat! Najlepiej poinformowana osoba w firmie i nie wiedziała...  
ZOFIA — Słowo daje...  
WANDA — (do Jerzego) Nie rozumiem, po co ta ironia? Zawsze ceniliś Kowalskiego, a jako członek tej komisji...  
ZOFIA — Byłeś w komisji?  
WANDA — Nie udawaj; dobrze wiesz, że był (do Jerzego) Jako członek tej komisji najlepiej wiesz, ile prawdy jest w tych głupich plotkach.  
JERZY — Komisje powołuje się nie po to, by odkryć prawdę, ale żeby zdjąć z siebie odpowiedzialność. Ta też prawdy nie odkryła, nasłuchiwała się tylko różnych historyjek. (spogląda znacząco na Wandę)  
WANDA — Gdyby ktoś chciał wcześniej o nich wiedzieć, wystarczyło zapytać wprost. Komisja i zabawa w zepsuty telefon weale do tego niepotrzebne.

(Stółik Marty, Dyrektora i Loli; dyrektor pisze coś na bibułce serwetki)

MARTA — Co też pan pisze, panie dyrektorze konspiki przemówienia?  
DYREKTOR — Nie jesteśmy w biurze, pani Marto, a mnie, jak pani wiadomo, nadano imię Maciej...  
MARTA — Więc co pan pisze, panie Macieju?  
LOLA — Mimo wszystko, dystans obowiązuje.  
MARTA — To go sobie zachowaj (do dyrektora) Muszę dowiedzieć się, co pan pisze.  
DYREKTOR — List. Piszę list i będę bardzo zobowiązany jeśli pomoże go pani doręczyć Kowalskiemu. Siedzi tam... (podaje Macieju karteczkę).  
MARTA — Nie zaklejoną. Może ktoś przeczyta.  
DYREKTOR — Niech sobie czyta.  
MARTA — Sam pan to rzekł (czyta kartkę, którą wzięła od dyrektora)  
LOLA — (do dyrektora) Niech jej pan wybaczy. Z tą znajomością form nie jest...  
MARTA — (zasmiała się) Dobrze, dobrze (czyta to, co napisał dyrektor): „Musimy chyba pogadać, Maciej.” (kładzie liścik do kieszonki i zwraca się do dyrektora) Nie z tego. Teraz nie pora na rozmowy dyrektorów; teraz pańskim obowiązkiem, panie Macieju, jest dotrzymać nam towarzysstwa. Chyba nie woli pan towarzysstwa dyrektora Kowalskiego od towarzysstwa Loli?

(Głośni śmiechy popularna piosenka po chwili stonowana do smolnych ścieżek deybali)  
(do stołiczki podchodzi kelnerka — stawia przed każdym kieliszek koniacu)  
(Stółik Ryszarda, Batkowskiej i Mikołaja)

RYSZARD — Ciotko, czy to prawda, że dyrektor Kowalski ma od nas odejść?  
BATKOWSKA — Co za bzdury? Kto ci takich głupstw napowiadał?  
RYSZARD — Słyszałem.  
MIKOŁAJ — Organ słuchu jest jednym z narzędzi poznawania rzeczywistości.  
BATKOWSKA — Nie wszystko, co się słyszy, jest na pewno prawdziwe.  
MIKOŁAJ — Pozory mylą. Pozory na przykład świadczą, że tu, w tej sali siedzą żyć z sobą, żyć z sobą ludzie, a tymczasem...  
BATKOWSKA — Ludzie są tu tacy sami jak wszędzie. Coś ty tu znów za szczególne pozory znalazł?  
MIKOŁAJ — Większość tu obecnych mówi sobie „per ty”, reszta zwraca się do siebie po imieniu. Można by sądzić: rodzinne grono.  
BATKOWSKA — Chcesz, mogę ci mówić per pan? Proszę bardzo, mnie tam bez różnicy.  
MIKOŁAJ — Mnie też bez różnicy.  
BATKOWSKA — (klepie ze śmiechem Mikołaja po łopate) Mów mi o tofko.  
RYSZARD — Ciotko, więc o tym odejściu Kowalskiego to plotka?  
BATKOWSKA — Coś ty sobie ubrał z tym odejściem? Co ci do ła strzelilo?  
MIKOŁAJ — Niech się ciotka nie gniewa na kolegę Ryśka. Wszyscy przecież wiedzą, że był jakiś anonim, że dyskretnie, aby sprawie nie nadał rozgłosu, działała komisja...  
BATKOWSKA — A działała. Działała i stwierdziła, że funta kłaków nie były warte te wyrociny...  
RYSZARD — (ożywił się) Naprawdę? Aby Batkowska kłamała? Milczę, owszem, zdarzało mi się raz i drugi, ale nieprawdę mówić...  
RYSZARD — Przepraszam — ale też ciotka wrażliwa (spogląda po sali) Już ja jej powiem pare słów...  
BATKOWSKA — Komu?  
RYSZARD — Mniejsza z tym. Ktoś pewnie chciał mi zrobić głupi kawał.  
MIKOŁAJ — I udało mu się...  
RYSZARD — O, przepraszam, weale mu się nie udało.  
BATKOWSKA — No, to czegoś siedział do tej pory jak struty?  
RYSZARD — Bo mnie przyciębia myśl, że na tej sali siedzi może autor tego anonimu.

(Stółik Marty, dyrektora i Loli. Dyrektor wypatruje kogoś na sali).

MARTA — Niedobrze, panie Macieju. Niewiele mamy z pana pożytku.  
DYREKTOR — (oeknał się zakłopotany) To prawda.  
LOLA — Ciągłe wszak myślił pan o rozmowie z dyrektorem Kowalskim?  
DYREKTOR — (skinał głową, po chwili) Wieleś ee, dziewczęciu. Pójdźmy na układy, dobrze?  
LOLA — Układy?  
DYREKTOR — No tak. Powiedzieć, pod jakimi warunkami zgodzić się postać Kowalskiemu te kariki, którą pani Marto przyrzeczyła?  
LOLA — O jakich warunkach pan myśli?  
DYREKTOR — Czy ja wiem? Może, na przykład, zaśpiewać, powiedzieć wierszyk, nokażać karciana sztuczki... To już od was zależy.  
MARTA — Jak przy grze w fanfy?  
DYREKTOR — Właśnie. Trafila pani w sedno.  
MARTA — Świetnie. Pośmy jej kartkę, jeżeli pan szczerze odpowie na pytanie, które postawimy.  
DYREKTOR — A ile będzie tych pytań?  
MARTA — Dwa. Jedno stawiam ja, drugie — Lola.  
DYREKTOR — Zgoda. Która z pań zaczyna?  
MARTA — Nad moim muszę pomyśleć. Lola jest inteligentniejsza, więc...  
LOLA — Daj spokój. Inna rzecz, że mogę zacząć...  
DYREKTOR — Kto decyduje czy odpowiedź jest zadowalająca?  
MARTA — Pewnie, że nie pan.  
DYREKTOR — (weschnął — odwraca się do Loli) Słucham.  
LOLA — (po namyśle) Czy rozbieżność między teorią a praktyką pana nie obezwładnia?  
DYREKTOR — A panią obezwładnia?  
LOLA — Tak. Boli mnie to.  
MARTA — Zaraz, zaraz. To nie pan miał pytać!  
DYREKTOR — Przepraszam. (do Loli). Może spróbuje pani bardziej konkretnie zować swoje pytanie. Jest nieco za ogólne.  
LOLA — Dobrze. (po chwili). Czy takie fakty, jak na przykład anonim, nie każą panu przypuszczać, że postawiliśmy sobie zadania ponad siły?  
DYREKTOR — Ma pani wątpliwości, czy z autorami anonimów można budować nowy świat albo drugą Polskę, Tak?  
LOLA — Można to tak sformułować.  
DYREKTOR — Przyznaję, że wolałbym się uwolnić od towarzysstwa takich pisarzy. Tylko, po pierwsze — nie wiem, jak to zrobić, bo oni nie lubią się ujawniać, a po drugie — nigdy nie wyobrażałem sobie, że świat można naprawić dopiero wówczas gdy wszyscy ludzie będą rozumni, uczelwi, pozbawieni egoizmu. Słowem rozbieżność między teorią, a praktyką nie obezwładniają mnie, a wręcz przeciwnie, podniecają. Wystarczy?  
LOLA — Jak na rozmowę przy stołku, wystarczy.  
DYREKTOR — (do Marty) Słucham?  
MARTA — Czy będzie pan mógł zorganizować na nasz stołek jeszcze trzy kieliski?  
DYREKTOR — (po chwili namysłu) Nie mogę. Ciotka Batkowska siedzi za blisko. Ryzyko za duże.

(Stółik Zbigniewa, Joanny i Leona)

JOANNA — (do Leona) Zofia na ciebie patrzy...  
LEON — (obojętnie) Niech patrzy.  
JOANNA — Jak ty możesz? Zofia jest chyba człowiekiem?  
LEON — No, to co?  
JOANNA — Uszanowałbyś chociaż jej godność.  
LEON — Weale jej na tym nie zależy.  
JOANNA — (obrażona) Oto klasyczny wprost przykład! (Do Zbigniewa) Dopóki chodziło tylko o mnie, milczałam, ale teraz musisz mnie wysłuchać.  
ZBIGNIEW — (zdumiony) Ja?  
JOANNA — Tak, właśnie ty. Jako rzecznik szacunku dla godności ludzkiej. Niedawno przecież mówiłeś o tym.

ZBIGNIEW — Ja? Kiedy?  
LEON — Na zebraniu partyjnym.  
ZBIGNIEW — Skąd wiesz, co działo się na zebraniu partyjnym? Przecież nie jesteś członkiem...  
LEON — Nie jestem, ale wiem, o czym wy tam mówicie. Nie tylko zresztą ja. Wszyscy wiedzą.  
ZBIGNIEW — Cholera!  
JOANNA — (zaniepokojona) A czy to źle, że wiemy?  
LEON — Skądże znowu. Okres, kiedy partia odgradzała się od bezpartyjnych już dawno minął.  
JOANNA — (do Zbigniewa) No, więc musisz mnie wysłuchać. Godność ludzka nie jest tu szanowana. Jeden z członków komisji, której przewodniczyłeś, przestuchwał mnie wczoraj...  
ZBIGNIEW — Przestuchwał? Zwykłą koleżeńską rozmowę tak nazywasz?  
JOANNA — Tak nazywam, bo w tej koleżeńkiej rozmowie zostałam potraktowana jak potencjalny przestępca, człowiek zdolny...  
ZBIGNIEW — Przesadzasz, Joanno...  
JOANNA — Przesadzam? Zapytano mnie, co mi wiadomo o przekroczeniach lub nadużyciach pewnej osoby...  
LEON — Po co te niedomówienia? Wszyscy wiedzą, że o Kowalskiego chodził.  
JOANNA — Więc dobrze. (do Zbigniewa) Spytano mnie, czy wiem coś o przekroczeniach i nadużyciach Kowalskiego. Jako prawnik wiesz doskonale, że takie pytanie jest po prostu zarzutem zatajenia wiadomości o czynie przestępczym.  
ZBIGNIEW — Być może, że tę rozmowę, prowadzoną z tobą nie najtaktownie, ale wiesz przecież, że świat nie składa się z prawników rozumiejących wszystkie subtelności...  
JOANNA — (oburzona) Subtelności! Ja nie żądam subtelności. Protestuję przeciwko prostactwu waleni pałą na oślep.

(Stółik Kaliny, Kowalskiego i Wiktora)

WIKTOR — „mieszkańcy wschodniej i południowej Azji mają rację: ryż jest znakomitą potrawą. Choć może nie potrawa, a podstawa różnych potraw. Sam, jak wiadomo, jest raczej bez charakteru, czym różni się od naszych kasz wykazujących dużo więcej indywidualności. Ryż, moi mili, nie ma właściwie żadnego smaku, natomiast łatwo przyjmuje każdy smak jaki mu się zaproponuje lub narzuci. Może być na słodko, na kwaśno, do ryb, do mięs, do wędlin, do grzybów, do jarzyn — słowem...”

(urywa kwestię i zwraca się do siedzącego przy sąsiednim stołku Mikołaja, od którego odbiera kartkę. Rzuciwszy okiem na kartkę, podaje ją, po chwili wahań, Kalinie)

KOWALSKI — (nie widział co działo się przy stołku) No i co z tym ryżem?  
KALINA — (rozwinęła kartkę) Ekspertem od ryżu jest Wiktor. (czyta kartkę)  
KOWALSKI — (zauważyła kartkę) Liścik?  
KALINA — Tak, jakby.  
KOWALSKI — Liryka damsko-męska?  
WIKTOR — (zasmiał się) Nie z tych rzeczy.  
KOWALSKI — A pan niby skąd wie? To pan pisał?  
WIKTOR — Ja? Do niej? Przez stół? Jeszcze nie zblikowałem.  
KALINA — (przeoczyła kartkę, coś tam na niej napisała, podaje ją Wiktorowi) Podpisz i odeślij.

KOWALSKI — Strasznie jesteście tajemniczy. Konspiratorzy.  
KALINA — Wszystki z sympatii do ciebie.  
KOWALSKI — Do mnie? A niby co ja mam...  
KALINA — Zaraz się dowiesz (do Wiktora) Odesłałeś? (Wiktor potwierdza skinieniem głowy) (Kalina do Kowalskiego) Ta kartka była do ciebie.  
KOWALSKI — Do mnie?  
KALINA — Tak. Siedź spokojnie i nie oglądaj się. Dyrektor pisał, że musi z tobą porozmawiać.  
KOWALSKI — Do diabła.  
KALINA — O, właśnie. I dlatego napisaliśmy, że...  
WIKTOR — ...korespondencję przejęto, że protestuje się stanowczo przeciw jakimkolwiek oficjalnym rozmowom.  
KALINA — ... że dziś się bawimy, a jutro odpoczywamy.  
KOWALSKI — (po chwili) Nie chciałbym go urazić.  
KALINA — Przecież nie wiesz nie o tej sprawie. Kartka do ciebie nie dotarła! Tylko nie patrz się na niego.  
WIKTOR — Czy pan sądzi, że i on nie ma ochoty odpocząć przez kilkanaście godzin od tych wszystkich historii?  
KOWALSKI — Diabli go wiedzą.

(Z stołków pobrzmiewa muzyka taneczna)  
(Ryszard wstaje i bez słowa odchodzi od stołiczki)

BATKOWSKA — Co mu się stało?  
MIKOŁAJ — On rewiem toutours...  
BATKOWSKA — Co takiego?  
MIKOŁAJ — Normalna, ciotko. Ryśko wraca do pierwszej miłości.

(Ryszard podchodzi do Zofii i siedząc się w milczeniu)

ZOFIA — Proszę mnie?  
RYSZARD — Oczywiście.

(Na pustym prawie parkiecie Ryszard drępa wokół Zofii)

ZOFIA — Bardzo to miło z twojej strony. Nie sądziłam...  
RYSZARD — Nie miałas racji.  
ZOFIA — (nienownie) Ja?  
RYSZARD — Nie miałas racji. Kowalski weale nie odchodził.  
ZOFIA — (parska wzgardliwie) Nie odchodził! Nie odchodził! Nie odchodził!  
RYSZARD — Nie odchodził. Nie ma żadnego powodu żeby odchodził. Komisja oczwiała go z wszelkich zarzutów. Funta kłaków nie były warte te wyrociny.  
ZOFIA — (fronizmie) Doprawdy? Widzę, że masz dobre informacje.  
RYSZARD — (zadowolony z siebie) Z samego źródła.

(Przy stołku Jerzy pochyla się ku Wandzie)

JERZY — Ale temu, co powiedziałaś Batkowskiej, nie zaprzeczysz.  
WANDA — Ciotce? A cóż ja jej takiego powiedziałam?  
JERZY — Powiedziałaś, że nie spałaś z Kowalskim...  
WANDA — Bo nie spałam.  
JERZY — ... dlatego, że on ci tego nie zaproponował...  
WANDA — (oburzona) Nieprawda!  
JERZY — Co „nieprawda”? Proponował ci?  
WANDA — Powiedziałałam inaczej. Powiedziałałam, że nie spałam z nim choćby dlatego, że mi tego nie proponował. Nie „dlatego” a „choćby dlatego”.  
JERZY — A więc przyznajesz. Przyznajesz, bo to wszystko jedno.  
WANDA — Nie!

(Ryszard przystaje na parkiecie nie wypuszczając Zofii z objęć)

RYSZARD — Naprawdę?  
ZOFIA — Naprawdę. Miałam przecież to pismo w ręku.  
RYSZARD — I on sam to napisał?  
ZOFIA — Masz mnie za analfabatkę? Jak ci mówię, że sam, to sam.

(Ryszard duszka partnerkę i schodzi z parkietu)

ZOFIA — Jak ty się zachowujesz!

(Śpieszy za partnerem, chwytając go za ramię)

RYSZARD — (osłupiały) Sam to napisał.

(Wiktor dojrzał coś na sali i dotknął ramienia Kaliny)

WIKTOR — Uwaga, nadchodzi.  
KOWALSKI — Kto?  
KALINA — (zerknęła ponad ramieniem Kowalskiego, wstaje) Zatańczy z mną, KOWALSKI — Ja?  
KALINA — A cóż cię tak dziwi? Uważasz może, że nie wypada...  
KOWALSKI — Nie nieć głusztw. (wstaje)  
KALINA — (do Wiktora) W razie czego, zabaw gości (uśmiecha się porozumiewawczo i odprowadza Kowalskiego w stronę parkietu)

(Dyrektor przystaje obok stołiczki Joanny, Leona i Zbigniewa)

DYREKTOR — Co to ma znaczyć? Gospodarze wysłali się jak mogą, radiofonizację uruchomili, taśmy sprowadzili, a wy siedzicie? (spogląda na Joannę, na Leona) Jazda, moi państwo! Jazda na parkiet!

(Joanna wstaje posłusznie i spogląda na Leona)

# INAUGURACJA

KSIAZKA

## MASKI

LEON — (siedząc) Szeffe, nie wiedziałem, że ma pan talenty wodzireja.  
DYREKTOR — Człowiek na kierowniczym stanowisku musi umieć wszystko. Rusz się, pan. Dama czeka.

(Leon powoli wstaje i ceremonialnie prowadzi Joannę na parkiet. Dyrektor siada przy Zbigniewie)

DYREKTOR — (ironicznie) Przyszedłem wam podziękować.  
ZBIGNIEW — Robilem, co mogłem.  
DYREKTOR — Niech was diabli! Cafe biuro mówi tylko o tym.  
ZBIGNIEW — Spodziewałem się czegoś innego?  
DYREKTOR — Proszę was przebiec...  
ZBIGNIEW — A ja powiedziałem, że tej właśnie próby nie podejmuję się spełnić. Mam zawołać świadków?  
DYREKTOR — (po chwili) Wypchajcie się ze swoimi świadkami. Rozrabiała.  
ZBIGNIEW — Kto?  
DYREKTOR — Jak to kto? Ten tancerz cholerny (wskazuje ruchem głowy parkiet) Muszę z nim porozmawiać.  
ZBIGNIEW — Jeszcze? Przecież parę godzin temu informowałem się o wyniku prac komisji.  
DYREKTOR — Tak, tej waszej komisji.  
ZBIGNIEW — Mojej, powołanej przez was.  
DYREKTOR — Muszę z nim porozmawiać.  
ZBIGNIEW — Proszę. Nie stawiam sprzeciwu.  
DYREKTOR — Sciągnijcie go z tego parkietu.  
ZBIGNIEW — Ani mi to w głowie. Gospodarze wysłali się jak mogli, radiofonizację uruchomili, taśmy sprowadzili...  
DYREKTOR — Okrutnie dowcipny z was facet.

(Wiktor wstaje od swego stolika i idzie do stolika Marty i Loli)  
(Na parkiecie zamyślony Kowalski niemrawo prowadzi Kalinę)

KALINA — Powiedz no, za jakie grzechy ja się z tobą męczę?  
KOWALSKI — Sam się temu dziwię.  
KALINA — Miałam cię za twardszego gracza.  
KOWALSKI — Gracza? Dlaczego: „gracza”? Ja nie mam ochoty na żadną grę.

(Wiktor przysiadł się do Marty i Loli i coś tam Marcie klaruje)

KALINA — Koniecznie chcesz mi zrobić frajdę?  
KOWALSKI — O kim ty mówisz?  
KALINA — A o tym autorze. Gdyby cię mógł widzieć — a kto wie czy go tu gdzieś nie ma — byłby uradowany jak szczygiel.  
KOWALSKI — A niby czemu?  
KALINA — A temu, że ślepy nawet zauważył jaki jesteś wkurzony. Ze cię to wszystko kosztowało.  
KOWALSKI — A kosztowało. Kosztowało i kosztuje. Nie mam zamiaru udawać że nie.  
KALINA — Jak chcesz. Demonstrowaj zły humor, irytację, przynębianie i Bóg wie co jeszcze. Pokaż, że ten lobuz dojadł ci do żywego. On tylko na to czeka. Tylko tego chce, bo...  
KOWALSKI — Nie mnie ten bydlak nie obchodził, rozumiesz? Nic!  
KALINA — No, to kto cię obchodził?

(Marta wstaje od swojego stolika i podchodzi do zamyślonego Dyrektora)

MARTA — Panie Macieju...  
DYREKTOR — (wstał szarmancko) Czym mogę służyć?  
MARTA — Męskim ramieniem. Nie lubię tańczyć sama.  
ZBIGNIEW — Bardzo słusznie.  
DYREKTOR — Wie pani, taniec to nie jest moja specjalność.  
MARTA — Ale moja. Jak dotąd najtejszych nawet udawało mi się...  
DYREKTOR — A, skoro tak...

(Dyrektor odchodzi za Martą, do Zbigniewa przysiadł się Wiktor)

WIKTOR — No i co ty na to?  
ZBIGNIEW — O co ci chodzi?  
WIKTOR — Wprowadziliśmy szefa na orbitę.  
ZBIGNIEW — My?  
WIKTOR — No, a kto? (skinął ręką przyzywając idącego do stolika Kowalskiego) Prosimy do nas.  
KOWALSKI — (siada na wolnym krześle) O, pan przewodniczący komisji. Coż za zaszczyt dla mnie.  
WIKTOR — Gdzie Kalina?  
KOWALSKI — Rzućta mi i szaleje z kim innym.  
ZBIGNIEW — Stary chce z tobą rozmawiać.  
KOWALSKI — Wiem. On chce, a ja nie.  
ZBIGNIEW — Nie wygłupiaj się. On na ciebie czeka.  
KOWALSKI — Tam, na parkiecie?  
ZBIGNIEW — Zaraz tu będzie, zobaczysz.  
KOWALSKI — Nie zobaczę. (wstaje od stolika i podchodzi do Wandy. Ukłoniem zaprosił ją do tańca)  
ZBIGNIEW — (wzruszył ramionami) Cyrk. Po prostu cyrk.  
WIKTOR — A cyrk. Ty też w nim występowałaś, komisarzy.  
ZBIGNIEW — Nigdy nie miałem się za świętego. Nie ma tu czego do wypicia?  
WIKTOR — Sam wiesz, że nie ma. Wydzielali jak w szpitalu. Po jednym kieliszku.  
ZBIGNIEW — Mało.  
WIKTOR — Bawimy się bez alkoholu.  
ZBIGNIEW — Chodźmy do ciotki. Może ona coś poradzi.

(Leon siedzi zamyślony przy jakimś opuszczonego stolika; siedząca obok Zofia przysiadła mu się uważnie)

LEON — Jesteś tego pewna?  
ZOFIA — Oczywiście. Miałam ten papier w ręku.  
LEON — Co dalej?  
ZOFIA — Nie wiem. Nie wiem zresztą, o co ci chodzi.  
LEON — Czasem robisz wrażenie idiotki. Ktoś przecież musi przyjść na jego miejsce. Tylko kto?  
ZOFIA — A niby skąd mogę...  
LEON — Tak. To jest szansa. Muszę pogadać ze starym.  
ZOFIA — O czym?  
LEON — O tym, by awansował mnie na miejsce po Kowalskim.  
ZOFIA — Ty? Ty mu to powiesz?  
LEON — Ja.  
ZOFIA — Przecież tak się nie robi. Taki wniosek stawia przełożony, a nie sam zainteresowany.  
LEON — A ja tak zrobię. Uważam, że mogę objąć to stanowisko i nie będę udawał, że czekam aż mnie ktoś łaskawie dostrzeże. Nie znoszę obłudy.  
ZOFIA — Ty jesteś niezwykły! Moim zdaniem masz ogromne szanse.  
LEON — Słuchaj, tylko żeby między nami nie było żadnych niedomówień. Tak jak dotąd.  
ZOFIA — Tak?  
LEON — No właśnie. Musisz wiedzieć: jeśli dostanę ten awans, to rozstajemy się spokojnie i bez żalu.  
ZOFIA — My?  
LEON — Nie ma na to rady. Na tym stanowisku nie będę mógł żyć z sekretarką naczelnej. Noblesse oblige. (Zofia chlupnęła) Chyba nie masz zamiaru beczyc. Pamiętasz naszą umowę: szczerze, bez bujania, bez fałszywej romantyki.  
ZOFIA — To prawda. To prawda, że bez romantyki.

(Na parkiecie Kowalski, dość mechanicznie tańczy z Wandą)

WANDA — Muszę panu coś powiedzieć...  
KOWALSKI — Słucham.  
WANDA — Przedwczoraj pytało mnie, czy nie wykorzystywałam panu wobec mnie swego służbowego stanowiska.  
KOWALSKI — Ja? A niby w jakich celach?  
WANDA — Erotycznych.  
KOWALSKI — (po chwili) Bardzo pani przepraszam.  
WANDA — Za co?  
KOWALSKI — Chyba nie była to przyjemna rozmówka.  
WANDA — Taka sobie, zwyczajna. Powiedziałam, że pan nie wykorzystywał i koniec.  
KOWALSKI — (po chwili) A sądzi pani, że powinienem? Tak? Powinienem być nagabywać panią?  
WANDA — Może. Nie byłoby to niemile.

(Przez chwilę tańcząc w milczeniu)

KOWALSKI — Pani pewnie myśli, że każdy mężczyzna marzy o tym, aby panią zdobyć?  
WANDA — Wcale tak nie myślę.  
KOWALSKI — Jeśli tak pani sądzi — to jest pani w błędzie. Niech pani pozwoli to sobie powiedzieć. Nie wszyscy mężczyźni należą do typu kolekcyjnerów.

(Na skraju parkietu stoi Mikołaj i patrzy na tańczących. Podchodzi do niego Marta)

MARTA — Co to za żuraw?  
MIKOŁAJ — Żuraw upelnomocniony. Polecono mi odszukać Kowalskiego.  
MARTA — Kto ośmiela się wydawać tu dziś polecenia? I co za cymbał godzi się przyjmować czyjeś polecenia? Na szampańskiej uroczystości inauguracji!  
MIKOŁAJ — Gdzie ten Kowalski?  
MARTA — Przecież kręci się z tą małą tuż przed tobą.  
MIKOŁAJ — A prawda. (raz i drugi macha ręką)  
MARTA — Co ty wyrabiasz?  
MIKOŁAJ — Muszę mu dać znać. Dyrektor chce z nim koniecznie rozmawiać.  
MARTA — On ma chyba obsesję.  
MIKOŁAJ — Kto taki?  
MARTA — Dyrektor, oczywiście. Daj spokój. Ja ci to załatwię.

(Marta wchodzi na parkiet, podchodzi do Wandy i dotyka jej ramienia)

MARTA — Zmiana panów.

(Wanda „oddaje” Marcie Kowalskiego, ubawionego obrotem rzeczy)

MARTA — (po chwili) Podjęłam się dostarczyć panu ważną wiadomość. Dyrektor chce z panem rozmawiać.  
KOWALSKI — Wiem o tym.  
MARTA — I nie ma pan ochoty na to rozmowę? (Kowalski potwierdza ruchem głowy) Jestem gotowa do poświęceń. Mogę dostarczyć panu alibi.  
KOWALSKI — Jak?  
MARTA — Tańczyć z panem. Tak długo, jak to będzie panu potrzebne.  
KOWALSKI — (zaśmiał się) To może potrwać. On tak łatwo nie ryzyguje.

(Marta odwraca się do Mikołaja i gestem daje mu znać, że jej się nie udało)  
(Przy osieroconym stoliku siedzą Joanna i Jerzy)

JOANNA — ... i dlatego poczułam się głęboko dotknięta tą rozmową z panem.  
JERZY — Doprawdy (rozgląda się po sali) Nie leżało to w moich intencjach, proszę mi wybaczyć.  
JOANNA — Wierzę. Niemniej miałam wrażenie, że jestem poddawana bezceremonialnemu p. esłuchaniu.  
JERZY — Przepraszam. Teraz rozumiem czemu moje zaproszenie do tańca uznano za nietakt.  
JOANNA — No, nietakt, to może za dużo, ale...  
JERZY — (coś tam dojrzał) A jednak był to nietakt. Pani jest bardzo wielkodusna, ale widzę wyraźnie, że moje narzucanie się...  
JOANNA — Mnie wbrew mojej woli narzucić się nie można.  
JERZY — Nigdy jeszcze nie byłem w równie głupiej sytuacji. Proszę mi wybaczyć.  
JOANNA — Cieszę się, że tak to pan widzi.  
JERZY — (wstał z krzesła) Przepraszam panią bardzo...  
JOANNA — Nie mówmy już o tym.  
JERZY — Czuję do siebie niesmak. Nie pojmuję, jak mogłem się tak zachować.  
JOANNA — Doprawdy, nie ma o czym mówić.  
JERZY — Pani wybacz (skłonił się) ale jestem innego zdania. Uwalniam panią od swego towarzystwa (odchodzi)

(Na parkiecie Dyrektor holuje Zbigniewa; dotarł do Kowalskiego i Marty. Zbigniew „odbija” Marcie Kowalskiego, którego Dyrektor łapie za rękaw)

KOWALSKI — Daj mi spokój!  
DYREKTOR — Nie rób widowiska! Musimy pogadać. (Dyrektor dotknął Kowalskiego do stolika) Siada!  
KOWALSKI — O co ci chodzi?  
DYREKTOR — Co ma znaczyć ten twój głupi papier?  
KOWALSKI — Tam jest wszystko napisane. Umiesz chyba czytać.  
DYREKTOR — Mam chyba prawo wiedzieć, co ci strzeliło do łba. Po tylu latach współpracy, mam chyba prawo?  
KOWALSKI — Właśnie, po tylu latach... Gdyby ich było mniej, pewnie bym tego papieru nie napisał.  
DYREKTOR — Tłumacz się jaśniej.  
KOWALSKI — To nie będzie przyjemne.  
DYREKTOR — Pieszczolę się nie spodziewam. Wal.  
KOWALSKI — Sam chciałeś. (po chwili) Nie mogę z tobą pracować.  
DYREKTOR — Czemu?  
KOWALSKI — Nie mogę. Nie umiem pracować z przełożonym, którego nie szanuję. A ciebie przestałem...  
DYREKTOR — (po chwili) Dlaczego?  
KOWALSKI — Posłuchaj. Wiem, że nie ty uznałeś iż ten anonim należy potraktować serio i zbadać ile w nim prawdy. Ktoś inny uważa, że taka twórczość może być pomocna w poznawaniu prawdy. Jego rzecz. (po chwili) Polecono ci ustosunkować się do tego utworu. Polecono: wniknąć w polecenie wykonania. Ale sposób wykonania, to już twoja sprawa, twoja decyzja. Powolałeś komisję.  
DYREKTOR — Która stwierdziła to, co ci dziś zakomunikowałem. Ze zarzuty anonim są bez pokrycia.  
KOWALSKI — A bez komisji tego nie wiedziałem?  
DYREKTOR — Oczywiście, że wiedziałem, ale...  
KOWALSKI — Nie interesuje mnie twoje „ale”. Wiem, że nie stać cię było na stwierdzenie, iż uważasz anonim za stek oszczerstw, bo znasz od lat człowieka, którego on dotyczy. Nie stać cię było na zaangażowanie w mojej obronie twogo autorytetu. Na zarzykowanie wolno stanowiskiem.  
DYREKTOR — Jakże to mogło być tryzko. Czyś ty zgłupiał? Przecież wszyscy członkowie komisji także widzieli, że zarzuty są bezdurne.  
KOWALSKI — No to po co to cała komedia z przesłuchaniami? Na co wam to było?  
DYREKTOR — Mówisz jak dziecko. Nie rozumiesz, że dla załatwienia raz na zawsze tej sprawy musiałem mieć solidną podkładkę? Nie moje głosowne zapewnienie a orzeczenie obiektywnego, badającego sprawę zespołu!  
KOWALSKI — Nie musiałeś. Chciałeś. Chciałeś mieć podkładkę. Zastanowiłeś się papirkiem. I nie mówmy o tym więcej. Ani mnie, ani tobie niczego poza irytacją ta rozmowa nie da.  
DYREKTOR — Zgoda. Nie mówmy. Wróćmy do tej sprawy w poniedziałek.  
KOWALSKI — Sądzisz, że się rozmyślę? (odchodzi do stolika)

(do Dyrektora podchodzi Batkowska)

BATKOWSKA — Dobrze ludzie się bawia. No i jak?  
DYREKTOR — Twarda sztuka. Malkonteni, psiaakrew! Nigdy nie był z niczego zadowolony. Zawsze mu czegoś brakowało.  
BATKOWSKA — Nie gadajcie. Prządny chłop.  
DYREKTOR — Nie musicie mnie uswiadamiac. Pracowałem z nim dwanaście lat.  
BATKOWSKA — Odejdźcie?  
DYREKTOR — Ja go zatrzymać nie mogę.

(Na parkiecie wesola wrzawa; rozbawieni ludzie czynią owoacje Kowalskiemu, podzuczając go do góry. Do Dyrektora podbiega ozywiona Lola)

LOLA — Panie Macieju, to naprawdę piękny wieczór. Serdecznie panu dziękuję.  
DYREKTOR — Przeccenia pani moje...  
LOLA — Już my wiemy, jak sprawy wyglądają. Bardzo, bardzo panu dziękuję. (odbiega)  
DYREKTOR — (do Batkowskiej) Co ją tak rozradowało?  
BATKOWSKA — A skąd można wiedzieć.

(Rozmawiających ogarnia rozbawiona ełba. Za chwilę Dyrektor fruwa ponad głowy swych podładnych. Zaraz potem tancerzy korowód porywa wszystkich obecnych.)

Przyjęcie jako naczelnej zasady jedności natury i kultury oraz jedności czasu cechuje współczesny klasycyzm. Pamiętając o tych zasadach i porównując je z następującą wypowiedzią Ziemowita Skibińskiego będącą fragmentem wiersza — prologu tomu „Maski”: „Natura — kultura jednym żywiołem” skłonni byłbyśmy bez wahania przypisać tego poeci do wspomnianego kierunku. Lecz już samo zakończenie cytowanego wiersza obudzić musi wątpliwości, co do sugerowanej klasyfikacji. Wypadkowa bowiem poglądów, charakterystycznych dla klasycyzmu jest twierdzenie o braku postępu w sztuce. Tak więc owa klasyczna jedność natury i kultury okazuje się tutaj swoistą dźwignią, która pozwala na coraz większe doskonalenie form, celów i treści, i coraz doskonalsze ich jednoczenie. Ta sprawa zjednoczenia dotyczy nie tylko natury i kultury. Również sam człowiek okazuje się zjednoczeniem różnych, często wykluczających się nawzajem postaw i stanów, i dopiero ich wypadkowa, w pełni przez danego człowieka uzmysłowiona, nadaje mu autentyczny wyraz, pozwala na wybór określonej roli. Na odrębne podkreślenie w cytowanym fragmencie zasługuje drugi wers, przenoszący niejako problem doskonalenia z przedmiotu, którym był twórca, na podmiot — twórcę, który pełni doskonałości nigdy osiągnąć nie może, i już zdanie sobie z tego sprawy prowadzi go (twórcę) do gorzkiego stwierdzenia, które Skibiński wkłada w usta Strzemińskiego: „To doskonałość mieć świadomość własnego obłędu”. Jest więc różny od ducha dzieł, kierującego wielkimi przemianami — pozwala tylko na utrwalenie tego, co już zwyciężyło. Jest konformistyczny i oportunistyczny, lecz nie można mu się przeciwstawić, gdyż jak stwierdza autor: „Chętnie dalbym ci w garść, ale jak, gdy twarzyć nie masz?”. Należy jednak pamiętać, że ów istniejący i nieistniejący zarazem „człowiek” jest wytworem naszej kultury, takim samym, jak i pojęcie nieości, do którego po części przynależy. A przecież nieości to także owa leśmianaowska „próżnia”, będąca istotą poznania. Stąd niemożność przeciwstawienia się całej opisywanej sytuacji, gdyż prowadziłoby to do sprzeliwiania się całej kultury: stąd znamienne zdanie: „Jeszcze nieości bym się sprzeliwiał?”.

Nie tylko te, chociażby się powiedzieć „generalne problemy” są tematem poezji Skibińskiego. Jest w tej twórczości również miejsce i na miłość, i na opis krajobrazu. Ale nawet tutaj autor każe przywodzić swojej poezji różnego rodzaju „maski”: bądź wywodzące się z kultury śródziemnomorskiej, bądź orientalnej czy rosyjskiej. Nigdy jednak nie zapomina o wym uzależnieniu całej kultury (w skład której wchodzi przecież i wspomniane przed chwilą motywy) od natury. I tutaj dopiero daje nam obraz owego postępu w sztuce, owego ciągłego rozwoju, pisząc: „...staje się wieczność, jakby umierał nieskończenie w pełnym słońcu, słońcu już klasycznym, bo w jednym miejscu wszechświata szalejącym, doskonałym, bo kołem określonym, a rozwijającym...” Postępem okazuje się nawet powiarywanie pewnych wzorów (symbol koła), ale już na innym poziomie świadomości (koło przelataca się w spiralę), która zmierza ku celom wciąż jeszcze i zawsze nieznanym, ale która zawsze pamięta o swych źródłach — miecie śródziemnomorskim i kulturze na nim wyrosłej. A że kultura ta nie jest wolna od skaz, należy też pamiętać o momencie wyboru tradycji, z której korzystamy: „Przebrales Rzymie, ty, (dla którego natura była niczym), a tylko słowa, meżowie, miecze”. Pomijając już sprawę widocznej tutaj nawet nadzędności natury nad kulturą, znajdujemy jeden jeszcze istotny element: popięcenie wszelkiego rodzaju sztuczności, która dla poety okazuje się być właśnie zerwanie więzi z naturą i podporządkowanie całokształtu życia sprawom „doczesnym”, polityce, „słowom, meżom, mieczom”. I tak natrafiamy na jeszcze jedną maskę — mitozowska maskę z „Traktatu poetyckiego”. Przywołanie Czesława Miłosza musiałoby wywołać przy tego rodzaju poezji i inne nazwiska poetów, które autor przytacza w tekście bądź w pełnym brzmieniu, bądź za pomocą cytatów, parafraz czy aluzji. Lecz przecież poezja kulturowa (a za taką należy uważać prezentowany zbiór) musi przywoływać symptomatyczne — dla poruszanych przez siebie problemów symbole i zjawiska — a takim będą tu nazwiska Koehnowskiego, Hafiza, Mickiewicza, Mandelstama czy Przybosa. Są to bowiem wszystko owe „maski”, z których raz po raz ukazuje się prawdziwa twarz autora, maski, których jedność tworzy sztukę — nieśmiertelną jak cała natura i kultura. Sztuka jedna i niepodzielna, wspólna dla wszystkich, i przez wszystkich jednako możliwa do wyrażenia, jak w zakończeniu „Monologu Strzemińskiego”: „To mówięm ja, Strzemiński, albo ktoś inny”, i zarazem jednak zindywidualizowana pozwalająca przetrwać jednostce, jak w haśle z tego samego wiersza: „W tym zatrawsz, w czym się zatracisz”.

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

Ziemowit Skibiński — „Maski”, Wydawnictwo Łódzkie 1973.

# AWANTURA O WNUCZKA

Przychodnia Rejonowa dla Dzieci nr 3 w Łodzi, przy ulicy Rydzowej 8.

Poniedziałek. Już od wczesnych godzin rannych panuje duży ruch. Korytarzyk budynku zaadaptowanego do potrzeb tej specjalistycznej placówki nie może pomieścić małych pacjentów i ich matek. Rejestratorki mają pełne ręce roboty. Kolejka prawie się nie zmniejsza. Chętnych wciąż przybywa.

Siedzą w poczekalni. Czysto, schudnie. Rejestratorki dwójki się i trojki, aby podać nawałowi pracy. Co chwila dzwoni telefon. I te zgłoszenia są załatwione. Niektórzy pacjenci są agresywni. Pod adresem pań z okienka padają niemiłe słowa, a przecież są uprzejmie i uśmiechnięte. Skąd ta nieufność, zaczeźność?

Z rozmowy z kierownikiem przychodni, dr Władysławem Bieszcem, dowiaduję się, że Rejonowa Przychodnia dla Dzieci Nr 3 sprawuje pieczę lekarską nad ponad 7 tys. pacjentów w wieku do 15 lat. Lekarzy jest pięciu. Reszta to średni personel medyczny. Dziennie jeden lekarz przyjmuje około 30-35 pacjentów oraz odbywa wizyty domowe średnio 8-10 tego samego dnia.

I tu dowiedziałem się rzeczy równie ciekawych co zaskakujących. — **Zwolnienia w zasadzie wydajemy bez ograniczeń** — mówi doktor Wl. Bieszcz. — **Niekiedy stajemy przed dylematem — zwolnienie czy porada? Bywają sytuacje niejasne. Pacjent nalega. Czy zawsze słusznie?**

Najwięcej zgłoszeń jest w soboty i poniedziałki. Wszystkie dni przed świętami, a nawet dni przed i po wszelkich popularnych imieninach, to okres wyjątkowej pracy dla lekarzy. Najbardziej na wydawanie dłuższych zwolnień należą pracownicy fizyczni: obrotnicy, obsługa porządkowa. Niechętnie przyjmują je młode małżeństwa na tzw. dorobku, pracownicy zawodów bardziej atrakcyjnych — technicy, inżynierowie itp. Wręcz odmawiają przyjęcia zwolnień nauuczyciele, no i służba zdrowia.

Pacjenci, a raczej ich rodzice, bywają nieznośni. Używają najprzeróżniejszych sposobów, uciekają się nawet do krzyków i awantur, starają się wydłuzić zwolnienie i to jak najdłuższe.

Przychodzi matka z dzieckiem. Na pierwszy rzut oka widać, że dziecko jest zdrowe jak ryba. Matka jednak twierdzi, że dziecko w nocy miało prawie 40° gorączki. Dala antybiotyk czy piramidon. Temperatura spadła. Dziecko jest chore matka nie poszła do pracy. Prosi, czasem wręcz żąda zwolnienia. Nie doбира słów, ton pozostawia wiele do życzenia. Lekarz zdaje sobie sprawę, że jest nacągany. A jeśli matka mówi prawdę? W rachubę wchodzi to sprawa niebagatelna — zdrowie dziecka. Daje trzy dni zwolnienia i kieruje na badania specjalistyczne.

— Tylko trzy dni — krzyczy zbuntowana matka. — **Tamta lekarka (tu pada nazwisko) na tę samą chorobę dawała pięć!**

— **No i oczywiście przychodzi do mnie ze skargą** — mówi dr Bieszcz. **Rodzice skarżą się na wszystko: na rejestratorki, pielęgniarki, lekarzy. Nawet kwestionują przepisywane leki, lub wręcz żądają przepisywania wybranego przez siebie medykamentu.**

Kierując pracą Przychodni muszę wysłuchiwać i załatwiać wiele takich bzdurnych spraw. I stwierdzam, że przez wielu rodziców jesteśmy traktowani jako specyficzny punkt usługowy, w którym wszystko musi być od zaraz i na żądanie.

A przecież nie zdarzyło się nam odesłać małego pacjenta z przyszłowiowym kwitkiem. Szanujemy czas rodziców i opiekunów. Dzieci otoczne są najtroskliwszą opieką. Warunki, w których egzystuje Przychodnia, są bardzo trudne. Mamy tylko trzy gabinety przyjąć. Sprawa lokalowa momentami urasta do paradoksów.

Kierownik chciałby, aby jego placówka powiększyła się, otrzymała budynek — przychodnie z prawdziwego zdarzenia. Od trzech lat fundamenty przeznaczonej dla tej przychodni budowli czekają na nadbudowę i inwestora. Osiedle Teofilów jest ogromne. Z dnia na dzień rosną jego potrzeby. Przybywa mieszkańców, przybywa dzieci. Nowych budynków mieszkalnych, pawilonów sklepowych, gospodarzo-żytkowców coraz więcej, a przychodni — dla dzieci, przychodni z prawdziwego zdarzenia wciąż nie ma i nie ma.

Przydałby się samochód. Owszem, niby jest, ale tylko jeden z dla trzech przychodni. Utrudzeni lekarze czekają (oczywiście już po pracy w gabinetach przyjąć), czasem po trzy godziny, aby zrealizować dzienny program wizyt. Czekają na nich mali pacjenci, czekają ich rodzice. Trudno jest wszakże brnąć przez nie zawsze uporządkowane ulice nowej dzielnicy po godzinach ciężkiej, wyjątkowej pracy.

Adresy są odległe. Kolejnych pacjentów dzieli przestrzeń, setki stopni. Cóż, nie wszędzie są windy... A pacjent czeka. Maluch ma zaufanie. Pan doktor, pani doktor da lekarstwo. Może nie zawsze smaczne, ale skuteczne.

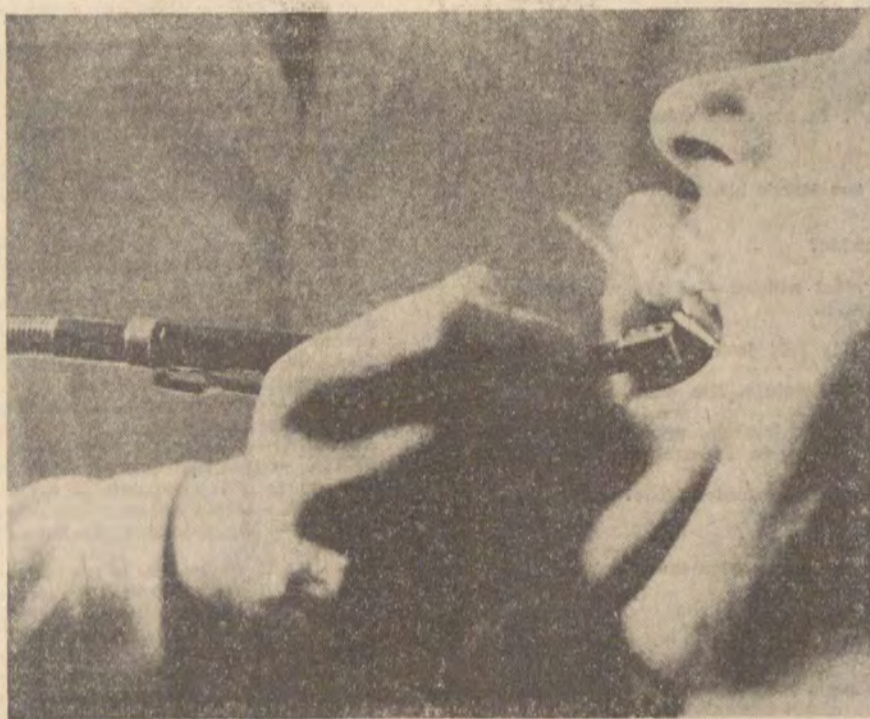
Lekarze też ludzie. Chorują. Choroba jednego z nich obciąża dodatkowo innych. Pracują wtedy w większym wymiarze godzin. Nikt przecież nie może odejść bez pomocy, porady.

Zegnam kierownika przychodni i udaję się do gabinetu lekarskiego. Tu przyjmuje pani doktor **Elżbieta Chomiczewska**. Wchodzi ojciec z małym, rumianym bobasem. Dzieciak

wprost kwitnie. Pyzata, zadowolona buźka.

— **Proszę się** — zaprasza uprzejmie pani doktor. — **Co dolega?**

— **Dziecko jest mizerne!** — mówi zdecydowanie tata tonem nie dopuszczającym żadnego sprzeciwu.



Fot. W. Parys

— **Zdaje mi się, że maluczek wygląda doskonale** — odzywa się uprzejmie pani doktor badając malucha.

— **Co mi tu pani gada! Ja wiem lepiej jako ojciec!** Poproszę o coś na apetyt.

Tym razem do gabinetu wchodzi matka z dzieckiem.

— **Dziecko coś dolega. Jest przeziębione** — mówi mama. Badanie lekarskie potwierdza przypuszczenie matki.

— **No to zapiszemy tabletki...**

— **Nie może brać** — oponuje zdecydowanie matka. — **Ma uczulenie.**

— **Hm... no to penicylinę. Zrobimy próbę.**

— **Penicylina też nie!** — krzyczy prawie histerycznie matka.

— **No to co może?** — pyta pani doktor.

— **To już pani powinna wiedzieć! Pani jest przecież lekarzem!**

Otworzyły się drzwi. Z korytarza usłyszałem gwar podniesionych głosów. Zrozumiałem, że ktoś wchodzi bez kolejki. Ze zdumieniem przyglądam się starszej pani, która właśnie ukazała się w gabinecie. Dość korpulentna, wytwornie ubrana, jaskrawe, jak na jej wiek, makijaż. W jednej ręce wypchana siatka, torebka i cienki sznureczek od ogromnej kolorowej wywrotki, która jedzie za nią po podłodze. Drugą ręką ciągnie szarpającego się malucha lat około trzech.

— **Dzień dobry kochanej pani doktor. Ukłon się Jacusiu.**

Jacusi ani myśli się uklonąć. Wypuszczony z rąk babci zaczyna bieg po gabinecie.

— **Co dziecku dolega?** — odpowiada babka, uganiając się za niesfornym malcem.

— **Proszę dziecko rozebrać.** Chłopiec został wreszcie schwytyany, obspany pocałunkami i obdarzony upomnienniem: „Jacusiu, jak można tak się zachowywać!”

Zaczęło się rozbieranie. Czapeczka gruba, czapeczka cienka, szalczek, płaszczyk, kamizelczka, sweterek jeden drugi, koszula, koszulka... Spo-

ef. Sytuacje, w których nas, lekarzy, stawiają są często trudne, nawet dramatyczne. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że czasami chodzi po prostu o zwolnienie.

Plaga naszą są pacjenci „etatowi”. Ciotki, babcie siedzą z maluchami w przychodni całe dni. Ciągła dziesiąta od lekarza do lekarza. Wynajdują coraz to nowe, urojone oczywiście, schorzenia. Niemiłe są matki, które awanturują się z byle powodu, wiedząc lepiej niż lekarze co maluchowi dolega, dyktując nam recepty, apodyktyczne, histeryczne, rozkrzyżowane. Nie lubię też pacjentów przesadnie ugrzeszonych, tych, którzy prawie już od progu padają na kolana. Różnie jesteśmy traktowani. Zdarza się czasami, iż udaję się na wizyty domowe drzwi zastajemy zamknięte. Na drugi dzień wpada do przychodni ojciec rzekomo ciężko chorego dziecka z karczemną awanturą, że lekarza nie było. Na szczęście takie wypadki zdarzają się coraz rzadziej...

Jednak nasza praca nie wygląda aż tak czarno. Wiele ludzi wie, do kogo przychodzi i po co. W ich postawie pełnej godności i jednocześnie szacunku dla nas widzimy coś, co utwierdza naszą wiarę w to, jak bardzo jesteśmy potrzebni społeczeństwu, dzieciom... Tu pani doktor zamysła się chwilę — chciałam panu jeszcze coś odpowiedzieć. Bywają momenty wzruszające. Jak dziś pamiętam malca, który po wizycie długo szepiał z mamą, wyraźnie nalegając na coś. Matka zdecydowanie oponowała, próbując wyjaśnić. Nic to jednak nie pomogło. Maluch zmusił ją, aby wyjęła z torby jego ugrzeszonego już wafel i ofiarował go mi, zapewniając, że jest taki smaczny, a ja taka kochana i dobra, że muszę go wziąć.

Gabinety lekarskie — nasza Mekka, Mekka znerwicowanych, schorowanych ludzi dwudziestego wieku. Ile trudu trzeba sobie zadać, aby przestąpić ich próg? Nie jest tajemnicą, że kolejki przed okienkiem rejestracyjnym są długie — wszyscy to wiemy. Stoimy, siedzimy, czekamy, zrywamy się. Dookoła nas ludzie, każdy tak jak my, zdenerwowany i chory.

A teraz dodajmy, że to przychodnia dla dzieci... Nie my jesteśmy chorzy, tylko dzieci. A one, wiadomo, ruchliwe jak żywe srebro. Takie, to czy chore czy zdrowe, musi się wiercić i domagać się praw przynależnych jego wiekowi. Człowiek czeka, denerwuje się, a tu dzieciak wrzeszczy — mamusi, ja chcę siusiu, mamusiu pić, mamusiu jabłko, a w zapasie ma jeszcze cały arsenał życzeń...

Prawda jest taka, że nie lubimy chodzić do lekarzy ze swymi dolegliwościami, ani z chorymi dziećmi. Ale trzeba, wiadomo — choroba nie wybiera. Tylko jak to jest z tymi sobotami, poniedziałkami i popularnymi imieninami — dlaczego akurat wtedy w przychodniach jest największy tłok? Czy nie przesadzamy? Warto byłoby zastanowić się przed każdym pójściem do lekarza, powiedzieć sobie jasno do kogo i po co idziemy.

Pomyślmy, czy lekarz lubi być naciągany? Czy naprawdę nie orientuje się kto jest chory, komu potrzebna pomoc, jakiego ma przepisać leki. Nie wstydź się go uczyć, przecież uczyli go nie tacy jak my i dyplom mu dali. Nie wstydź się zwracać mu głowę bo w domu jest pranie, bo jutro imieniny Władka — trzeba posprzątać i wziąć poprawkę na kaca, a tam czeka chory, chory z gorączką, dziecko albo ktoś samotny i stary, ktoś, kto nie może o własnych siłach przyjść do przychodni, czeka cała rodzina skupiona przy chorym i wszyscy wierzą, że przyjdzie i pomoże... a on przyjdzie, zaraz przyjdzie tylko da zwolnienie na pranie, na imieniny, na kaca, zaraz przyjdzie...

EDWARD BRYL

— **Czy pan wie, co się tam wyrabia?** Przecież to jest bzdura. Jeśli odpapierkowaliśmy roboty przybierać ma takie formy, to przepaszam, to... to... He czasu można tracić na zwykłe prześwietlenie!

Nasz Czynelnik pracuje w „Textilimpexie” a mieszka w Konstanczynie. Pewnego dnia poczuł się gorzej, udał się do lekarza i otrzymał skierowanie na prześwietlenie. W swoim rodzinnym Konstanczynie odwiedził najbliższą przychodnię zakładową „Constlanu” gdzie jednak odmówiono mu prześwietlenia. Jako zdecydowany obywatel — nie rozumiejąc wszakże dlaczego — a b 12 s z a przychodni nie wyświadczyła mu tej ludzkiej usługi, nasz Czynelnik udał się do Przychodni Powiatowej przy ul. Wólczańskiej 114. Pokazał skierowanie i już gotów był rozebrać się do pasa, słowem już był w ogradku... — gdy recepcjonistka zainformowała go niespodzianie o tajemniczej „zielonej karcie”. Nasz Czynelnik pierwszy raz o niej słyszał, wydawało mu się, że aby prześwietlić się wystarczy mimo wszystko samo lekarskie skierowanie. Ostatecznie prześwietlenie to nie jest wizytą do Jusostawli, aby podawać datę i miejsce urodzenia, zawód, miejsce zatrudnienia — etc.. Mimo to wydehlil „zieloną”, tak jak wypelnily „czerwona”, „żółta” „beżowa” i „fakalnozielona”, wymagana przez recepcjonistkę. I wtedy okazało się, że teraz z ul. Wólczańskiej musi pofatyrować się na ul. Moniuszki 79, gdzie zostanie wreszcie prześwietlony.

## REDAKCJO, OPISZ...

Redakcjo, może Ty mi odpowiesz na takie pytanie, co zrobić jak się ma dziure w zębie, to stuple pytanie, trzeba iść do dentysty, dobrze, u nas jest Poradnia, przy ulicy Lanowej róg Traktorowej, ma trzywiedniowe terminy, a na domiar zięgo jak się przyjdzie w terminie to dentystka chora, nie ma komu robić, albo sanatorium albo urlop itd., a jak już jest to trzeba odczekać trzy godziny, żeby się dostać na 15 minut, i jeszcze gadu, gadu o swoich sorawach zamiast pracować w skupieniu i milczeniu, a za drzwiami inni czekają, albo takie mam pytanie, dlaczego oni zaczynają pracę o ósmej trzynaście nie tak tak późno, że o ósmej, pacjent też ma nerwy i dość oczekania w kolejce za wszystkim, gdzie są zastępstwa i ten ład i ten porządek, teraz gdy tam póde to bede naznaczona dopiero na czerwiec i to chyba też nie, bo może znów będzie urlop i jak długo chodzić z takim zębem, zobacz Redakcjo sama i opisz, to jest sprawa do omówienia z większą ilością ludzi i tylko trzeba ich koniecznie opisać”. Następuje podpis.

## GDY CHORUJE DZIECKO

— **Córka zachorowała nagle (2 latka), ok. godziny 8 rano byłam w przychodni**

„D” na Lecznicy... Ania miała prawie 39 stopni gorączki. W przychodni rejestratorka odmówiła wstępu na listę wizyt domowych. Wróciłam do domu (dziecko było z sąsiadka), podałam piramidon, iakoś do wieczora przeszło... Rejestratorka tłumaczyła, że lekarz ma już komplet pacjentów na popołudnie... W nocy dziecko dostało konwulsji, weszłam Pogotowie... Zanim przyjechali, dziecko traciło przytomność... Zrobiłam masaż, pomazała mi sąsiadka, kiedy lekarz wszedł do mieszkania dziecko odzyskało przytomność. Zbadali — lekarz postanowił zabrać dziecko do szpitala, bo nie mógł stwierdzić przyczyny... Nie zrodziłam się. Rano nie ryzykowałam już wizyty w poradni. Sąsiadka zadzwoniła do swojej znajomej lekarzki, pediatry, i przyjechała taksowką z Bałut i wreszcie zbadala dziecko... Poradnie „D”, zwłaszcza na Górnej, kojarzą mi się z długimi kolejkami wycekalanych rodziców... (Danuta K., technik budowlany).

## JAK CZEKAMY

Centralne Laboratorium Analityczne dzielnicy Śródmieście, przy ul. Zachodniej 8. Liczba pacjentów ciągle rośnie, personel obija się o pacjentów, pacjenci — o personel. Przychodnia specjalistyczna przy ul. Próchnicka krzeszczy w szwach, aż dziś bierze, że musi ona obsłużyć ok.

denki, bućki, rajtuzki powędrowały by niewątpliwie na krzesło, gdyby pani doktor nie powstrzymała zapalu babci.

— **Maluch stanął rozebrany do połowy, czerwony, zgrzany z włosami zlepionymi, mokrymi od potu.**

— **Dziecko jest za grubo ubrane** — mówi p. doktor.

— **Wła pani, jestem taka zajęta. Złęć cię, le w delegacjach zagranicznych, córka ma odpowiedzialną pracę kierownik delikatesów, a Jacusi jest taki wuj, wrażliwy. Ciągłe się przeziębia. Już drugi raz w tym miesiącu** — mówi troskliwa babcia.

— **Maluczek ciężko śpi, próbuje znów wyrwać się z jej rąk.**

Nie kończę opisanych scenek. Po co? Lekarzka jest uprzejma, uśmiechnięta. W rozmowie z nią chciałem dowiedzieć się wielu rzeczy. Na pytanie, jak się pani pracuje — odpowiedziała: różnie, bo różni bywają pacjen-

## KOMPLEKSOWE BADANIA

— **Proszę pana, tracę już czwarty dzień z rzędu, bo wpadło mi do głowy, że wiasciwie powinienem zapilnować sobie kompleksowe badania.** Mam nerwowa prace, coraz częściej odczuwam dolegliwość żołądkową, serce też już nie to, co kiedyś, zadywka i tak dalej... W pewnym momencie poczułem po prostu, że zaczynam się „wypadać”. Chce wiedzieć, co w czwartym tygodniu... Kiedyś się zorientowałem w tej tu procedurze — wzięłem czterodniowy bezpłatny urlop... Pewnie, że zdrowie najważniejsze. Ale czy takich badań nie może sobie człowiek zafundować w ciągu jednego dnia?

## JOANNA DECZYŃSKA

— **Kiedy byłam studentką nie miałam większych kłopotów — w „Palmie” nie czekało się długo. Teraz, odkąd pracuję, nie mogę doznać się terminu przyjęcia przez dentystę. Kiedy mieszkałam na Górnej, lekkość zataczałam się do przychodni przy ul. Przybyszewskiego, tylekroć raczone mnie terminem minimum trzytygodniowym. Mam akurat taką pracę, że**

## ŻADANIA WYGÓROWANE?

— **Może chyba żądać od lekarza rejonowego wyspecjalizowanej pomocy lekarskiej. Dzisiaj zdrowie to pieniąż. Nie ma się chyba co dziwić, że byle jakie sensacje, dolegliwości czy bóle pchaia ludzi do specjalistów. Jak tylko człowiekowi coś dolega chce się przekonać, upewnić o swym stanie zdrowia. Kto może sobie pozwolić na chorobę, na całym świecie rosna ceny, wszędzie żąda się coraz intensywniejszej pracy, im lepsza praca, tym wyższa płaca, więc pytam — kto pozwolił sobie na chorobę? Ludzie w byle czym blesna do lekarzy, ale tak chyba powinno być. Ba — lekarz to powinien być ktoś bardzo bliski w odczuciu pacjenta, ktoś, kto nie zamyka drzwi z ulga po wywnianiu recepty. Jak leczy na przykład faceta chorego na gastritis cum deformatio bulbo diodendi powinien wiedzieć, skąd te wieczne stwresy, napięcia i „nerwowa” u pacjenta...” (urzednik bankowy).**

## Zanotował:

MARIAN PRYSZALSKI



**Z naczelnym redaktorem „Głosu Robotniczego” — SERGIUSZEM KLACZKOWEM rozmawia Lucjusz Włodkowski.**

- Kiedy znów spotkamy się z „Głosem Robotniczym” na Zdrowiu?
- W niedzielę, 16 czerwca.
- Który to już raz?
- Piąty.
- I co tam zobaczymy ciekawego?
- Występy artystów estradowych, odbędzie się tradycyjny już wyścig rowerowy dla najmłodszych, można będzie oglądać start balonu z załogą Aeroklubu Poznańskiego. Będzie to pierwszy po wojnie start balonu w Łodzi. I wiele innych atrakcji.

# „GŁOS ROBOTNICZY” WSZĘDZIE Z TOBĄ!

— Zaczęło się od festynu na Zdrowiu, ale przecież obecnie doroczne święto gazet partyjnej nabrało już zupełnie innego charakteru.

— Zaczęliśmy od festynu, bo było to autentyczne zapotrzebowanie społeczeństwa, domagali się tego nasi Czytelnicy.

— Można zaryzykować chyba twierdzenie, że festyn „Głosu Robotniczego” na Zdrowiu wrócił już w kulturalną tradycję miasta.

W listach, jakie otrzymujemy w redakcji, znajduje się wiele opinii, które głoszą, że taka impreza była

zorganizowana przez prasę, radio i telewizję. Chcemy otrzymać odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu prasa, radio i telewizja wpływają na kształtowanie postaw młodych, w jakim stopniu zaspokajamy zainteresowania młodych.

— Kontakt „Głosu Robotniczego” z nauką jest żywy i urwały. Wyraża się to nie tylko we współdziałaniu czy udziału w różnych spotkaniach naukowców, ale także w tym, że naukowcy stale niemal goszczą na łamach gazety.

Drukujemy teraz cykliczną pozycję, której autorem jest rektor Uni-

wersytetu Łódzkiego — prof. J. Górski. Uważamy tę publikację za coś w rodzaju naszej akademii ekonomicznej dla Czytelników.

W roku nauki polskiej prezentowaliśmy pracownikom łódzkich wyższych uczelni i instytutów, pokazując osiągnięcia ludzi tam pracujących. Poza tym ludzie nauki często zabierają głos w dyskusjach organizowanych przez redakcję.

— Podobnie jak działacze partyjni, społeczni, gospodarzy...

— Gazeta jest dla Czytelników, im ma służyć. Staramy się więc udostępnić imy tym wszystkim, którzy mają coś do powiedzenia i którzy chcieliby zabrać głos, których zaangażowanie w nasze powszednie sprawy zmusza do mówienia na temat, który ich nurtuje, w którym mieliby do zaproponowania interesujące rozwiązania. Udostępniamy imy tym, którzy sami napisali i przyszli z tym do redakcji, innych zachęcamy do pisania, a jeszcze innych zapraszamy do redakcyjnej dyskusji.

Organizujemy takie dyskusje między innymi i dlatego, że zdajemy sobie sprawę, iż w natłoku licznych spraw, przy szybkim tempie życia, wielu ludzi nie ma ani czasu, ani siły aby zająć się do pisania. A przecież mają wiele do powiedzenia, mają dużą wiedzę o życiu, w którym aktywnie uczestniczą. Trzeba im stworzyć do tego okazję. Nie znaczy to, że tylko dlatego organizujemy redakcyjne dyskusje i tylko dlatego na łamach gazety poświęcamy im wiele miejsca. Takie dyskusje są też pomocne członkom naszego zespołu dostarczając imy wielu ciekawych tematów, którymi później zajmują się w publicystyce.

— A przecież ludzie piszą do swojej gazety.

— W ciągu roku dostajemy przeszło 11 tys. listów.

— Jak to są listy?

— Bardzo różne. Są to listy do redakcji i przez redakcję rejestrowane. Obok nich przychodzą jeszcze listy do każdego z autorów, ale są one już tylko niewielkim procentem w ogólnej liczbie.

Piszą do nas Czytelnicy o sprawach ogólnych. Czasem wystarczy niewielka adrejtacja i list można drukować. I drukujemy takie listy, jak też wiele miejsca na łamach poświęcamy listom, cytując ich fragmenty, jak i odpowiedziom na sprawy poruszone w listach Czytelników. Instytucje odpowiadają wtedy na krytyczne uwagi Czytelników.

Obok listów ze sprawami ogólnymi przychodzi wiele listów z prośbą o interwencję, pomoc, zawierających skargi na złe funkcjonowanie urzędów, handlu, usług, komunikacji. Sporo spraw interwencyjnych Czytelników załatwiamy bezpośrednio z poszczególnymi instytucjami.

— Jakie miejsce w redagowaniu gazety zajmują listy?

— Czytelnicy nawet nie zdają sobie sprawy z tego, jak wielką pomocą dla nas są ich listy.

— Nie jest to jedyna forma kontaktu z Czytelnikami?

— Co czwartek kilkadziesiąt osób przychodzi po bezpłatną poradę do

radcy prawnego naszej gazety. Przychodzą z swoimi sprawami do poszczególnych dziennikarzy, do „Małego Głosu”. Otrzymujemy bardzo dużo telefonów w bardzo różnych sprawach. Niekiedy, gdy zdarzy się błąd w gazecie, a to się przecież zawsze może zdarzyć mimo naszych rozlicznych starań, aby tak nie było, zaraz mamy reakcję Czytelników, którzy dzwonią i wytykają nam pomylki. Dzwonią również wtedy, gdy

— Jakże zadania postawiła sobie gazeta w trzydziestolecie PRL?

— Pokazujemy na łamach „GR” kraj, problemy i sprawy, którymi żyje. Osiągnięcia własnego regionu i innych. Chcemy pokazać, jak w różnych stronach Polski rozwiązują się określone problemy i dzięki czemu przychodzą sukcesy.

— A więc coś w rodzaju prezentacji doświadczeń?

— Na przykład: mamy w Łodzi i województwie kłopoty z fluktuacją kadr. Zadaliśmy sobie pytanie: a jak jest w Mielcu? W jaki sposób „Stal” — Mielec, a więc sport, wpływa na integrację załogi? Albo interesuje nas sposób kompleksowego budowania i oddawania osiedli. Jak to robią inni? Co można byłoby u nich podpatrzeć i adaptować w Łodzi?

Prezentujemy także od dłuższego czasu ludzi, którzy wyróżnili się w trzydziestolecie, pokazujemy nasze



**KALEJDOSKOP**

Niniejszym, za pośrednictwem Waszego poczytnego pisma, pragnę wyrazić swoje uznanie dla Wydziału Kultury i Sztuki przy Urzędzie m. Łodzi za wspieranie i jakże potrzebne już od dawna przedsięwzięcie, jakim jest wydanie Informatora Kulturalnego „Kalejdoskop”. Jestem przekonany, że w ciągu najbliższych miesięcy będziemy mieli namacalne dowody na to, że informator taki jest niezbędnym i niemal doskonałym środkiem pozwalającym na maksymalne zblizenie dojr kulturalnych z ich odbiorcami. Małac pod reka „Kalejdoskop” potencjalny odbiorca nie jest skazany na przydatkowe tylko źródła informacji o odbywających się imprezach, ale małac wolny czas i środki materialne po prostu zarzy do informatora i wie gdzie i co może znaleźć dla siebie. Może także sobie wcześniej zaplanować udział w takiej czy innej imprezie. Zeby jednak mieszczni mógł spełnić swoje zadanie trzeba z nim dotrzeć do każdego niemal środowiska. Szeroko rozróżnić do zakładek prac i instytucjach tak, aby znalazł się w każdej rodzinie nie tylko łódzkiej, ale także w pobliżu miasta. Oczywiście nie wystarczy nakład 5000 a potrzeba będzie w przyszości być może 100.000 lub więcej. Trzeba tylko, aby każdy mieszkaniec Łodzi, począwszy od przedszkolaków wiedział, że jest dla każdego dostępne wczorajnie źródło informacji o wszystkich imprezach kulturalnych, odbywających się w mieście, w danym miesiącu. „Kalejdoskop” ma tylko jedną mankament, mianowicie jest nim reperuar łódzkich kin. Podano tylko wykaz kin premierowych i studynnych, a uważam, że społeczeństwo z przysmością znalazłoby reperuar wszystkich kin łódzkich, jeśli chodził o celowość istnienia i przydatność takiego informatora, to mój entuzjazm sięga tak daleko, że o tego powodzeniu jestem przekonany tak, jak o tym, że kobiety są przewrotne, a na dowód tego zobowiązałem się złożyć wszystkie ezemplarze „Kalejdoskopu”, na które nie będzie nabyców, jeśli nakład w dalszym ciągu będzie wynosił tylko 5000 ezemplarzy.

**JAN STANISŁAW KOŁODZIEJ**



Fot. Włodzimierz Parys

potrzebna, że odpowiada ludziom i chcieliby, aby odbywała się nie tylko raz w roku.

— Przez te pięć lat doroczne święto „Głosu Robotniczego” obrosto też i innymi imprezami.

— Po raz drugi nagradzamy ludzi inicjatyw społecznych, działaczy społecznych, o szczególnej pomyślności i ofiarności w pracy dla środowiska.

— Kto ich zgłasza do nagrody?

— Samorządy mieszkańców, jeśli są to działacze z osiedla, a poza tym komitety FJN, terenowe organizacje partyjne, a często po prostu koledzy z pracy czy sąsiedzi.

— Ilu działaczy w tym roku kandyduje do nagrody?

— Blisko stu.

— A ilu otrzyma nagrodę?

— Dziesięciu.

Będzie to bardzo trudny wybór.

— Trudny, ale nie jedyny, bo również chcemy w tym roku nagrodzić laureatów różnych szkolnych olimpiad. I też trzeba będzie spośród tych uczniów Łodzi i województwa wybrać dziesiątkę najlepszych.

— „Głos Robotniczy” w swojej polityce redakcyjnej wiele uwagi skupia na sprawach dobrej roboty, popiera pozytywne inicjatywy, tak więc nagradzanie najlepszych jest konsekwencją takiego postępowania.

— Jako organ KW i KL PZPR widzimy swoje naczelnne zadanie w popularyzacji polityki partii. Rozumienie to nie tylko jako informowanie społeczeństwa o poczynaniach partii, ale dążymy do tego, aby podejmować takie inicjatywy, które sprzyjałyby realizacji zadań, jakie przed nami wszystkimi stawia partia. Stąd wiele naszych akcji redakcyjnych. Na przykład: „Każdy dzień na wagę złota”, „Błyskawicznie i dobrze”. Dlatego też pokazujemy na łamach gazety ludzi dobrej pracy, takich, którzy nie oglądają się na innych, nie czekają aż „zrobi się samo”, ale swoim twórczym wysiłkiem, doświadczeniem i pracą służą społeczeństwu, służą partii. I rzeczywiście konsekwencją takiej linii jest nagradzanie najlepszych, z okazji święta gazety.

— Doroczne święto gazety — a za rok będzie ona już „trzydziestolatkami” — jest tylko okazją do skoncentrowania niektórych Waszych akcji. A orzeczeń organizujecie ich sporo nie tylko z okazji dorocznego święta. Pamiętam niedawna choćby sesję naukową poświęconą sprawom aglomeracji.

— Była to Ogólnopolska Konferencja na temat Aglomeracji Łódzka na tle innych aglomeracji wielkomiejskich w Polsce. Organizowaliśmy ją wspólnie z Uniwersytetem Łódzkim, a interesował się nią Komitet Nauki.

— Ale teraz, w sobotę 15 czerwca, organizujemy inną, również ogólnopolską sesję. Będzie ona poświęcona sprawom czytelnictwa wśród młodzieży. Współorganizatorem jest Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. Chodzi nam o to, aby zorientować się, jak młodzież oceniają ich sprawy omawiane i pre-

zentowane przez prasę, radio i telewizję. Chcemy otrzymać odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu prasa, radio i telewizja wpływają na kształtowanie postaw młodych, w jakim stopniu zaspokajamy zainteresowania młodych.

— Kontakt „Głosu Robotniczego” z nauką jest żywy i urwały. Wyraża się to nie tylko we współdziałaniu czy udziału w różnych spotkaniach naukowców, ale także w tym, że naukowcy stale niemal goszczą na łamach gazety.

Drukujemy teraz cykliczną pozycję, której autorem jest rektor Uni-

wersytetu Łódzkiego — prof. J. Górski. Uważamy tę publikację za coś w rodzaju naszej akademii ekonomicznej dla Czytelników.

W roku nauki polskiej prezentowaliśmy pracownikom łódzkich wyższych uczelni i instytutów, pokazując osiągnięcia ludzi tam pracujących. Poza tym ludzie nauki często zabierają głos w dyskusjach organizowanych przez redakcję.

— Podobnie jak działacze partyjni, społeczni, gospodarzy...

— Gazeta jest dla Czytelników, im ma służyć. Staramy się więc udostępnić imy tym wszystkim, którzy mają coś do powiedzenia i którzy chcieliby zabrać głos, których zaangażowanie w nasze powszednie sprawy zmusza do mówienia na temat, który ich nurtuje, w którym mieliby do zaproponowania interesujące rozwiązania. Udostępniamy imy tym, którzy sami napisali i przyszli z tym do redakcji, innych zachęcamy do pisania, a jeszcze innych zapraszamy do redakcyjnej dyskusji.

Organizujemy takie dyskusje między innymi i dlatego, że zdajemy sobie sprawę, iż w natłoku licznych spraw, przy szybkim tempie życia, wielu ludzi nie ma ani czasu, ani siły aby zająć się do pisania. A przecież mają wiele do powiedzenia, mają dużą wiedzę o życiu, w którym aktywnie uczestniczą. Trzeba im stworzyć do tego okazję. Nie znaczy to, że tylko dlatego organizujemy redakcyjne dyskusje i tylko dlatego na łamach gazety poświęcamy im wiele miejsca. Takie dyskusje są też pomocne członkom naszego zespołu dostarczając imy wielu ciekawych tematów, którymi później zajmują się w publicystyce.

— A przecież ludzie piszą do swojej gazety.

— W ciągu roku dostajemy przeszło 11 tys. listów.

— Jak to są listy?

— Bardzo różne. Są to listy do redakcji i przez redakcję rejestrowane. Obok nich przychodzą jeszcze listy do każdego z autorów, ale są one już tylko niewielkim procentem w ogólnej liczbie.

Piszą do nas Czytelnicy o sprawach ogólnych. Czasem wystarczy niewielka adrejtacja i list można drukować. I drukujemy takie listy, jak też wiele miejsca na łamach poświęcamy listom, cytując ich fragmenty, jak i odpowiedziom na sprawy poruszone w listach Czytelników. Instytucje odpowiadają wtedy na krytyczne uwagi Czytelników.

Obok listów ze sprawami ogólnymi przychodzi wiele listów z prośbą o interwencję, pomoc, zawierających skargi na złe funkcjonowanie urzędów, handlu, usług, komunikacji. Sporo spraw interwencyjnych Czytelników załatwiamy bezpośrednio z poszczególnymi instytucjami.

— Jakie miejsce w redagowaniu gazety zajmują listy?

— Czytelnicy nawet nie zdają sobie sprawy z tego, jak wielką pomocą dla nas są ich listy.

— Nie jest to jedyna forma kontaktu z Czytelnikami?

— Co czwartek kilkadziesiąt osób przychodzi po bezpłatną poradę do

radcy prawnego naszej gazety. Przychodzą z swoimi sprawami do poszczególnych dziennikarzy, do „Małego Głosu”. Otrzymujemy bardzo dużo telefonów w bardzo różnych sprawach. Niekiedy, gdy zdarzy się błąd w gazecie, a to się przecież zawsze może zdarzyć mimo naszych rozlicznych starań, aby tak nie było, zaraz mamy reakcję Czytelników, którzy dzwonią i wytykają nam pomylki. Dzwonią również wtedy, gdy

— Jakże zadania postawiła sobie gazeta w trzydziestolecie PRL?

— Pokazujemy na łamach „GR” kraj, problemy i sprawy, którymi żyje. Osiągnięcia własnego regionu i innych. Chcemy pokazać, jak w różnych stronach Polski rozwiązują się określone problemy i dzięki czemu przychodzą sukcesy.

— A więc coś w rodzaju prezentacji doświadczeń?

— Na przykład: mamy w Łodzi i województwie kłopoty z fluktuacją kadr. Zadaliśmy sobie pytanie: a jak jest w Mielcu? W jaki sposób „Stal” — Mielec, a więc sport, wpływa na integrację załogi? Albo interesuje nas sposób kompleksowego budowania i oddawania osiedli. Jak to robią inni? Co można byłoby u nich podpatrzeć i adaptować w Łodzi?

Prezentujemy także od dłuższego czasu ludzi, którzy wyróżnili się w trzydziestolecie, pokazujemy nasze

**OD REDAKCJI**

Zyczymy smacznego. „Kalejdoskop” fest jeszcze do nabycia w kioskach „Ruchu”.

**ARTYLERZYŚCI**

W „Odgłosach” nr 35 z dn. 2 września 1973 r. zamieszczono fotografie rezyby przedstawianca trzech żołnierzy obok armaty. Prześniemy wszystkie kłopoty obok tej fotografii. Otóż trzeba tu nie jest, jak podano, dziełem Kawerago Dunikowskiego. Jej autorem jest Edmund Małakowski (ur. 1927). Wzrobia nosi tytuł „Artylerzyści” i jest własnością Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

**„Z KABANOSEM DO PARYŻA”**

Andrzej Grun w „Odgłosach” nr 26 z 16 maja 1973 r. pisze o VIII Biennale Młodych w Paryżu:

— Mark Prent (Kanada) zaaranżował sklep reżenicy, w którym handlował ludzkim mięsem. „Na tacy, obok was, leżał polichromowany tors ludzki bez rąk. Za szkłem lamy chłodniczej wystawione były nieraz kobiece, czarne i białe kobiety — pokrojone w plasterki, za zatkniętymi w nie na drucikach cenami od kilograma, a dalej kalce oczna, kawałki norabanych głów, marynowane w zielonym occie falisy. Obok części ciała ludzkiego obrabane w kształt wina, otekana na różnie — relacjonuje Bożena Kowalska. Rozmawiałem o tym z człowiekiem, który przeszedł przez kilka obrotów koncentracyjnych i był krótkim doświadczalnym w reżach hitlerowskich „naukowców”. Powiedział: — Jeżeli to miał być dowód — to znam lepsze. Jeżeli protest, to miałki fest tego ciezar. Tamtych list, które przesyłem i obrazów, które mam w sobie, nie wywiera. I żadna sztuka nie może tego, bo to, co działo się wtedy, przetrastało granice człowieczej wyobraźni. Odrabiane plastikowe pierśi? Ja widziałem pierśi odcięte żywej kobiecie. Porównywanie miłoś lub barzezi udanych propozycji VIII Biennale do makabrycznych przeżył wzięcia obrotów koncentracyjnych jest chwyttem co najmniej niestosownym, tym bardziej że pan Andrzej Grun opiera się na subiektywnej relacji osoby trzeciej o tym, co było przedmiotem ekspozycji VIII Biennale. Wcielag z tej relacji jest klasyczna trzecia woda po kielisku. Wdarzenia VIII Biennale — sensacyjnie opisał Bożena Kowalskiej — jednostronny wybór fragmentów opisu dokonany przez Andrzeja Gruna. Z wydarzeniami tego typu, jakie zaproponował Mark Prent, nie można wojować jak ciekłymi argumentami. Pan Andrzej Grun jest autorem „Fryzur” zamieszczanych co tvdzenie w „Odgłosach”. Proponuję taki zapis powstałej sytuacji. Dwa rysunki. Na pierwszym, sympatyczny a wady atleta okreca wokół siebie miot, pragnąc wyrzucić go z ogromną siłą. Drugi rysunek jest konsekwencją jego zamiarów. Miot pozostaje na miejscu, atlet zaś tecl efektywna narobola w tłum oczekujących sensacji kibiców. Taką jest waga argumentów.

Z poważaniem  
**CZESŁAW BORKOWSKI**

— Jak w wyniku z badań pracowni socjologicznej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, które jest wydawcą „GR”, jesteśmy gazetą z równomiernie rozłożonym czytelnictwem. To znaczy, że czytają „Głos Robotniczy” i pracownicy placówek naukowych, robotnicy, inżynierowie, nauczyciele, studenci, uczniowie, ludzie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Socjologzy, którzy badają czytelnictwo „Głosu Robotniczego” twierdzą, że w każdej z tych grup społeczeństwa Łodzi i województwa odbiór gazety partyjnej jest rozłożony równomiernie, że nie ma zachwiania w proporcjach między poszczególnymi grupami.

— To dowodzi, że model gazety, jaka reprezentuje „Głos Robotniczy”, odpowiada zapotrzebowaniu. Jaki jest obecnie nakład gazety?

— W soboty dajemy 540 tys. egzemplarzy, a w pozostałe dni tygodnia średni nakład wynosi 300 tys. egzemplarzy.

— Jakże więc miejsce wśród gazet partyjnych w kraju zajmuje „Głos Robotniczy”?

— Zajmujemy trzecie miejsce.

— Gazeta nie stoi w miejscu, stale zmienia się, poszukuje nie tylko spraw, które interesowałyby ogół, ale też i coraz to innych sposobów ich przekazywania. W jakim kierunku idzie ewolucja modelu wydawniczego gazety?

— Trzeba na to spojrzeć od innej strony. To przede wszystkim życie stale się zmienia. Łódź przechodzi ogromne przeobrażenia. Staramy się ukazywać te przeobrażenia. Podobne procesy zachodzą również w województwie. I to staramy się pokazywać. Ale przecież wiele spraw w tych przeobrażeniach jest wspólnych. Tworzy się przecież wielka Łódzka aglomeracja. Z tych faktów trzeba wyciągnąć określone wnioski. Zadaniem gazety stałe się teraz w coraz większym stopniu pokazywanie tego, co wspólne dla całego regionu, co łączy, co sprzyja zachodzącym procesom przyspieszenia tempa rozwoju gospodarki. Dobra robota, inicjatywy, ludzie ofiarni i z otwartą głową są wszędzie w jednakowym stopniu potrzebni. To oczywiście jeden przykład. Są jeszcze inne. Wspólnych spraw regionu jest wiele.

— Jak w wyniku z badań pracowni socjologicznej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, które jest wydawcą „GR”, jesteśmy gazetą z równomiernie rozłożonym czytelnictwem. To znaczy, że czytają „Głos Robotniczy” i pracownicy placówek naukowych, robotnicy, inżynierowie, nauczyciele, studenci, uczniowie, ludzie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Socjologzy, którzy badają czytelnictwo „Głosu Robotniczego” twierdzą, że w każdej z tych grup społeczeństwa Łodzi i województwa odbiór gazety partyjnej jest rozłożony równomiernie, że nie ma zachwiania w proporcjach między poszczególnymi grupami.

— To dowodzi, że model gazety, jaka reprezentuje „Głos Robotniczy”, odpowiada zapotrzebowaniu. Jaki jest obecnie nakład gazety?

— W soboty dajemy 540 tys. egzemplarzy, a w pozostałe dni tygodnia średni nakład wynosi 300 tys. egzemplarzy.

— Jakże więc miejsce wśród gazet partyjnych w kraju zajmuje „Głos Robotniczy”?

— Zajmujemy trzecie miejsce.

— Gazeta nie stoi w miejscu, stale zmienia się, poszukuje nie tylko spraw, które interesowałyby ogół, ale też i coraz to innych sposobów ich przekazywania. W jakim kierunku idzie ewolucja modelu wydawniczego gazety?

— Trzeba na to spojrzeć od innej strony. To przede wszystkim życie stale się zmienia. Łódź przechodzi ogromne przeobrażenia. Staramy się ukazywać te przeobrażenia. Podobne procesy zachodzą również w województwie. I to staramy się pokazywać. Ale przecież wiele spraw w tych przeobrażeniach jest wspólnych. Tworzy się przecież wielka Łódzka aglomeracja. Z tych faktów trzeba wyciągnąć określone wnioski. Zadaniem gazety stałe się teraz w coraz większym stopniu pokazywanie tego, co wspólne dla całego regionu, co łączy, co sprzyja zachodzącym procesom przyspieszenia tempa rozwoju gospodarki. Dobra robota, inicjatywy, ludzie ofiarni i z otwartą głową są wszędzie w jednakowym stopniu potrzebni. To oczywiście jeden przykład. Są jeszcze inne. Wspólnych spraw regionu jest wiele.

— Jak w wyniku z badań pracowni socjologicznej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, które jest wydawcą „GR”, jesteśmy gazetą z równomiernie rozłożonym czytelnictwem. To znaczy, że czytają „Głos Robotniczy” i pracownicy placówek naukowych, robotnicy, inżynierowie, nauczyciele, studenci, uczniowie, ludzie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Socjologzy, którzy badają czytelnictwo „Głosu Robotniczego” twierdzą, że w każdej z tych grup społeczeństwa Łodzi i województwa odbiór gazety partyjnej jest rozłożony równomiernie, że nie ma zachwiania w proporcjach między poszczególnymi grupami.

— To dowodzi, że model gazety, jaka reprezentuje „Głos Robotniczy”, odpowiada zapotrzebowaniu. Jaki jest obecnie nakład gazety?

— W soboty dajemy 540 tys. egzemplarzy, a w pozostałe dni tygodnia średni nakład wynosi 300 tys. egzemplarzy.

— Jakże więc miejsce wśród gazet partyjnych w kraju zajmuje „Głos Robotniczy”?

— Zajmujemy trzecie miejsce.

— Gazeta nie stoi w miejscu, stale zmienia się, poszukuje nie tylko spraw, które interesowałyby ogół, ale też i coraz to innych sposobów ich przekazywania. W jakim kierunku idzie ewolucja modelu wydawniczego gazety?

— Trzeba na to spojrzeć od innej strony. To przede wszystkim życie stale się zmienia. Łódź przechodzi ogromne przeobrażenia. Staramy się ukazywać te przeobrażenia. Podobne procesy zachodzą również w województwie. I to staramy się pokazywać. Ale przecież wiele spraw w tych przeobrażeniach jest wspólnych. Tworzy się przecież wielka Łódzka aglomeracja. Z tych faktów trzeba wyciągnąć określone wnioski. Zadaniem gazety stałe się teraz w coraz większym stopniu pokazywanie tego, co wspólne dla całego regionu, co łączy, co sprzyja zachodzącym procesom przyspieszenia tempa rozwoju gospodarki. Dobra robota, inicjatywy, ludzie ofiarni i z otwartą głową są wszędzie w jednakowym stopniu potrzebni. To oczywiście jeden przykład. Są jeszcze inne. Wspólnych spraw regionu jest wiele.

— Jak w wyniku z badań pracowni socjologicznej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, które jest wydawcą „GR”, jesteśmy gazetą z równomiernie rozłożonym czytelnictwem. To znaczy, że czytają „Głos Robotniczy” i pracownicy placówek naukowych, robotnicy, inżynierowie, nauczyciele, studenci, uczniowie, ludzie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Socjologzy, którzy badają czytelnictwo „Głosu Robotniczego” twierdzą, że w każdej z tych grup społeczeństwa Łodzi i województwa odbiór gazety partyjnej jest rozłożony równomiernie, że nie ma zachwiania w proporcjach między poszczególnymi grupami.

— To dowodzi, że model gazety, jaka reprezentuje „Głos Robotniczy”, odpowiada zapotrzebowaniu. Jaki jest obecnie nakład gazety?

— W soboty dajemy 540 tys. egzemplarzy, a w pozostałe dni tygodnia średni nakład wynosi 300 tys. egzemplarzy.

— Jakże więc miejsce wśród gazet partyjnych w kraju zajmuje „Głos Robotniczy”?

— Zajmujemy trzecie miejsce.

— Gazeta nie stoi w miejscu, stale zmienia się, poszukuje nie tylko spraw, które interesowałyby ogół, ale też i coraz to innych sposobów ich przekazywania. W jakim kierunku idzie ewolucja modelu wydawniczego gazety?

— Trzeba na to spojrzeć od innej strony. To przede wszystkim życie stale się zmienia. Łódź przechodzi ogromne przeobrażenia. Staramy się ukazywać te przeobrażenia. Podobne procesy zachodzą również w województwie. I to staramy się pokazywać. Ale przecież wiele spraw w tych przeobrażeniach jest wspólnych. Tworzy się przecież wielka Łódzka aglomeracja. Z tych faktów trzeba wyciągnąć określone wnioski. Zadaniem gazety stałe się teraz w coraz większym stopniu pokazywanie tego, co wspólne dla całego regionu, co łączy, co sprzyja zachodzącym procesom przyspieszenia tempa rozwoju gospodarki. Dobra robota, inicjatywy, ludzie ofiarni i z otwartą głową są wszędzie w jednakowym stopniu potrzebni. To oczywiście jeden przykład. Są jeszcze inne. Wspólnych spraw regionu jest wiele.

— Jak z przebiegu naszej rozmowy wiadomo, gazeta to nie tylko tych kilka kolumna druku, które Czytelnik otrzymuje codziennie — z wyjątkiem niedziel — ale również wiele inicjatyw i przedsięwzięć, które zacieśniają kontakt pisma ze społeczeństwem, są działaniem na rzecz społeczeństwa.

— Taki charakter ma prasa socjalistyczna, a ponadto proszę przeciw pamiętać, że dewizą naszej gazety jest hasło: „Głos Robotniczy” wszędzie z Tobą!”.

**ANDRZEJ GRUN**

— Jak w wyniku z badań pracowni socjologicznej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, które jest wydawcą „GR”, jesteśmy gazetą z równomiernie rozłożonym czytelnictwem. To znaczy, że czytają „Głos Robotniczy” i pracownicy placówek naukowych, robotnicy, inżynierowie, nauczyciele, studenci, uczniowie, ludzie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Socjologzy, którzy badają czytelnictwo „Głosu Robotniczego” twierdzą, że w każdej z tych grup społeczeństwa Łodzi i województwa odbiór gazety partyjnej jest rozłożony równomiernie, że nie ma zachwiania w proporcjach między poszczególnymi grupami.

— To dowodzi, że model gazety, jaka reprezentuje „Głos Robotniczy”, odpowiada zapotrzebowaniu. Jaki jest obecnie nakład gazety?

— W soboty dajemy 540 tys. egzemplarzy, a w pozostałe dni tygodnia średni nakład wynosi 300 tys. egzemplarzy.

— Jakże więc miejsce wśród gazet partyjnych w kraju zajmuje „Głos Robotniczy”?

— Zajmujemy trzecie miejsce.

— Gazeta nie stoi w miejscu, stale zmienia się, poszukuje nie tylko spraw, które interesowałyby ogół, ale też i coraz to innych sposobów ich przekazywania. W jakim kierunku idzie ewolucja modelu wydawniczego gazety?

— Trzeba na to spojrzeć od innej strony. To przede wszystkim życie stale się zmienia. Łódź przechodzi ogromne przeobrażenia. Staramy się ukazywać te przeobrażenia. Podobne procesy zachodzą również w województwie. I to staramy się pokazywać. Ale przecież wiele spraw w tych przeobrażeniach jest wspólnych. Tworzy się przecież wielka Łódzka aglomeracja. Z tych faktów trzeba wyciągnąć określone wnioski. Zadaniem gazety stałe się teraz w coraz większym stopniu pokazywanie tego, co wspólne dla całego regionu, co łączy, co sprzyja zachodzącym procesom przyspieszenia tempa rozwoju gospodarki. Dobra robota, inicjatywy, ludzie ofiarni i z otwartą głową są wszędzie w jednakowym stopniu potrzebni. To oczywiście jeden przykład. Są jeszcze inne. Wspólnych spraw regionu jest wiele.

— Jak w wyniku z badań pracowni socjologicznej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, które jest wydawcą „GR”, jesteśmy gazetą z równomiernie rozłożonym czytelnictwem. To znaczy, że czytają „Głos Robotniczy” i pracownicy placówek naukowych, robotnicy, inżynierowie, nauczyciele, studenci, uczniowie, ludzie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Socjologzy, którzy badają czytelnictwo „Głosu Robotniczego” twierdzą, że w każdej z tych grup społeczeństwa Łodzi i województwa odbiór gazety partyjnej jest rozłożony równomiernie, że nie ma zachwiania w proporcjach między poszczególnymi grupami.

— To dowodzi, że model gazety, jaka reprezentuje „Głos Robotniczy”, odpowiada zapotrzebowaniu. Jaki jest obecnie nakład gazety?

— W soboty dajemy 540 tys. egzemplarzy, a w pozostałe dni tygodnia średni nakład wynosi 300 tys. egzemplarzy.

— Jakże więc miejsce wśród gazet partyjnych w kraju zajmuje „Głos Robotniczy”?

— Zajmujemy trzecie miejsce.

— Gazeta nie stoi w miejscu, stale zmienia się, poszukuje nie tylko spraw, które interesowałyby ogół, ale też i coraz to innych sposobów ich przekazywania. W jakim kierunku idzie ewolucja modelu wydawniczego gazety?

— Trzeba na to spojrzeć od innej strony. To przede wszystkim życie stale się zmienia. Łódź przechodzi ogromne przeobrażenia. Staramy się ukazywać te przeobrażenia. Podobne procesy zachodzą również w województwie. I to staramy się pokazywać. Ale przecież wiele spraw w tych przeobrażeniach jest wspólnych. Tworzy się przecież wielka Łódzka aglomeracja. Z tych faktów trzeba wyciągnąć określone wnioski. Zadaniem gazety stałe się teraz w coraz większym stopniu pokazywanie tego, co wspólne dla całego regionu, co łączy, co sprzyja zachodzącym procesom przyspieszenia tempa rozwoju gospodarki. Dobra robota, inicjatywy, ludzie ofiarni i z otwartą głową są wszędzie w jednakowym stopniu potrzebni. To oczywiście jeden przykład. Są jeszcze inne. Wspólnych spraw regionu jest wiele.

— Jak w wyniku z badań pracowni socjologicznej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, które jest wydawcą „GR”, jesteśmy gazetą z równomiernie rozłożonym czytelnictwem. To znaczy, że czytają „Głos Robotniczy” i pracownicy placówek naukowych, robotnicy, inżynierowie, nauczyciele, studenci, uczniowie, ludzie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Socjologzy, którzy badają czytelnictwo „Głosu Robotniczego” twierdzą, że w każdej z tych grup społeczeństwa Łodzi i województwa odbiór gazety partyjnej jest rozłożony równomiernie, że nie ma zachwiania w proporcjach między poszczególnymi grupami.

— To dowodzi, że model gazety, jaka reprezentuje „Głos Robotniczy”, odpowiada zapotrzebowaniu. Jaki jest obecnie nakład gazety?

— W soboty dajemy 540 tys. egzemplarzy, a w pozostałe dni tygodnia średni nakład wynosi 300 tys. egzemplarzy.

— Jakże więc miejsce wśród gazet partyjnych w kraju zajmuje „Głos Robotniczy”?

— Zajmujemy trzecie miejsce.

— Gazeta nie stoi w miejscu, stale zmienia się, poszukuje nie tylko spraw, które interesowałyby ogół, ale też i coraz to innych sposobów ich przekazywania. W jakim kierunku idzie ewolucja modelu wydawniczego gazety?

— Trzeba na to spojrzeć od innej strony. To przede wszystkim życie stale się zmienia. Łódź przechodzi ogromne przeobrażenia. Staramy się ukazywać te przeobrażenia. Podobne procesy zachodzą również w województwie. I to staramy się pokazywać. Ale przecież wiele spraw w tych przeobrażeniach jest wspólnych. Tworzy się przecież wielka Łódzka aglomeracja. Z tych faktów trzeba wyciągnąć określone wnioski. Zadaniem gazety stałe się teraz w coraz większym stopniu pokazywanie tego, co wspólne dla całego regionu, co łączy, co sprzyja zachodzącym procesom przyspieszenia tempa rozwoju gospodarki. Dobra robota, inicjatywy, ludzie ofiarni i z otwartą głową są wszędzie w jednakowym stopniu potrzebni. To oczywiście jeden przykład. Są jeszcze inne. Wspólnych spraw regionu jest wiele.

— Jak w wyniku z badań pracowni socjologicznej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, które jest wydawcą „GR”, jesteśmy gazetą z równomiernie rozłożonym czytelnictwem. To znaczy, że czytają „Głos Robotniczy” i pracownicy placówek naukowych, robotnicy, inżynierowie, nauczyciele, studenci, uczniowie, ludzie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Socjologzy, którzy badają czytelnictwo „Głosu Robotniczego” twierdzą, że w każdej z tych grup społeczeństwa Łodzi i województwa odbiór gazety partyjnej jest rozłożony równomiernie, że nie ma zachwiania w proporcjach między poszczególnymi grupami.

— To dowodzi, że model gazety, jaka reprezentuje „Głos Robotniczy”, odpowiada zapotrzebowaniu. Jaki jest obecnie nakład gazety?

— W soboty dajemy 540 tys. egzemplarzy, a w pozostałe dni tygodnia średni nakład wynosi 300 tys. egzemplarzy.

— Jakże więc miejsce wśród gazet partyjnych w kraju zajmuje „Głos Robotniczy”?

— Zajmujemy trzecie miejsce.

— Gazeta nie stoi w miejscu, stale zmienia się, poszukuje nie tylko spraw, które interesowałyby ogół, ale też i coraz to innych sposobów ich przekazywania. W jakim kierunku idzie ewolucja modelu wydawniczego gazety?

— Trzeba na to spojrzeć od innej strony. To przede wszystkim życie stale się zmienia. Łódź przechodzi ogromne przeobrażenia. Staramy się ukazywać te przeobrażenia. Podobne procesy zachodzą również w województwie. I to staramy się pokazywać. Ale przecież wiele spraw w tych przeobrażeniach jest wspólnych. Tworzy się przecież wielka Łódzka aglomeracja. Z tych faktów trzeba wyciągnąć określone wnioski. Zadaniem gazety stałe się teraz w coraz większym stopniu pokazywanie tego, co wspólne dla całego regionu, co łączy, co sprzyja zachodzącym procesom przyspieszenia tempa rozwoju gospodarki. Dobra robota, inicjatywy, ludzie ofiarni i z otwartą głową są wszędzie w jednakowym stopniu potrzebni. To oczywiście jeden przykład. Są jeszcze inne. Wspólnych spraw regionu jest wiele.

# XIX MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI

Zakończone w końcu ubiegłego miesiąca w Warszawie XIX Międzynarodowe Targi Książki są drugą chyba co do wielkości tego typu imprezą w Europie. Wystarczy przypomnieć, że brało w niej udział ponad 1500 firm wydawniczych, które wystawiły około 120 tysięcy książek polskich i obcych na ogólną sumę pół milarda złotych. Obecność najwybitniejszych wydawców z 26 krajów 4 kontynentów potwierdziła ich wysoką rangę handlową i artystyczną. Szeroki wachlarz tematyczny z wyraźną supremacją problematyki naukowo-technicznej, bogata i stale poprawiająca się szata graficzna, stanowiły ciekawy przegląd sytuacji na edytorskim rynku świata. A jest to rynek niezmiernie ciekawy, ruchliwy i ustawicznie się zmieniający.

Mnogość wysuwanych propozycji i ilość zawartych kontraktów jeszcze raz i jeszcze dobitniej uwypukliły, powszechnie dominującą dziś na światowym rynku edytorskim tendencję do zaciśnięcia i wzbogacania form sprzedaży i kooperacji poligraficznej jak i kolportażu słowa drukowanego. Wynika ona nie tylko z możliwości i konieczności konfrontacji osiągnięć i zdobyczy naukowo-technicznych poszczególnych krajów, ale związana jest także z celami czysto merkantylnymi — skróceniem cyklu produkcyjnego i możliwością najszybszego wyjścia na rynek i sprzedaży wyprodukowanego towaru. Sytuację w tym względzie na zachodnim rynku wydawniczym znacznie skomplikowało pojawienie się na nim największego wydawcy świata — Związku Radzieckiego, który zgłosił chęć podpisania Powszechnej Konwencji o Prawie Autorskim. Pojawienie się nowego konkurenta, oferującego masowo książki najlepszej jakości, zmusiło producentów zachodnich do szczególnej analizy rynku czytelniczego. Stąd druga wyraźnie rysująca się tendencja — konkretne uklarowanie profilu produkcyjnego na książkę użytkową, techniczną, bogato ilustrowaną, będącą pomocą w zdobywaniu i pogłębianiu wiedzy tzw. średniego czytelnika. Z tego też względu na międzynarodowym rynku edytorskim oferuje się książki przede wszystkim o ściślejszym kierunku wiedzy, typu poradniczego, o encyklopedycznym niejakim charakterze.

Nie znaczy to oczywiście wcale, że książki reprezentujące literaturę piękną i rozrywkową były w jakiś sposób dyskryminowane bądź sztykowane — prezentowano mnóstwo tytułów o szerokim wachlarzu tematycznym, piękne albumy z reprodukcjami dzieł sztuki światowej, słowniki czy wręcz unikalne wydania bibliofilskie.

Niewątpliwie rarytas i dużą atrakcją stanowiła wydawana obecnie 60-tomowa Wielka Encyklopedia Laroussa, zawierająca około 400 tys. hasel i prawie 10 tys. osobnych tematów opracowanych przez najwybitniejszych specjalistów ze wszystkich dziedzin. Każdy jej tom ukazuje się w miesięcznym odstępie czasu. Druga jej wersja natomiast zawiera już tylko 20 tomów wydawanych co kwartał. Z innych wydawnictw tej oficyny warto wymienić również 10-tomową Międzynarodową Encyklopedię Nauki i Techniki, opracowaniem której zajmowało się około 2 tysięcy specjalistów z 32 krajów, w tym kilku laureatów Nagrody Nobla.

Dorobek polskiej myśli naukowej najliczniej na XIX Targach Książki reprezentowało Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Szczególną uwagę zagranicznych kontrahentów zwróciły makijety mającego się wkrótce ukazać nakładem Państwowego Przedsiębiorstwa Wydawnictw Kartograficznych „Atlasu Historycznego Świata” oraz „Atlasu Geograficznego Polski”. Bogactwo i różnorodność treści procesów historycznych państw i kontynentów świata przedstawiono tutaj na 235 mapach, wykresach i szkicach opracowanych przez wybitnych historyków polskich. Druga natomiast z wymienionych prac, której dane oparte zostały na badaniach przeprowadzonych w latach 1970—72, traktuje o miejscu Polski w świecie, o rozwoju całego kraju i poszczególnych jego regionów.

Równie dużym zainteresowaniem i popytem co polska książka cieszyły się polskie czasopisma naukowe i to zarówno o charakterze humanistycznym-filozoficznym jak i przyrodniczo-technicznym, pisma mogące zainteresować szerokie kręgi czytelnicze. Tak na przykład wydawcy brytyjski zamówili po 500 egzemplarzy każdego numeru nowego czasopisma wydawanego przez PWN p.t. „Dialectics and Humanism”, natomiast edytorów francuskich zainteresowało pismo „Delta” wydawane przez „Ossolineum” dla młodzieży szkół średnich. Słowem nasze periodyki naukowe dziennie sekundowały naszej książce. Warto również zanotować, że naszym pierwszym najpoważniejszym partnerem było wydawnictwo „Miedzunarodna Kniga”, z którym podczas XIX Targów Książki zawarto kontrakt na 1 milion 200 tys. rubli.

J. JANICKI

# KONKRETNY REALIZM MIECZYSLAWA JANIKOWSKIEGO

Mieczysław Janikowski urodził się w Zaleszczykach, 13 lutego 1912 r. Studia artystyczne odbył w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w latach 1934—35, absolutorium uzyskał 15 czerwca 1939 r. Wziął udział w kampanii wrześniowej. Jako dowódca plutonu 22. Pułku Ułanów Podkarpackich, Kresowej Brygady Kawalerii „Armii „Łódź”. W październiku 1939 r. przekroczył granicę węgierską, w kwietniu 1940 r. zdołał się do Armii Polskiej we Francji. Został ewakuowany do Anglii, wstąpił do 1. Dywizji „Pancernej”. We wrześniu 1944 r. został ciężko ranny. Po długotrwałym leczeniu wstąpił na uniwersytet, a następnie do Collège of Art w Edynburgu, które ukończył w 1947 r. z pierwszą lokatą i uzyskał roczne stypendium do Paryża.

W Paryżu zaprzyjaźnił się z przedwcześnie zapomnianym w Polsce, wybitnym nadrealistą, Stanisławem Grabowskim. W ostatnich latach życia tego artysty był jego jedynym opiekunem. Zajmował wspólna pracownie w legendarnej „La Roche”, dawnym pawilonie wii Wystawy Powszechnej, która przebudowana w 1900 r. zawierała 120 małych pracowni. Po krótkim okresie malowania nastrojowych pejzaży, Janikowski rozpoczął komponować obrazy abstrakcyjne. Wystawiał w salonie „Surindépendants” (Surrealistes), wspólnie z Jeanem Gorin, Auguste Herbin i in. brał udział w wystąpieniach „Groupe Experimental de Recherches Plastiques”. Projektował malarstwo ścienne, uczestniczył w wielu wystawach konstruktywistów na terenie Francji, Anglii i Niemiec. Indywidualnie wystawiał w Paryżu, Londynie i Kolonii. Zmarł nagle 14 grudnia 1968 roku, podczas pobytu w Krakowie.

Paryż z chwilą zakończenia wojny stał się znowu miejscem spotkań artystów całego świata. Specyficzny klimat zaangażowania w sprawy sztuki, tradycje międzynarodowych grupowań „Cercle et Carré” i „Abstraction-Creation”, którego członkami byli m.in. Katarzyna Kobro, Henryk Stazewski i Władysław Strzemiński, właśnie w Paryżu otworzyły możliwości pracy twórczej dla wielu wybitnych indywidualności z kręgu awangardy. Punktem wyjścia nowych kierunków były znane już z lat poprzednich tendencje nadrealne i abstrakcyjne. Gwałtownie rozwija się ekspresjonizm abstrakcyjny (informel), przybierający we Francji formę tasmaju (la tache — plama). Swoboda wypowiedzi w spontanicznej akcji, możliwość nieograniczonego, niemal automatycznego działania, zapisywanie na bieżąco swoich stanów uczuciowych, pociągło wielu utalentowanych twórców. Informel stał się kierunkiem dominującym. Nieważne, w cieniu ekspresjonistycznego krzyku, rozwijał się nurt abstrakcji geometrycznej. „Nie chcemy naśladować, chcemy tworzyć” — głosił Jean Art, współorganizator wystawy przypominającej osiągnięcia awangardy i konstruktywistycznej pod znanym hasłem „Art Concret” (Sztuka Konkretna), przeciwstawiając się zarówno abstrakcji aluzyjnej, jak i ekspresjonistycznej sztuce gestu.

Ostoją abstrakcji geometrycznej były salony grupy „Realites Nouvelles”, zorganizowanej na wzór „Abstraction-Creation”, skupiającej artystów różnych narodowości, tworzących obrazy i rzeźby intelektualne, oparte na przesłankach rozumowych o logicznym układzie form i barw. Pierwszy „Salon des Realites Nouvelles” otwarto w lipcu 1946 roku. W latach następnych salon stał się miejscem pierwszych wystąpień młodych artystów, którzy nie poddając się modzie na „malarstwo akcji” tworzyli w odosobnieniu harmonijne konstrukcje geometryczne. Częstymi uczestnikami salonu byli Victor Vasarely (ur. 1908), Richard Mortensen (ur. 1910), Aurélie Nemours (ur. 1910), Olle Beartling (ur. 1911), Mieczysław Janikowski (ur. 1912). Twórczość ich wyróżniała się kontrastowym kolorem, ostrymi zestawieniami form geometrycznych, rozczłonkowanych lub zrytmizowanych, już na początku lat pięćdziesiątych reprezentuje sposób konstruowania obrazów zwany póź-

niej metodą „Hard-Edge” (Ostry Kontur), której przedstawicielami w latach sześćdziesiątych byli w Stanach Zjednoczonych m.in. Ellsworth Kelly (ur. 1923) i Kenneth Noland (ur. 1924).

Pierwsze obrazy abstrakcyjne Mieczysława Janikowskiego łączą ekspresję koloru z geometrycznym konstruowaniem. Obraz budowany jest według ścisłych, logicznych praw jak architektura, której wszystkie elementy muszą zostać zorganizowane w harmonijną całość. Już w tym okresie uderza gładkość powierzchni jego kompozycji, klarowność i precyzja. W latach następnych jeszcze bardziej udoskonalona technika, płaszczyzny barwne pozbawione są wszelkiej materialności, idealnie czyste. Tym samym „Podczas gdy Vasarely rozwijał dynamikę wewnątrz kompozycji wprowadzając coraz więcej drobnych elementów i uzyskiwał optyczne zależności, drgania i odchylenia barwne, a Mortensen konstruował obrazy z linii i powierzchni, obrazy graficzne, nerwowe, w których linia miała stonkunkowo największą siłę wyrazu, Janikowski posługiwał się prostą formą geometryczną, ograniczając koncepcję barwną do dwóch, trzech stonowa-

nych kolorów. Podejmując zbliżone założenia, pozostawał wiernym kontynuatorem idei Malewicza i Strzemińskiego, wtapiał kwadrat, trójkąt czy elipsę w jednorodną płaszczyznę barwną, dążył do jedności plastycznej obrazu. Eliminował wszystko to, co było kompozycją, kształtem i kolorem. Jego oszczędny, minimalistyczny styl, mimo absolutnych odrębności, zbliża go do postawy Ad Reinhardta (ur. 1913, zam. 1967), którego twórczość przypominało niedawno „Centre national d'art contemporain” w Paryżu.

W innych obrazach Janikowski zaskakuje bogactwem ośniewających kolorów, w rozbudowanej strukturze geometrycznej wytworzył niespodziewane relacje pomiędzy kształtem a barwą. Tworzył również kompozycje o przenikających się kształtach i subtelnych, wyrafinowanych zróżnicowaniach barw. Matematyka w obrazach Janikowskiego odgrywa poważną rolę, wiele kompozycji robi wrażenie wyliczanych geometrycznie. Często głównym konstruktorem obrazu jest wymaginowana linia powstająca na styku dwóch powierzchni barwnych. Logika, oszczędność i dyscyplina form idąca w parze z mistycznym kolorem, wytworza w konsekwencji niepowtarzalny urok, siłę oddziaływania sztuki Janikowskiego, jednego z największych realistów w konkretnych. Pozostaje otwarty problem intuicji w twórczości Janikowskiego, być może „surowa geometria form przesłania liryczną, wrażliwą osobowość malarstwa”; autor nie precyzował języka swoich obrazów, ostateczną ocenę pozostawiając widzowi: „Chciałbym, by obraz miał coś więcej poza stroną plastyczną. Trudno jest dokładnie określić, jaki jest podtekst tego, co mówi moje malarstwo. To już sprawa odbiorcy, widza. Dopiero odbiorca poprzez swoją reakcję czyni malarstwo — sztuką społeczną”.

**MIECZYSLAW JANIKOWSKI mówił w 1956 roku:**

**PYTANIE:** Zwolennikiem malarstwa abstrakcyjnego jest Pan od kilkunastu lat dopiero. Czy można założyć, że i dlaczego pociągnął Pana ten kierunek?

**ODPOWIEDZ:** Nie stało się to błyskawicznie. Moja droga do abstrakcji była długa i wcale nieprosta. Prace wystawione w Paryżu w roku 1949 mogłbym określić jako przejściowe w moim malarstwie. Nawet w salonie „des Surindépendants” w roku 1950 wystawiłem obrazy dalekie od tego, co robię dziś. Były to jeszcze dzieła

typu abstrakcji, że tak powiem, impresjonistycznej, o niesprecyzowanej formie. Pyta Pan, dlaczego mnie pociągnął ten rodzaj malarstwa. Uległem po prostu duchowi czasu i środowiska. Pierwsze moje próby abstrakcyjne powstały w południowej Francji, gdzie malowałem tylko z natury, pozbawiony zupełnie wpływu wystaw paryskich. Bogactwo tamtejszej natury podpowiadało mi rozwiązanie twórcze i bardziej osobiste.

**PYTANIE:** Czy na Pańskie poglądy wpłynął może jakiś autorytet albo wzór?

**ODPOWIEDZ:** Nie. Byłem i jestem nadal zwolennikiem współdziałania wszystkich tendencji. Uznaję, jak zawsze, starych mistrzów, a najmilszym miejscem w Paryżu jest dla mnie Louvre. Staram się nawiązywać do malarstwa do tradycji, gdyż nie treść malarstwa podlega zmianom, lecz forma. Sądzę jednak, że pomost natury jest już dziś sztuce niepotrzebny. W pracy kieruję się w znacznej mierze instynktem malarzskim, jakkolwiek forma abstrakcyjna daje pozory czystej kalkulacji umysłowej. Staram się zawsze przełać na płótno pewne stany uczuciowe, zwykle przeżyte wcześniej.

**PYTANIE:** Czy może mi Pan pokrótce powiedzieć, co to jest abstrakcjonizm i czy to kierunek jednolity, czy też posiadający odgałęzienia?

**ODPOWIEDZ:** Jest to kierunek malarzski, który rezygnując z przedstawienia przedmiotów w wizji bezpośredniej (realistycznej lub interpretowanych) szuka natchnienia w wizji wewnętrznej i operuje formami niedostrzegalnymi w rzeczywistości. Abstrakcja nie jest określeniem ściślym. Ścisłej by to malarstwo można określić jako niefiguratywne. Same formy geometryczne są abstrakcją, które zresztą można wyprowadzić z natury. Istnieje szereg sposobów malowania abstrakcyjnego, które wychodzą z przedmiotów widzialnych w naturze i dochodzą do ostatecznej wizji drogą kolejnego przetwarzania ich poszczególnych elementów realistycznych. Osobiście jednak nie wychodzę i nie wychodziłem nigdy w swoim malarstwie niefiguratywnym z natury.

**PYTANIE:** Czy zatem stoimy wobec zwycięstwa abstrakcji w plastyce?

**ODPOWIEDZ:** Nie da się tego stwierdzić żadnym kryterium. Malarstwo abstrakcyjne istotnie jest dziś, zwłaszcza w Paryżu, w ofensywie, ale w tym mieście trudno kiedykolwiek mówić o przewadze jednego kierunku, gdyż mieści się tam obok siebie wszystko. Niebezpieczeństwo kierunku polega na pozornej łatwości i przystępności, każdy może malować abstrakcyjnie, bez żadnych studiów. Prawdziwie dobre dzieła wyjść mogą jednakże tylko z rąk dobrych artystów. Dla nich abstrakcja jest sztuką, trudniejszą niż naśladowanie natury. Artysta kształtuje i przekształca w czasie pracy swą wizję wedle żelaznej logiki plastycznej. Z części obrazu prawdziwy artysta może nieomylnie domalować wynikającą z założeń resztę.

JANUSZ ZAGRODZKI

# TO BYŁ PRAWIE SKANDAL...

Nieodmienna cechą pewnych interwencji historyków sztuki, nacechowanych radykalnymi przemianami głównie w obszarze teorii, są jakościowe zmiany w sferze socjologicznej, intelektualnej i moralnej. Współczesność ta jest w pełni dialektycznie uzasadnionym zjawiskiem rozwoju społeczeństwa, a co więcej, procesem nieodwracalnym, wynikającym z takich a nie innych determinant historycznych.

Fenomen sztuki, jako jeden z elementów strukturalnych zjawisk cywilizacyjnych podlega również tym prawom przy jednoczesnym zachowaniu możliwości formowania i wpływania na nie. Długi i zagmatwany jest reżis postaw, interpretacji i ujęć sztuki naszego burzliwego wieku dwudziestego, „proporcjonalnie do czasu, kontrowersyjny i wieloraki”.

Platonowski ideał sztuki bazujący na odzwierciedlaniu natury w celu poszukiwania jej „piękna żywego i naturalnego” obalony został wraz z odkryciem przez artystów odmiennych aspiracji sztuk nieeuropejskich, którym grecko-rzymski ideał estetyczny był obcy i przetrwał. Europejskim w obszarze pojęć estetycznych, wskutek uniwersalizacji języka sztuki, zmuszony był do przekształcenia się w system bardziej otwarty, otępiący odcień i rozumiejący zarówno maskę rytuału z Wybrzeża Kości Słonowej, jak i Kaplicę Sykstyńską. Sou Tea p'o w wieku XI pisał:

„Każdy kto mówi o podobieństwie w malarstwie, winien być odesłany do pokójki dziecięcej”.

Bezstronnie powiedziane należy, że ów pokój dziecięcy zajmował nie kto inny, tylko my — Europejczycy, oceniający wszystko to, co wydawało się w oczach klasycznej estetyki barbarzyńskie i niekulturalne.

Od chwili fascynacji Matisse'a japońskimi i chińskimi drzeworytami, a muzyków europejskich jazzem upłynęło już wiele lat i w międzyczasie w poczuciu winy niedocenienia wpadaliśmy w przesadę, przyswajając nowe, nieznaną wartość, gubiąc jednocześnie swą oryginalność wyrosła z odmiennych warunków historyczno-społecznych.

Anegdotalny jest fakt wykonywania „rzeźb murzynskich” przez rdzennych, łowców twórców ludowych, a przysięgam, że na własne oko takie rzeźby widziałem.

★ ★ ★

Uniwersalny, otwarty model sztuki współczesnej wchłaniał w siebie tyle różnorodnych doświadczeń i zasad klasyfikacji, że w ostateczności jakakolwiek sumaryczna definicja tego, co jest sztuką, a co nią nie jest, wydaje się niemożliwa.

Epoka przewrotności i formowania nie jest w stanie uniknąć braku wartości pojedynczej z brakiem formy. Zjemy w czasie, kiedy wszystko może być sztuką i może nią nie być. Nowość, dziwność, napięcie, słowem uderzenia w ów wsparcia skrajnym egocentryzmem artyści są zasadami głównymi twórczości sukcesu artystycznego. Nigel Gosling powiada — jeden stół wstawiony do galerii to sztuka, ale osiem stołów wstawionych do galerii to restauracja. Jeśli dzieła dokonuje w ów wsparcia skrajnym egocentryzmem artyści są zasadami głównymi twórczości sukcesu artystycznego. Nigel Gosling powiada — jeden stół wstawiony do galerii to sztuka, ale osiem stołów wstawionych do galerii to restauracja. Jeśli dzieła dokonuje

Ocena artysty i jego dzieła dokonuje się już nie w sferze wartościujących aspektów formalnych, moralnych, intelektualnych, lecz sprowadza krytykę do granicy psychoanalizy, czego wyrazem może być rozbrajające w swej szerokości stwierdzenie Peggy Guggenheim, mówiącej, że

Jackson Pollock (jeden z twórców tasmaju) nie wycierał na nią większego wrażenia jako malarz, póki pewnego dnia nie posłużył się jej komikiem jako urynalem!

Miejsce dzieła zajął więc sam artysta. Naciekawo stygnącymi boskością kodyfikuje prawa i sam je obala. Prezentuje swe ciało w wirny sklepowej, staje się obiektem oglądzin, bywałcem saloń i tematem rubryki towarzyskiej a jego blaskowite powiedzonko rozpalają wyobraźnię elity. „Estetyka jest tym dla sztuki, czym ornitologia dla ptaków” — ironizuje Bernard Newman.

Zdawać by się mogło, że najskańdalsze w swym radykalizmie wystąpienia artystów nie są w stanie nikogo zbulwersować. Znany krytyk francuski Michel Ragon omawiając wernisaż Ivesa Kleina, na którym zaprezentowano publiczności gołe, na biało pomalowane sciany, pisze:

„To był prawie skandal, powiadam — prawie skandal, gdyż dzieło, które nie jest już w ogóle możliwe. Prawdziwie skandaliczne byłoby dziś nie robić skandalu. Trudno, niezwykle trudno jest poruszać się w problematyce sztuki naszego czasu. Sztuki o tysiącach znaków wywoławczych, możliwie rozpoznawanych przez teoretyków, krytyków i menadżerów: Nowy Realizm — Environnements (otoczenia) — Happenings (zdarzenia) — Les Objets (przedmioty) — Hard Edge (ostre kontury) — Assamblage (zestawienie) — Color Field Painting (malarstwo barwnych powierzchni) — Pop-Art — Op-Art — Minimal Art — Konceptualizm — Zero — Zen itd.”.

Posród wielu aktualnych prądów i tendencji można by wystrzpić wielokole i sens, humanistyczne przesłanie jak również wulgarna nicność i upozowana głupota. Nie niepokoi mnie fakt, że ktoś usiłuje czasami nas nabrać. W końcu czas będzie ostatecznym sędzią — sędzią tyż bezstronnym co bezstronnym, a jego kwalifikacje będą wyższe. Szkoda jedynie, że prawdziwym odbiorcą tych rozstrzygnięć nie będziemy. Niepokoi mnie natomiast klimat moralny niektórych wystąpień. Sztuka możemy dzielić na kontynentalną i zamorską, tradycyjną, współczesną i awangardową, ale moralność, ten uniwersalny nośnik humanitaryzmu, bez względu na odienie polityczne i religijne jest w swej zasadzie jedna.

Wbrew opinii M. Ragona skandal jest jeszcze możliwy! Do takich skandali zaliczam wystąpienie w 36 Biennale w Wenecji, który w

poszukiwaniu środków ekspresji posłużył się umysłowo chorym człowiekiem, na którego piersi zawieszono tabliczkę opatrzoną odautorskim komentarzem. Nie znam treści tegoż komentarza. Bez względu jednak na jego sens uważam, że w sposób żalony i niegodny użyto w tym wypadku prestiżu sztuki i artysty. Dokonał zabiegu w płaszczyźnie moralnej równego hitlerowskim doświadczeniom na wienach obozowych, gdyż i w tym wypadku obiekt doświadczenia nie z własnej woli brał udział w eksperymentach, tym razem zwoływanych artystycznych. Był to skandal nie z cyklu tych podniecających, którego publiczność oczekuje od „zwarowanych artystów”, lecz skandal obrzydliwy przez zatracenie granic ludzkiej przyzwoitości.

Fakt przekroczenia pewnej umownej strefy wśród ludzi sztuki zaczyna być niepokojący przez swą precedensowość. Przypomnijmy sobie reżysera filmowego, który sprzedał kamerę filmową z karabinem maszynowym i karabinem, tworząc akcję pacyfistyczną prowadzoną przez żołnierzy. Mimo że z kamerą czy bez karabin maszynowy i tak wykonałby swe krwawe zadanie, jednakże świadomy akt jej sprzedaży postawił w opinii publicznej filmowca w pozycji tej samej jakiej znalazł się strzelający. Fakty te mogą dać wiele do myślenia nie tylko artystom, ale i wszystkim ludziom, u których nie wykształczy się podstawowe odruchy cywilizacyjne i etyczne.

Jakże biały w tych kontekstach wydaje mi się problem moralny oświeconej studentki PWSSP, która do kompozycji zamierzała użyć rybek z akwarium, którzy zmienić ruchy ułożone byłyby od zaplanowanego systemu bodźców elektrycznych o małym natężeniu. Radziła się mnie prosząc, abym rozstrzygnął kwestię etyczna eksperymentu. Informowała się również specjalistom, czy impulsy elektryczne będą dla ryb bolesne czy też nie. Mimo odpowiedzi, że będzie to zabieg niebolesny, zrezygnowała i corak z pomysłu, za co jestem jej wdzięczny.

W epoce, gdy lekarze przeszczepiający serce, aby uratować życie człowieka rozważają aspekt etyczny zagadnienia, nie można przejąć obojętnie wobec nadużyć tak cennej dla nas wolności twórczości. Być może przyszły kongres estetyk będzie zmuszone rozpatrzyć problem moralności w sztuce — nie jako interwały elementu wartości estetycznych, lecz jako element samego aktu twórczego.

ANDRZEJ SZONERT

# POROZUMIENIE GENTLEMENÓW

4 sierpnia 1933 roku dziennik „The New York Times” zamieścił niewielką i zwięzłą sformułowaną informację, że dnia 2 sierpnia 1933 roku nowy kanclerz Rzeszy, Adolf Hitler, przyjął w swojej rezydencji w Berchtesgaden po raz pierwszy delegację amerykańskich businessmenów. W jej skład wchodził tylko dwaj ludzie. Byli to — pułkownik Sosthenes Behn oraz jego przedstawiciel w Niemczech, Henry Mann. To właśnie spotkanie zainicjowało owe „specjalne” stosunki między ITP a III Rzeszą.

Od początku było widoczne, że ścisła współpraca z III Rzeszą oznaczała dla szefa ITP jeszcze bardziej dynamiczny rozwój koncernu i dalsze umocnienie jego pozycji w świecie. Toteż Behn postanowił skwapliwie wykorzystać te szanse. Należało tylko znaleźć odpowiednich ludzi, którzy z jednej strony byłby godni zaufania, z drugiej zaś odpowiadaliby nowym, narodowo-socjalistycznym władzom Niemiec. Człowiekiem, który wskazywał Behnowi osoby nadające się do powołania na kierownicze stanowiska w zakładach i dyrekcjach niemieckich filii ITP, a spełniające zarazem wymienione kryteria — był Wilhelm Keppler, doradca ekonomiczny Hitlera. Keppler po zastanowieniu wysunął sugestie co do kilku osób, wymieniał je wśród nich bankiera Kurta von Schroedera z kolonij banku Steina. Niebawem okazało się, że był to „dobry” wybór. Kurt von Schroeder został mianowany SS-Brigadefuehrerem (generałem brygady SS), będąc zarazem głównym pośrednikiem między kolumnami finansjery a himmlerowską SS. Pod pieczą Schroedera znajdował się m. in. „kanal”, którym płynęły pieniądze z SS. To przesądziło o tym, że Behn postanowił powołać go do rady nadzorczej filii ITP — Standard Elektricitäts Gesellschaft (SEG).

Zaraz po wejściu do SEG Schroeder dał się poznać jako doskonały organizator i zręczny manager. Przede wszystkim zreorganizował firmę, umorzył jej długi i uzyskał tak dla niej jak i dla firmy Lorenza poważne zamówienia zbrojeniowe. Interes był korzystny dla obu stron, bowiem im bardziej rosło tempo niemieckich zbrojeń, tym szersza stawała się ekspansja ITP w III Rzeszy. W zamian za te korzystne kooperacje Behn rozszerzał wciąż za-

sieg swych interesów i inwestycji w Niemczech, udzielając w ten sposób narodowym socjalistom swego pełnego poparcia. Na jego konkretne formy nie trzeba było długo czekać. Wkrótce po rozmowach przeprowadzonych przez Sosthenesa Behna z naczelnym dowódcą lotnictwa Rzeszy Hermannem Goeringiem ITP wysłał do niego nie lada przysługę. W 1933 roku filia ITP — firma Lorenz wykupiła u Focke-Wulfa 28 proc. udziału, co poważnie przyczyniło się do dynamicznego rozwoju tych zakładów lotniczych. Przypomnijmy tylko, że bombowce w nich produkowane zostały podczas II wojny światowej bardzo poważne straty konwojom alianckim.

Kurt von Schroeder przesłuchiwany po wojnie jako świadek przed Trybunałem Norymberskim oświadczył, iż pułkownik Sosthenes Behn doskonale wiedział co robi przejmując udziały firmy Focke-Wulf. Powiedział on wówczas m. in.:

„Poczynając od 1933 roku aż do wybuchu wojny znaczna część zysków niemieckich filii ITP mogła podlegać transferowi do firm pułkownika Behna w Stanach Zjednoczonych — a to jednak mnie nie przeszkadzało. Najprawdopodobniej nie miał nic przeciwko temu, aby przedsiębiorstwa w Niemczech, w których miał udział on i jego firmy, wszystkie swe zyski inwestowały w nowe urządzenia fabryczne i zakłady zbrojeniowe”.

Zapytany następnie: „Czy pan wiedział bądź słyszał o tym, aby pułkownik Behn lub jego przedstawiciele protestowali przeciw działalności tych towarzystw, które były zaangażowane w przygotowanie Niemiec do wojny?” — Schroeder odpowiedział: „Nie”.

Behn tak dalece ufał Hitlerowi, iż gotów był umacniać pozycje niemieckich towarzystw ITP nawet kosztem swych filii w innych krajach. Pomimo zakazu Hitlera z 1935 roku odnośnie przekazywania patentów i informacji technicznych zagranicznym firmom (w wyjątkowych wypadkach trzeba było uzyskać specjalne pozwoleń) ITP nadal przekazywał patenty swym niemieckim filiom i wydatnie zwiększał import z Niemiec.

Potwierdzenie tego stanu znajdujemy w jednym ze sprawozdań rządu USA, pochodzących z roku 1943, w którym m. in. stwierdzono:

„Przez finansowanie ekspansji w Niemczech, przez umowy w sprawie podziału zakresu czynności i dzięki innym metodom, ITP mogła zwiększyć swoje obroty w III Rzeszy, podczas gdy rozmiary sprzedaży innych filii malały lub pozostawały na tym samym poziomie”.

W 1935 roku w niemieckich fabrykach ITP zwolniono na podstawie słynnych „Ustaw Norymberskich” tych pracowników, którzy byli Żydami. Zostali oni zastąpieni przez „aryjskich”. Celem takiej polityki było udowodnienie świata, iż filie ITP, znajdujące się na terenie Rzeszy, są wyłącznie firmami niemieckimi. Z tego też względu unikano zatrudniania w nich „gości zza Oceanu”.

Wkrótce po dokonaniu Anschlussu Austrii, berlińskiej centrali podporządkowano austriackie towarzystwo ITP — Czaja-Nissl. Niebawem, w myśl wyżej wspomnianych ustaw, zwolniono i tutaj wszystkich Żydów, wśród nich prezesa firmy Franka Nissla. Początkowo Niemcy zamierzali wywłaszczyć te austriackie firmy ITP — jako towarzystwo będące w posiadaniu zagranicznych właścicieli (amerykańskich). Jednakże Behn, który poważnie zaniepokół się perspektywą utraty swej austriackiej filii, postanowił interweniować bezpośrednio u Hitlera. W czasie audyencji Hitler ponownie zapewnił Behna, że nie ma podstaw do niepokoju o perspektywę ITP w Rzeszy, a jednocześnie dodał, że nie wysuwa już żadnych roszczeń terytorialnych. Po tej rozmowie Behn referując jej przebieg swym dyrektorom powiedział: Hitler to prawdziwy gentleman, który również ubiera się bardzo elegancko”.

Drugim człowiekiem, który cieszył się nie mniejszym zaufaniem Behna niż Kurt von Schroeder, był doktor Gerhard Alois Westrick. Westrick, znany adwokat ze spółki adwokackiej „Albert i Westrick”, podczas swych częstych wyjazdów do Nowego Jorku niejednokrotnie odwiedzał szefa ITP. Pracował bowiem dla wielu firm amerykańskich w Niemczech, w tym także dla ITP, ściśle współdziałając z izbą adwokacką Sullivan and Cromwell w Waszyngtonie. Godny uwagi jest fakt, że wspólniki tej izby byli późniejszy sekretarz stanu USA, John Foster Dulles. Dzięki swojej osobistej pozycji i stosunkom, Westrick pomógł — wielu firmom amerykańskim w uzyskaniu poważnych inwestycji w Niemczech. Podczas swych pobytów w Nowym Jorku Westrick zatrzymywał się w luksusowym hotelu Plaza. Jak później ustaliła FBI — jego rachunki hotelowe zawsze płacił Sosthenes Behn. Musiał on dla Behna wiele znaczyć, skoro już w 1933 roku mianował go przewodniczącym rady nadzorczej holdingów ITP w Niemczech.

Wybuch II wojny światowej, we wrześniu 1939 roku, spowodował, że filiom ITP III Rzeszy podporządkowano — oprócz wspomnianej firmy austriackiej, również towarzystwa na Węgrzech i w Szwajcarii. W tej nowej sytuacji zadaniem dra Westricka było utrzymanie stałych kontaktów między nimi. Tym sposobem dzięki osobistym wyjazdom Westricka i Goeringiem, pozycja niemieckich firm ITP stała się uprzywilejowana. Również dążenie Behna do utrzymania ścisłej więzi tych filii z nowojorską centralą doczekało się owocnego rozstrzygnięcia. Po interwencji Schroedera u dra Saegera w Ministerstwie Gospodarki Rzeszy, towarzystwa ITP jako pierwsze firmy za-

graniczne zostały uznane przez władze państwowe za przedsiębiorstwa niemieckie, co automatycznie powodowało, że nie musiały podlegać urzędowi powiernicemu do spraw obcego mienia. Zyszczyła tu kamień milowy polityka Sosthenesa Behna. Jej cel był całkiem jasny — w przypadku zwycięstwa Niemiec w toczącej się wojnie, filie ITP były niemieckie, zaś w wypadku porażki — były amerykańskie.

Późną wiosną 1940 roku prawie cała Europa zachodnia i środkowa znalazła się pod panowaniem Niemiec. Sytuacja aliantów zachodnich była nie do pozazdroszczenia. Upadek Francji i rozpaczliwe próby oparcia się niemieckiej inwazji podejmowane ze strony Wielkiej Brytanii wywołały poważne zaniepokojenie również w Stanach Zjednoczonych. Ale nie u wszystkich, a najmniej u szefa ITP. Behnowi wydawało się bowiem, że stawiając na Hitlera postawił na właściwego „konia”. Próbował więc zarazem nakłonić do współpracy z III Rzeszą także innych, myślicy podobnie, businessmenów amerykańskich. W takiej oto atmosferze dr Westrick przybył do Nowego Jorku, aby namówić czołowych businessmenów USA jak np. Henry Forda do przerwania dostaw sprzętu wojkowego do Wielkiej Brytanii. Argumentował przy tym, że wówczas można by zakończyć wojnę w przeciągu trzech miesięcy.

Aby uniknąć zbytecznego rozgłosu Westrick oprócz rezydowania w hotelu Plaza zainstalował się w majątku ziemskim Scansdale koło Nowego Jorku. Tam też organizował spotkania z przedstawicielami czołowych firm amerykańskich, chcących zasięgnąć informacji o perspektywach handlu z III Rzeszą. Czestym gościem Westricka w Scansdale był kapitan Rieber, były prezes koncernu naftowego Texas Co., podobnie jak Behn — zagorzały sympatyk Hitlera. Westrick zaś utrzymując ścisły kontakt z firmami ITP w Niemczech i z samym Behnem przebywającym wówczas w Lizbonie, w różnych kolorach przedstawiał przyszły rozwój handlu niemiecko-amerykańskiego. Jedyną przeszkodą, którą trzeba było koniecznie pokonać, była Wielka Brytania.

Nowojorska misja dra Westricka została jednak nieoczekiwanie zakłócona. Oto koniec lipca 1940 roku dziennik „New York Herald Tribune” ujawnił obecność Westricka w Stanach oraz prawdziwy cel jego pobytu. Pojawili się także nazwiska niektórych businessmenów, z którymi się spotykał. Jak się później okazało, wiadomość przekazano na podstawie informacji udostępnionych przez szefa komórki wywiadu brytyjskiego na Amerykę — Williama Stephensona. W informacjach tych dr Westrick został przedstawiony jako osobisty emisariusz Ribbentropa, działający z polecenia Hitlera. Nie ujawnił wówczas tylko jednego faktu, a mianowicie, kto przygotował podróz Westricka. Behn więc nadal mógł się czuć bezpieczny. Natychmiast po ujawnieniu afery Westrick pośpiesznie opuścił hotel Plaza i pod zmienionym nazwiskiem (Arthura Webstera) przeniósł się do innego hotelu. Niebawem wyjechał do San Francisco, skąd na japońskim statku przybył do kraju „wschodzącego słońca”. Stamtąd zaś via Szwajcarii powrócił do Niemiec. Po powrocie do Berlina przedstawił Schroederowi pełnomocnictwo, jakie otrzymał od Behna, a które umożliwilo mu pełną swobodę działania w stosunku do niemieckich filii ITP, wraz z kontraktem na 100 tys. marek rocznie. Oczywiście ściśle w interesie prezesa nowojorskiej centrali.

Westrick jednak nie był aż takim „rygorystą” i podejmowane przezeń działania nie zawsze szły w parze z najlepszymi interesami Behna. Tak na przykład, gdy firma Lorenz z uwagi na swą ogromną ekspansję spowodowaną wymogami wojny pilnie potrzebowała pożyczki w wysokości 15 milionów marek, Ministerstwo Gospodarki Rzeszy zgodziło się wydać pozwolenie na jej udzielenie pod warunkiem, że kapitał firmy zostanie podwojony przez emisję nowych akcji.

Efekt tego posunięcia był taki, że firma ta stała się w istocie przedsiębiorstwem niemieckim, zaś Behn zupełnie



Fot. Archiwum

utracił nad nią kontrolę. Nie przeszkodziło to bynajmniej temu ostatniemu w dalszym rozwijaniu dobrych stosunków z Niemcami. Często więc odwiedzał Goeringa, aby omówić z nim problemy finansowe i dalsze plany współpracy. Podczas jednego z takich spotkań Goering poprosił Behna, aby wysondował czynniki rządowe w Anglii, odnośnie możliwości zawarcia pokoju. Miał on jakoby rozmawiać w tej sprawie z Churchillem, Chamberlainem i Edenem, żaden z nich jednak nie potwierdził tego faktu. Jednocześnie Goering poruszył także sprawę ewentualnego wykupienia niemieckich filii ITP za co Behn miałby otrzymać wynagrodzenie w towarach i surowcach w Szwajcarii. Pojawiała się nawet możliwość nabycia przez ITP w zamian za firmy niemieckie wysoko notowanego przedsiębiorstwa amerykańskiego „General Aniline and Film Corporation” (GAF). W tym miejscu należy wyjaśnić, że GAF był filią „słynnego” niemieckiego trustu chemicznego IG-Farben Industrie (produkującego w czasie wojny cyklon A i B stosowany w komorach gazowych hitlerowskich obozów koncentracyjnych). GAF zaś zajmował się produkcją błon filmowych, farb i chemikaliów na rynek amerykański. Faktyczny stan posiadania firmy był zresztą zakamuflowany za pośrednictwem banków szwajcarskich. Jednakże do przejęcia GAF przez ITP nie doszło ze względu na zajęcie tego pierwszego przez rząd USA.

Działalność ITP nie ograniczała się bynajmniej do obszaru Niemiec, dzięki bowiem swym dobrym stosunkom z władzami Rzeszy koncern mógł bez przeszkód rozszerzyć swoją ekspansję również na kraje nateżące do niemieckiej sfery interesów. Jako dobry przykład takiej właśnie działalności może posłużyć Rumunia, gdzie ITP działał już od 1930 roku, reorganizując system telefoniczny kraju. Z chwila objęcia władzy w 1940 roku przez contacuturula Antonescu ten ostatni zażądał — zresztą za zgodą Behna — podporządkowania ITP Żelaznej Gwardii. Niebawem jednak Rumuni pozostający pod wciąż rosnącym wpływem Niemiec, zaczęli domagać się całkowitego przejęcia rumuńskiej filii ITP. Efektem interwencji Behna u niemieckiego pełnomocnika do spraw gospodarczych Constantina von Velsena była decyzja rządu rumuńskiego z lipca 1941 roku, na podstawie której ITP otrzymał odszkodowanie za przejęcie mienia w wysokości 13,8 miliona dolarów. Był to zresztą pierwszy wypadek od czasu wybuchu wojny, aby państwo należące do obszaru interesów Niemiec wypłaciło dolary wielkiemu koncernowi amerykańskiemu.

jak to, niezbyt dawnymi laty, na moście dębnińskim pod Hubą starty się dwie gromady juhaskie w zadwójnym sporze i siekiarki „ino zbywały i furealty lecały do Dunajca”.

Gdybym był reżyserem, od czego mnie Bozicku broń, bo straszliwa to harówka i odpowiedzialność — dalbym zbójnikom do pojedynku to, com na swoich projektach do filmu wymalował: cipałki, co najużytejsze szerokie noże lub kije — na pewno



nie dragońskie szablone (które Pani, jako uroczą „kobieta płci żeńskiej”, by użyć słów poety, nazywa szpadami). Natomiast szable, konkretnie: karabele przycepiłbym nierozrzuwalnie do szlacheckich kontuszów, bo były absolutnie obowiązującym fragmentem stroju, a słyszę, że zobaczy-

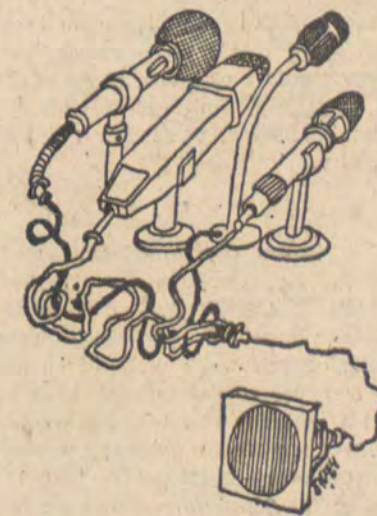
my w serialu panów braci bez broni u boku... Tak samo trzymalibyśmy się rysunków kostiumowych i nie wkładał na głowę amazonki z roku 1810 męskiego cylindra z końca XIX wieku, co jest (bez typowej woalki dam dosiadających konia) do zobaczenia na ekranie.

Rola projektanta kostiumów, którym byłem przy JANOSIKU, urywa się z chwilą zaczecha zdjęć, tak twarde jest życie. I choćbym się zaplakał, że efekt nie ma wiele wspólnego z rysunkami (tu, w wypadku Janosikowym, ma sporo choć nie w 100 proc.) — nikt mego głosu nie chce słyszeć. Pierwszym po Bogu jest na planie reżyser, bo ma w imaginacji wizję całości — i choć na ogół nie stawiano szubienic na halach, były raczej realizatorskie dla zmieszania jurydykcyi z kierdelami. Przy okazji pogubiono mnóstwo realiów innego typu, zyskując znowu odmienne walory. A czy starosta mógł mieć czarną brodę do białej perucyki i mówić gwarą? Jednak to właśnie zagrało w „zwiaśtanie” komizmem.

Na koniec „cepelowość” grup zbójnickich. Powiem Pani, po cichu, że gdybyśmy ukazali harnasiów inaczej, niż nas przyuczyczyły drzeworyty Skoczylasa, widz czułby się w tej baśni nieco nabrany, bo Janosik musi mieć czerwone portki i czapę na pół szańca. Prawdziwi rabusie podhalańscy epoki wziętej na warsztat wyglądali nader szaro i Perepeczko nie oślisłby Hanuś jak trzeba

na ekranie, a i cyfrowań na nogawicach nie było, musieliśmy nagiąć dość bezbarwną rzeczywistość do kolorowych stereotypów legendy, właśnie dla „uwierzytelnienia”.

Konkludując — biorę odpowiedzialność tylko za to, com wyrysował na (nie znanych publiczności) papierkach projektów, gdy zaś ogląda się ekranowy wynik, trzeba jednak brnąć pod uwagę zarówno hegemonię reżysera, czerpiącego z realiów i z dokumentacji tylko to, co mu pasuje — jak i widzieć skromność wpływów



osób wynajętych do pomocy, m.in. kostiumologów, bronioznawców, koniarzy, wnętrzarzy, historyków etc. Stwierdzam tymi słowy fakt, natomiast ucale nie mówię, że ten fakt uważam za pożądany. Wolaliby, jak Pani, aby — przyjąwszy reguły realizmu — trzymać się rzeczywistości według wskazań fachowców. Lecz to już wykracza poza przykład jednego JANOSIKA.

Jednym słowem: „koleeega” co pozwoliłszy sobie stwierdzić kreślię z szacunkiem

SZYMON KOBYLINSKI (Warszawa)

Do Pani Redaktorki  
Ewy Nurczyńskiej  
słuszne słowa piszącej  
w łódkich ODGŁOSACH

Szanowna Pani!

Odpowiadam również publicznie (prosząc Redakcję o wydrukowanie mego listu) na pytanie Pani: „Jak to właściwie jest z tradycją pojedynków na szpady” w wykonaniu duu harnasiów ukazanych w filmie JANOSIK Jerzego Passendorfera? — Podejrzewam, że powinno być jak w starej śpiewce: „Za górami, za lasami, za dolinami — pobili się dwaj górale ciupaga mi”, zwróciła że mi opowiadali naoczni świadkowie,

# EUROPA PODZIEMNA

Miałem kiedyś okazję przestudiowania obszernego bloku prywatnej korespondencji jednego z najwybitniejszych historyków francuskich XX w. z okresu okupacji. Dopiero podczas tej lektury, przewracając zapisane maczkiem listy i karty pocztowe wysyłane z okupowanego Paryża zdalem sobie w pełni sprawę z tego, jak bardzo nasze, polskie doświadczenia tamtych lat nie pasują do stosunków francuskich czy w ogóle zachodnich, jak trudno nam Polakom zrozumieć odmienną kulturę i kształt hitlerowskiej okupacji na Zachodzie i odwrotnie, jak Francuzowi, Holendrowi czy Belgowi trudno pojąć to, jak naprawdę było wówczas u nas. Bo którzy to z polskich intelektualistów, dajmy na to w okupowanej Warszawie, pisaliby w listach do przyjaciela to, co znajdowaliśmy w korespondencji owego Francuza: o tym, jak to straszne, że Niemcy ograniczają sprzedaż benzyny dla prywatnych właścicieli samochodów, że bezskutecznie starają się wstrząsnąć do życia instytucji naukowych, że ogromne trudności pieważa się przed wydawcami książek i czasopism itd?

Jest natomiast zrozumiałe, że nasza literatura historyczna, dotycząca dzieł ruchu oporu w latach wojny, okupacji, skoncentrowała swą uwagę przede wszystkim na naszej własnej przeszłości, obszerne dokumentując walkę i martyrologię narodu polskiego. Sporo też prac, czy to historycznych, czy też rzadziej — oryginalnych, poświęcono wojennej historii naszych najbliższych sąsiadów, przede wszystkim zaś dziełom Związku Radzieckiego. Jednakże, co się tyczy innych krajów europejskich, dzieł o społeczeństwie organizującym ruch oporu przeciwko hitlerowskiemu, nasze piśmiennictwo historyczne wykazuje drastyczne, zaskakujące luki. Ten intuicyjny, niekiedy sąd krytyczny, starający się uważnie śledzić literaturę, znajduje potwierdzenie w bibliografii zestawionej przez E. Duraczynskiego i J.J. Tereję na końcu ich książeczki o „Europie podziemnej 1939—1945” (1974): jakże niewiele mamy u nas książek poświęconych do dzieł W. Czaplńskiego „Ruch oporu w Danii 1940—1945” (1973)! A przecież poznanie tego, co działo się w innych krajach, ma zasadnicze, nieraz znaczące dla zrozumienia naszych własnych, polskich problemów, których nie wolno — wiemy o tym aż zbyt dobrze — odrywać od całości problemu europejskiego!

„Lasy świata decydowały się na polach wielkich bitew, w konfrontacji (rozmiarów, które nie znalazły dzieła ludzkości) ekonomicznej i militarnej państw wielkiej koalicji antyhitlerowskiej i obozu faszystowskiego pod przywództwem III Rzeszy. Jednakże byłoby dużym błędem niedostrzeżenie wkładu, jaki w zwycięstwo nad faszystem wniosła walka żołnierzy konspiracji partyzanckiej i bojowników z grup sabotażowo-dwersyjnych, drukarzy i dziennikarzy tajnych niem — wszystkich, których niezłomnej woli w tak wielkiej mierze zawdzięczają narody Europy, II okupacji, toż nie udało się ich moralnie zmasakrować i zniszczyć w imię „wspólnoty”. Słowa te — które E. Duraczynski i J.J. Tereja umieszcili na wstępie do swej książki — są w jakimś sensie truizmem, bo na pewno bardzo niewielu czytelników byłoby skłonnych do „nieodoceniań” znaczenia ruchu oporu w kształtowaniu się losów świata podczas II Wojny Światowej. Zapewne tak jest, co się tyczy naszej własnej, polskiej historii, co stosunkowo dobrze nam znanych zmasakrowanych radzieckich z hitleryzmem, dzieł partyzancki w Jugosławii itd. Ale czy nie jest inaczej, gdy myślimy o jakże mniej znanej przeszłości innych krajów, Belgii, Holandii, Austrii i innych? Wyciągamy z literatury popularnej, podręczniki szkolne, ba, nawet niektóre poważne opracowania syntetyczne by się przekonać, że opisując dzieła innych, położonych daleko od naszego kraju, w okresie wojny i okupacji, jakże często koncentrowaliśmy się na historii zewnętrzno-politycznej, pozostawiając dzieła ruchu oporu na marginesie naszych rozważań!

Książka E. Duraczynskiego i J.J. Tereję „Europa podziemna 1939—1945”, wydana w serii „Omegi” ma na celu zapalenie ewidentnych luk naszej historycznej wiedzy przedstawiając czytelnikowi obraz dzieł ruchu oporu w piętnastu krajach europejskich, od Albanii po Włochy. Autorzy postawili sobie na celu zapoznanie polskiego czytelnika „z różnorodnymi i bogatymi formami ruchu oporu w poszczególnych krajach, których panowały tak przeciwieśnienne warunki polityczne, tak różny był stopień ich rozwoju ekonomicznego i społecznego”. Ogromne zróżnicowanie stosunków sprawiło, że zdecydowali się na ujęcie w swoim rodzaju encyklopedyczne, omawiając dzieła poszczególnych krajów w porządku alfabetycznym. Sposób to na pewno stosunkowo łatwy do zrealizowania, czy jednak nie prowadzi do mimowolnego zatarcia tego, co w dziełach poszczególnych krajów było czy to wspólne, czy paralelne? Nie wiem, sądzę jednak, że mimo pewnych nielicznych powtórzeń, nieuchronnych przy takiej koncepcji, książka, autorzy wzięli obronę ręką. Jednakże — i tutaj właśnie mam do nich pretensję — należało się również pokusić o jakieś podsumowanie, w którym dokonano by się uporządkowania problemów, analizowanych na materiale dzieł poszczególnych krajów w sposób izolowany, ich scalenia w syntetycznym obrazie. Cieszyło takie zadania spełnia precyzyjne „słowo wstępne”, ale jedynie po części. Sprawa ostatnia: wybór krajów, o których w książce jest mowa. Autorzy wylumaczyli się, przekonująco, dialektycznym pominięciem Finlandii, mniej przekonali mnie, dlaczego uczynili to z Luksemburgiem. Rozumiem, że nie było ich celem omawianie Polski, chociaż w toku narracji nieraz prosiłoby się o przeprowadzenie pewnych paraleli ze stosunkami polskimi, a tymi, jakie panowały gdzie indziej. Natomiast — i tu nie jestem w zgodzie z E. Duraczynskim i J.J. Tereją — nie przekonało mnie zupełnie, dlaczego autorzy pominieli Związek Radziecki.

Nie przekonało mnie ani to, że praca dotyczy krajów, w których rządy zostały przejęte przez okupanta bądź takie lub inne miejscowe siły faszystowskie i kolaboracyjne, ani też to, że „dzieła radzieckiego ruchu oporu na zaplecziu frontu stanowią integralną część składową historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej narodów radzieckich”. A kto powiedział, że gdziekolwiek trzeba rozpatrywać ruch oporu, rozłączając od dzieł wielkich zmagających wojennych? Oczywiście ani mi w myśli posądzać autorów o zniekształcenie problematyki radzieckiej, której poświęcili oni parę naprawdę pięknych stron na wstępie do swej książki. Godzę się z poglądem, że ma ona swoją ważką specyfikę, że zastępuje na szersze ujęcie, że wreszcie należy oczekiwać pojawienia się na polskim rynku czytelnicy „samodzielnej pozytywnej sprawie tej poświęconej”.

LEKTOR

# PLASTYKA

# W OBRONIE SZTUKI ZAANGAŻOWANEJ

Program Ogólnopolskiej Wystawy Sztuki Zaangażowanej Politycznie i Społecznie, zorganizowanej z okazji XXX-lecia PRL i 550-lecia nadania Łodzi praw miejskich brzmi:

„Nasz wiek XX, burzliwa epoka przemian społecznych, powstania pierwszego państwa socjalistycznego, wypraw w Kosmos i dwóch krwawych wojen światowych, niepokojnego rozwoju cywilizacji i zbrodni faszystów, rozwoju nauki i groźby zagłady atomowej, stawia przed ludzkością wyjątkowo ostry problem oceny faktów i wyboru postaw. Podejmując jako temat polską sztukę zaangażowaną politycznie i społecznie, pragniemy przedstawić dzieła plastyczne, które są wypowiedzią twórców na temat problemów nurtujących współczesny świat. Pragniemy pokazać społeczeństwu jak sztuka przy pomocy nowoczesnych środków wyrazu podejmuje obronę ogólnoludzkich wartości humanitarnych, przekazuje wzorce historyczne i bohaterstwa naszych czasów. Pragniemy, aby widz tej wystawy mógł zidentyfikować z artystą postawy i odczuć szacunek dla dzieła, które podnosi trud ludzki do rangi sztuki”.



Halina Korbik

Z cyklu „Rodzina” — „Ewa”.

**SZTUKA ZAANGAŻOWANA** — magiczne słowa, trudne słowa; dla jednych słowa — tabu, dla innych wyswiechtany, zatłumiony, wszystko slogan, którym szastają na lewo i prawo, bez zastanowienia się nad jego prawdziwym sensem, bez próby zrozumienia jego właściwego znaczenia; dla jeszcze innych słowa te znaczą mozolny wysiłek twórcy nad nową treścią i nowymi formami.

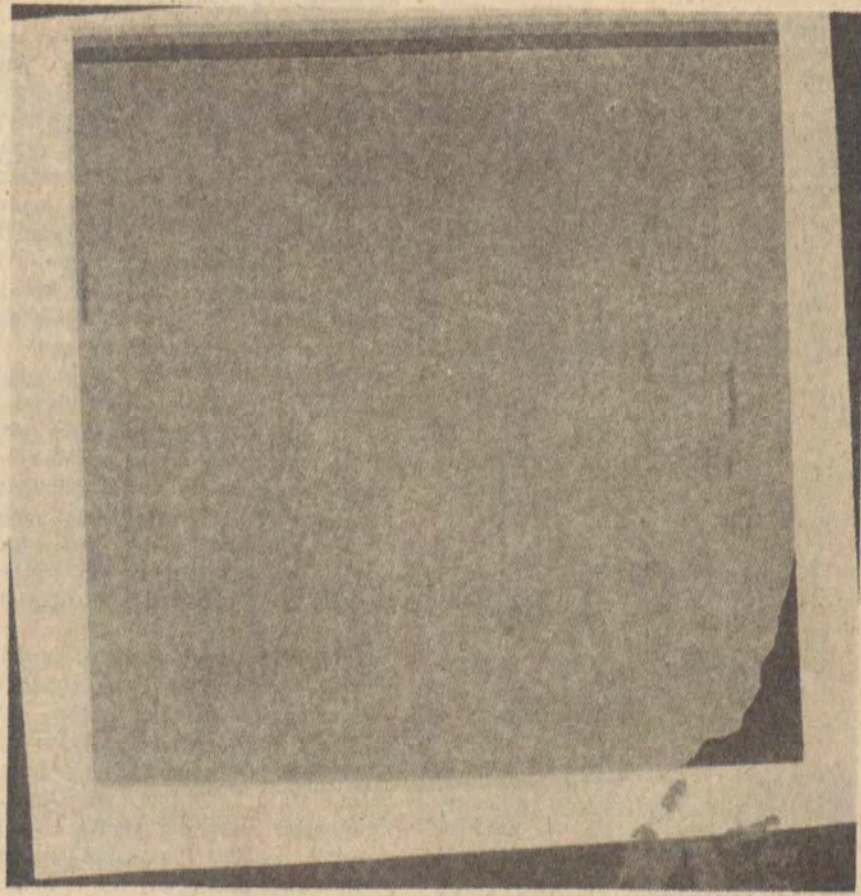
**SZTUKA ZAANGAŻOWANA** — frapujące słowa, trudne słowa, słowa, które posiadają głęboki sens i własny ciężar. Dyskusja nad tymi słowami trwa od lat trzydziestu. Na szczęście, obok tej dyskusji przy biurkach pisarzy i dramaturgów, w pracowniach malarzy i rzeźbiarzy, na scenach teatrów, w zespołach filmowych trwała uparta, mozolna praca nad nowym kształtem polskiej sztuki, nad nowym modelem kultury polskiej. Powstały więc na przestrzeni tych lat trzydziestu dzieła wybitne, dzieła na miarę czasów, w których się zrodziły i rzeczy miłkie, które prócz osadu, nie zostały po sobie nic więcej.

Powstały dzieła, które wystawiają nam chlubny cenzus aktywnej obecności w świecie współczesnym i rzeczy, które poszły na przemiał, które same spadły z ekranów, które zalegają magazyny Ministerstwa Kultury i Sztuki, muzeów, wydziałów i domów kultury...

Nie jestem chyba odosobniony opinii, że Ogólnopolska Wystawa Sztuki Zaangażowanej Politycznie i Społecznie winna stać się imprezą stałą, organizowaną w Łodzi co dwa — trzy, czy co ileś tam lat, brak bowiem takiej konfrontacji jest oczywisty. Po obejrzeniu obecnej wystawy (w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza) nasuwa się jednak pytanie: jak organizować taką imprezę, aby rzeczywiście była ona

prezją martwą, której „zaangażowanie” mierzyć się będzie ilością osób oficjalnych, przybyłych na wernisaż. A przecież rzecz idzie o rzeczywiście zaangażowanie, a nie o pozory. Chcemy, głodni jesteśmy sztuki żywej, drażącej sprawy wielkie i małe, ale sprawy bliskie nam i dla nas istotne, sztuki, która krzyczy i śpiewa, która płacze i śmieje się, sztuki afirmującej trud i radość życia, buntującej się przeciw złu i nieprawości. Chcemy SZTUKI, nie martwych, pustych, obojętnych, wypranych z emocji, z uczucia prostokątów płótna, zamalowanych farbami i opatrzonych tytułami, które mają działać jak zaklęcia: „Jesteśmy przeciw wojnom i zagładzie”, „Robotnicy z fabryki Gayera”, „Proletariacka Łódź pracuje”, „Epitafium”, „Erozja”, „Sztandary”, „Monte Cassino”, „Przełamań strzelac”, „Nie można przejść obojętnie”, „Praca w polu”, „Allende — strzelajcie”, „Pierwsze żniwa”. Tytuły wypisane na małych kartonikach, przymocowanych obok obrazów i grafik; słowa, słowa — deklaracje nic nie znaczące w kontekście z obrazem, który komentują; słowa, które utraciły cały swój ciężar, swoją moc i treść w konfrontacji z martwym przedmiotem, który podsunęło nam jako dzieło sztuki.

A przecież wystarczy sięgnąć ręką, oderwać od ściany któryś z tych białych kartoników, wyjść z nim przed pawilon wystawowy, w zieleń drzew parku Sienkiewicza, przejść aleją jedną i drugą obok kobiety z dzieckiem, obok starego człowieka, który przycupnął na skraju ławki i gada coś do swojego psa, obok pary młodych ludzi trzymających się za ręce, obok tych wszystkich, którzy szybko śpieszą przez park zafierowani swymi sprawami i odczytać jeszcze raz napisane na nim słowa: „Jesteśmy przeciw wojnom i zagładzie”, „Epitafium”, „Monte Cassino”, „Przełamań strzelac”, „Pierwsze żniwa”, „Allende — strzelajcie”, aby przywrócić im życie, żeby wybuchły w naszym umyśle i w naszym sercu jak granat wspomnieniem, protestem, bólem, dumą...



Paweł Markowski

„Ingerencja zieleni”

Stoję przed płótnem Liberskiego zatytułowanym „Monte Cassino” (wymiar 222x137, cena 19.510 zł) i nie widzę nic. Ten obraz jest dla mnie pusty, chociaż malarz zapisał go postaciami żołnierzy, armatą, kikutami drzew, górą i klasztorem na samej górze i wydawać by się mogło, że na tym obrazie jest pełno, ale jeżeli nie jest pełno, to coś tam jest. A tymczasem tam nie ma nic. Płótno, farba i pustka. Wrażenie takie, jak bym przekręcił gałkę zepsutego radia i z ciszy starał się wyłowić jakieś dźwięki, których nie ma, których być nie może, bo aparat jest zepsuty. Z obrazu Liberskiego nie płynie do mnie żaden dźwięk. Ten obraz wisł na ścianie, jest w tej ścianie, jak dziura ziejąca pustką. Jako człowiek, jako humanista, wreszcie jako spadkobierca pewnych dokonań, poświęcić i cierpiem stawiam stanowczy sprzeciw temu milczeniu, bo są sprawy, o których nie wolno milczeć.

Na wystawie milczy wiele obrazów: Milczenie tych obrazów jest przemilczaniem zaangażowania.

Czytam tytuły pod obrazami, ale czytam i ceny: 7.000, 9.000, 17.000, 12.000, 18.000, 19.000, 30.000, 18.000, 14.000... Najdroższe są te obrazy, które milczą...

Nie wszystkie obrazy są głuchą ciszą. Są na wystawie obrazy, które mówią: Urbanowicz, Jackowski, Duda-Gracz, Kudelski, Kabala, Wąsowska, Waniek, Mieczysław Wejman i Stanisław Wejman, Różga, Nawrot —



Ryszard Hunger

„Okna VIII”

ich obrazy i grafiki świadczą o tym, że pomysł zorganizowania Ogólnopolskiej Wystawy Sztuki Zaangażowanej Politycznie i Społecznie jest słuszny, konieczny, potrzebny i wart jest kontynuowania. Ci twórcy mają coś do powiedzenia o świecie, w którym żyją. Ich dzieła dowodnie świadczą o ich aktywnej obecności. Dzięki nim milczące obrazy Liberskiego, Garwotowskiego, Korbikowej, Skrobinińskiego, Strumiłły nie wierzą tak dojmująco ucha martwą ciszą. Stają się przedmiotami, które przez przypadek znalazły się akurat w tym miejscu. Oglądając obrazy, które mówią, odnosi się wrażenie, że zaraz ktoś przyjdzie i wyniesie te, które milczą. I na następnej wystawie już ich nie będzie.

Sztuka zaangażowana nie jest sztuką milczenia.

ANDRZEJ GRUN

# NA WĘGRZECH

Przyjechałem do Budapesztu w składzie delegacji pisarzy w ramach wymiany między Związkiem Literatów Polskich i Związkiem Pisarzy Węgierskich, korzystając z opieki i pomocy gospodarzy. Trafiliśmy akurat na moment, gdy Związek Pisarzy Węgierskich i cały węgierski świat kultury okryty był żałobą. Zmarł właśnie w wieku 62 lat wybitny pisarz i długoletni prezes Związku — Józef Darvasz. Był autorem wielu powieści związanych z życiem wsi węgierskiej, historycznych i współczesnych oraz kilku dramatów. W Polsce znana jest jego powieść „Czarny chleb”.

W klubie Związku odbyło się pierwsze spotkanie z pisarzami węgierskimi. Gospodarzem był pełniący obowiązki sekretarza generalnego Związku Pisarzy Węgierskich — Tibor Garay. Zetknęliśmy się z kilkunastoma pisarzami, a m.in. ze znaną u nas z przekładów jej książek Anną Jokal (tylko przypomniałem sobie nosić nazwisko z autorem powieści „Poruszmy z sobą ziemię”, przyjaciелеm Potęgi, Morem Jokalem). Zoltan Fabianem i laureatem Nagrody im. Kossutha — Tiborem Barabaszem. Nie zabrakło też tłumaczy literatury polskiej i krytyków specjalizujących się w naszej literaturze.

Rozmowy dotyczyły przede wszystkim wzajemnych powiazań literackich. Poinformowano nas, że w roku 1973 ukazały się na Węgrzech przekłady opowiadań Iwaszkiewicza i Żukrowskiego, znakomitego „Pamiętnika z powstania warszawskiego” Mirny Białoszewskiego, „Szeherazady” Edwarda Stachury itp. Gorzej przedstawia się sprawa wprowadzenia na sceny węgierskie polskiego dramatu współczesnego. W tym względzie my możemy się pochwalić sztukami „Orknejskiego, Szekónyi” i innych dramatów węgierskich, które często wystawiane są przez nasze teatry.

Wspomniano też o tłumaczach z węgierskiego. Wymieniono: Kazimiera Nakowiczównę, Tadeusza Fangrata i Tadeusza Olszańską. Tibor Garay wspominał, że spędził on okres wojny na Węgrzech, gdzie w 1939 r. schronił się ok. 140 tys. Polaków, osób wojskowych i cywilnych. Z tej liczby 30 tys. osób pozostało na Węgrzech aż do końca wojny, skupiając się głównie w miejscowości Balatonboglár, gdzie nawet uruchomiono liceum dla polskiej młodzieży. Wiele polsko-węgierskich przyjaźni zadzierzgnięto się w tych niełatwych dla obu naszych narodów czasach.

Wieczór w budapeszteńskim Teatrze Narodowym (Nemzeti Színház) na placu Szandora Bevesy. Ogładam sztukę Miklósa Hubaya, której tytuł należałoby przetłumaczyć: „Teatr na grzbiecie wioły”. Napisana współcześnie, ale akcja jej rozgrywa się w połowie XVI wieku. Dla nas Polaków ciekawostką jest, że w dramacie występuje Stefan Batory jako młody jeszcze książę Siedmiogrodu. Kulminacyjny punkt sztuki następuje, gdy grupa aktorów wędrownych odgrywa na dworze króla Zygmunta Zapolyi widowisko pod tytułem „Zdrady Białoszewskiego”, w obecności zdradzieckiego magnata o tym nazwisku. Teatr w teatrze spełnia tu, podobnie jak w „Hamlecie”, rolę sądu moralnego nad niecznymi zbrodniami.

W ponad dwudziestu teatrach Budapesztu zmienny repertuar, a więc w ciągu tygodnia grane jest około siedemdziesięciu sztuk: między innymi „Otello”, „Revisor”, „Szkoła zón”, „Trzy siostry”, „Arystokraci”, „Pogodina”, „Play Strindberg”, „Dürrenmatt”, „Marat-Sade”, „Weissa”, „Spokojny Amerykanin”, „Graham Greena”, „Bóg z toba, monarcho”, „Csokora”, „Don Juan czyli miłość do geometrii”, „Frischa. Z nowych sztuk węgierskich gra się „Obchód szefa” Tibora Gyurkovicsa, „Gandhiego” Laszlo Németha i „Falanster” Gyul Hernadiego, scenarzysty słynnych filmów Miklósa Jancso. W jednym z teatrów wystawiono „Czerwony psalm” Jest to inscenizacja scenariusza filmowego Hernadiego i Jancso, w reżyserii tego ostatniego.

Prawdziwą uczcą były odwiedziny w Muzeum Sztuki i w Galerii Narodowej. Pierwsze z nich jest tak zasobne, że można je chyba postawić w jednym rzędzie z Ermitażem, Luwrem, Galerią Drezdeńską czy Muzeum Watykańskim. Obrazy Botticellego, El Greco, Rembrandta, Goyi, Zurbarana, Davida, francuskich impresjonistów, to niekiedy tylko, wymienione z pamięci przy tej wspaniałej kolekcji. Małe Węgry urastają w tym zakresie do rangi potentata światowego.

W Galerii Narodowej wśród bogatych zbiorów etnograficznych i malarstwa węgierskiego królują wielkie płótna Mihályego Munkacsy. Znaczenie jego dla sztuki węgierskiej porównać można z rolą, jaką u nas odgrywa Jan Matejko. I u Munkacsyego przeważa tematyka narodowa i patriotyczna. Wiele obrazów ukazuje epizody walki z tureckim ciemiężcą.

Węgry chętnie i masowo odwiedzają swoje galerie. Wszędzie pełno zwiedzających, zwłaszcza młodzieży.

Poza Budapeszt udalo mi się wyjechać na jeden dzień — do Esztergom (słowiańska nazwa: Ostrzyhom), starej stolicy Arpadów, dynastii panującej na Węgrzech od X do XII w. W bazylice w Esztergom znajduje się kaplica, w której spiewano Te Deum Janowi Sobieskiemu, wziętemu tu po zwycięstwie pod Wiedniem. Po drugiej stronie Dunaju leży słowackie miasteczko Sztrowo, którego nazwa węgierska brzmi Parkany. Tu właśnie, pod Parkanami stoczył Sobieski zwycięską bitwę z cofającą się armią turecką. Nad brzegiem Dunaju po stronie węgierskiej znajduje się upamiętniająca to wydarzenie tablica.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Roboty są wśród nas. Brak im jeszcze stalowych nóg i rąk, głowy mają z blachy, elektroniczne oczy i antenę. Nie chodzą ciężkim, przerażającym krokiem, jak na filmach naukowo-fantastycznych.

Na uniwersytecie w Nottingham, w Anglii skonstruowany robot wykonuje bardzo skomplikowane czynności. Jego szarawa „głowa” przypomina z wyglądu pudło od obuwia, a „ciało” — pochyloną tarczę, z której wychodzą trzy „rece”. Ze środka tarczy spogląda tylko jedno „oko”. Dwie „rece” zakończone palco-szczypcami, trzecia — przysawką. Obok metalowej podstawy na której spoczywa, stoi niewielka elektroniczna maszyna cyfrowa, wokół ekrany telewizyjne, płatanina kabli, a u podstawy robota — płytka z matowego szkła oświetlona od wewnątrz. Obok, na stole, leży z pół tuzina różnych przedmiotów, a wśród nich trzy drobne metalowe detale, które trzeba tak wybrać i złożyć, żeby do siebie pasowały. Operator uruchamia zadany program na pulpicie i włącza robota. Ten obraca się wokół swej osi, lustruje „okiem” detale, odwraca się do stołu, opuszcza rękę-przysawkę, wybiera jeden detal, nakłada go na sworzeń, przykrecza, po czym z bezbłędną dokładnością wyszukuje trzeci i łączy go z tamtymi. Robot użył zaledwie jedną trzecią sekundy, żeby „poznać” detale i około sekundy, żeby je złożyć, to jest o wiele mniej czasu, niż potrzebowałby do tej operacji wykwalifikowany pracownik.

W wielu krajach konstruuje się i stale ulepsza te „rozumne” automaty, zdolne do wykonywania przeróżnych czynności, które wykonuje człowiek. Roboty pierwszego pokolenia wykorzystuje się już z dużym powodzeniem w wielu zakładach przemysłowych. Ale o wiele szersze perspektywy otwierają się przed robotami drugiego pokolenia. Należy jednak wspomnieć, że wszystkie roboty mają jedną wadę: są „ślepe”. Ich funkcjonowanie jest ściśle zaprogramowane, pracują niezmordowanie, ale „lepo” wykonując operacje, nawet wtedy, gdy potrzebnych detali nie ma. Przedmioty, którymi manipulują muszą się znajdować w dokładnie oznaczonym porządku i pozycji. Niemniej wraz z „narodzinami” robotów, a w szczególności drugiego pokolenia, przed przemysłem otwierają się nowe perspektywy.

Wiosną tego roku w Birmingham otwarto międzynarodową wystawę robotów. Pokazano na niej już nie automaty, wymawiające poszczególne zdania czy odtańczające taśmy z zapisami muzycznymi, lecz „solidnych pracowników fabrycznych”. Maszyny te pracują przy transporcie, montują samochody, malują podwozia itp. W Związku Radzieckim, w Stanach Zjednoczonych, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Japonii, Francji pracuje ponad trzy tysiące robotów. Są to nie znające zmęczenia, automatyczne, seryjne maszyny, przy pomocy których konstruktorzy próbują wyzwolić czło-

wieka od trudnej i monotonnej pracy. W krajach kapitalistycznych ma to jeszcze inny aspekt: zmniejszenie nakładów produkcji, zwiększenie jej tempa i oczywiście zysków.

Wszystkie rodzaje tych robotów są jeszcze dość prymitywne. Należą do agregatów zdolnych do „brania” i przenoszenia w określonym kierunku określonych przedmiotów. Ale mają także i swoje zalety: w najbardziej trudnych warunkach mogą bez końca powtarzać jedną i tę samą czynność. Są to jednak roboty pierwszego pokolenia, cała seria automatycznych maszyn przeróżnych typów i rozmiarów. Dziś konstruowane roboty drugiego pokolenia, są prawdziwymi mechanicznymi „robotnikami”. Będą „chodzić”, „widzieć” i wykonywać o wiele bardziej złożoną pracę. Niewykluczone, iż uda się je „nauczyć” odróżniać i odtwarzać głos ludzki.

torium dużo już zrobiono w zakresie skonstruowania takiego robota. Większość specjalistów, a wśród nich wybitni naukowcy radzieccy, amerykańscy, angielscy, francuscy i japońscy uważają, że przyszłe roboty powinny umieć znacznie więcej. W Jokohamie pracuje już robot przeciwpożarowy. Jest to aparat o wysokości blisko dwóch metrów i wadze 600 kg. Porusza się samodzielnie, dociera do stref pożaru, w których człowiekowi grozi śmierć. Robot „dźwiga” dwie gaśnie i jest zaopatrzony w kamerę telewizyjną. W Japonii, w 1975 roku, roboty będą obsługiwać na odległość elektroniczne maszyny cyfrowe przy pomocy radia. W 1980 roku pojawią się roboty z dwiema lub trzema „rekami”. W końcu lat osiemdziesiątych oczekuje się na narodziny robotów ze sztuczną „muskulaturą” i z „rekami”, prawie tak ruchliwymi i chwytliwymi jak ręce ludzkie. Roboty zo-

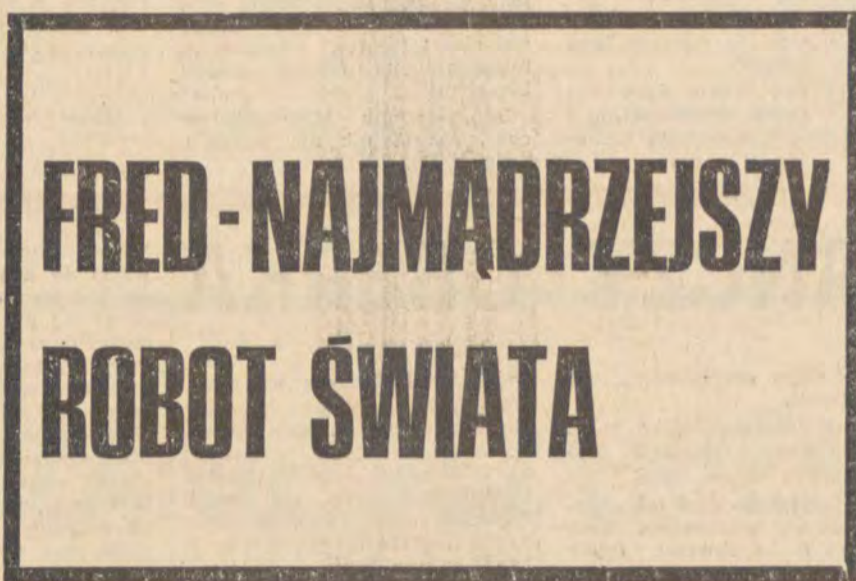
pożarowy już funkcjonuje. Stwierdza obecność gazu nie przy pomocy powonienia, lecz dzięki innym swoim właściwościom. Automat podnosi alarm, kiedy nie widzi jeszcze dymu i kiedy nawet dymem nie pachnie. Czy robot musi być podobny do człowieka? Oczywiście, że nie. Biologowie wiedzą, że kształt ludzkiego ciała jest przystosowany do otaczającego go środowiska i że nie jest przypadkowy. Ale roboty będą musiały działać w przeróżnych warunkach i, co za tym idzie, powinny mieć różne kształty, przystosowane do określonych warunków pracy.

Jak funkcjonuje robot? Jest to elektromechaniczny agregat: informacja krąży po jego przewodach w postaci elektrycznych impulsów, wzmacnianych i przekształcanych w mechaniczną energię silników. Płynię ona z elektronicznych nadajników, które „wytłuskują” z otaczającego środowiska niektóre dane — temperaturę, szybkość ruchu, wyobrażenia kształtu i koloru przedmiotów itd. Roboty pierwszego pokolenia ściśle podporządkowują się określonym programom. Wszystkie odpowiedzi automatu na informację są zapisane na taśmie „mini-kasety”. Automat nie może ani na jotę odejść od programu. Roboty drugiego pokolenia są już obdarzone pewną samodzielnością — mogą „improvizować”. Ustalony program jest zastąpiony przez komputer, który kieruje wykonawczym systemem robota. Jest to podstawowa zmiana, pierwsza próba przejścia do zastrzeżonego „refleksu” do „rozumu”, a ściślej mówiąc, do „symulacji rozumu”.

Uczeń z Edynburga skonstruował jeden z najbardziej „mądrych” robotów w świecie. Nosi imię Fred. Na pierwszy rzut oka „to coś” podobne jest do gigantycznych szczypców, wmontowanych w silnik. Ma dwie „oczu” — dwie kamery telewizyjne: jedną nad silnikiem, drugą pod nim. Terenem pracy automatu jest platforma o powierzchni 3x2 metry. Na niej, w bajecznym nieładzie, leżą porozrzucane części „małego „konstruktora”. Zadanie Freda polega na dobraniu odpowiednich części i złożeniu z nich małego samochodziku ciężarowego jakimś bawią się chłopcy. Jeder z matematyków, który brał udział w konstruowaniu Freda, włącza komputer robota. Fred bledu odnajduje potrzebne części, układa je w określonym porządku, po czym metodycznie składa i wreszcie ustawia samochód na kołach. Fazy montażu zostały zaprogramowane, ale poza tym maszyna musiała „kojarzyć” sama, to jest rozpoznawać części, określać ich przeznaczenie, dopasować itd. Inny uczeń, jak podaje paryski „Point”, Bernard Meltzer, gra z robotem w szachy... i — nierzadko przegrywa. Co więcej „nauczył” go, a raczej „nauczył mózg” robota — komputer, dowodzenia twierdzi, zapamiętując uprzednio pamięć maszyny w aksonomaty.

Rola robotów w społeczeństwie jest określona: są przeznaczone do ulżenia dolni inwalidów, do pomagania człowiekowi, bądź zastąpienia go w najtrudniejszych stanowiskach w produkcji przemysłowej, w głębinach morskich, w kosmosie...

JERZY CZECH



Brytyjski uczeń, prof Meredith Treeng twierdzi, że „szeregowy” robot dnia jutrzejszego będzie „czuł”, będzie miał „rękę z palcami”, będzie chodził, samodzielnie wybierając kierunek i będzie posiadał pamięć elektroniczną, pozwalającą mu na zachowanie w niej poleceń i umiejętności podejmowania elementarnych decyzji.

Jak będzie wyglądał idealny automat do prac domowych? Wzrost — jeden metr, u góry jedyna, ale „wysuwana ręka”. Jej promień działania — dwa metry w linii poziomej, pułap — trzy metry. Będzie przenosił przedmioty wagi do 40 kilogramów. Będzie wyposażony w dwa „zmysły”: wzroku i dotyku. Będzie umiał nakrywać do stołu, sprzątać ze stołu, znosić naczyńka do zlewozmywaka, zaślecać łóżko, sprzątać mieszkanie — od ścierania kurzu do mycia wanny i muszli klozetowej, będzie prał, suszył i prasował bieliznę, obierał owoce...

Już samo tylko wylczenie tych czynności domowych, wykonywanych przez automaty, może wywołać śmiech niedowierzania. Ale prof. Treeng twierdzi, że w jego labora-

staną zaopatrzone w organa czucia — wzroku, słuchu i dotyku — a nawet w „odruchy”. Ponadto otrzymają „zmysły”, których nie ma człowiek: reagowania na działanie pól magnetycznych, drgań ultradźwiękowych, radioaktywności...

Czy to nie nazbyt śmiało zamierzania? Ani trochę. W Związku Radzieckim, USA, Wielkiej Brytanii i innych rozwiniętych krajach badania prowadzi się właśnie w tym kierunku. Postęp widać we wszystkich dziedzinach: w elektronicznej, z jej nowymi integralnymi schematami (tysiąc razy mniejsze od tranzystorów), w konstrukcji i zastosowaniu laserów, których zdumiewające właściwości zaczyna się dopiero wykorzystywać i które odgrywają coraz większą rolę w pamięciowych urządzeniach komputerów oraz „wzroku” robotów i wreszcie w dziedzinie coraz głębszego poznawania struktury i funkcjonowania ciała ludzkiego, którego poszczególne „detale” próbuje się odwzorzyć w maszynie.

Nie wiadomo jeszcze, jak „zaszczepić” automatom zmysły smaku i powonienia. Ale przecież robot przeciw-

## ► KROK W KIERUNKU POKOJU NA BLISKIM WSCHODZIE

### ► PREMIERY SCHMIDTA I GISCARDA d'ESTAINGA

### ► OPTYMISTYCZNA OCENA

Nowy miesiąc przyniósł przerwanie ognia na froncie syryjsko-izraelskim. 31 maja — po długich negocjacjach, prowadzonych pośrednio — podpisano dokumenty o rozdzieleniu wojsk Syrii i Izraela przez ustanowienie strefy buforowej i wprowadzenie do niej specjalnych oddziałów ONZ. Od tej chwili nastąpiło również przerwanie działań wojennych.

Porozumienie zawarto na posiedzeniu wojskowej grupy genewskiej konferencji pokojowej w obecności jej współprzewodniczących — przedstawicieli ZSRR i USA oraz zastępcy sekretarza generalnego ONZ. Prócz zasadniczego dokumentu składają się na nie: dokładna mapa przemieszczenia wojsk oraz protokół, dotyczący statusu jednostek ONZ, które na wspólny wniosek Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, wniesiony do Rady Bezpieczeństwa, mają być powołane w pilnym trybie.

Fakt, iż podpisali oba strony złożone zostały w Genewie, urasta do miary symbolu, podkreśla, że rozdzielenie wojsk jest tylko drogą, prowadzącą do celu. Tym zaś jest trwale uregulowanie kryzysu na Bliskim Wschodzie. Pisałmsy o tym zresztą obszernie przed tygodniem, przypominając, że sprawiedliwy pokój wymaga wycofania się Izraela ze wszystkich okupowanych ziem arabskich oraz uznania i przywrócenia

słuszných praw arabskiemu narodowi Palestyny.

„Wstrzymanie ognia i rozdzielenie wojsk — pisał syryjski dziennik „Al Saura” w komentarzu do porozumienia — nie oznacza jeszcze pokoju... To, co osiągnięto dotychczas dzięki zdecydowanej woli naszego narodu i jego poświęceniu, jest jedynie pierwszym krokiem w kierunku wyzwolenia, które wymaga jeszcze większych wysiłków i jeszcze bardziej zaciętej walki”.

Korespondenci zachodni piszą, że obecnie — po uspokojeniu frontów — problemem nr 1 Bliskiego Wschodu staje się kwestia palestyńska i cytują wypowiedzi czołowych osobistości El Fatah, których sens jest następujący: jeśli Egipt i Syria otrzymają w ten lub w inny sposób zapewnienia o wycofaniu się Izraela z okupowanych terytoriów, to Palestyńczycy nie mają jeszcze żadnej gwarancji utworzenia organizmu państwowego i dlatego właśnie ten problem wysuwa się obecnie na czoło.

Zaniechanie działań wojennych na froncie gołańskim jest niewątpliwie ważnym wydarzeniem, otwiera realne możliwości pokoju na Bliskim Wschodzie — pod tym jednakże warunkiem, że za tym krokiem podjęte zostaną następne: na konferencji genewskiej i z udziałem wszystkich zainteresowanych państw.

Informacja o porozumieniu syryjsko-izraelskim zbiegła się w prasie z oficjalnym podaniem do wiadomości, że 27 bm. prezydent Nixon złożył wizytę w ZSRR. Sądzę, że w czasie kolejnego radziecko-amerykańskiego spotkania na szczycie będzie również mowa o Bliskim Wschodzie — o nowej sytuacji, która sprzyjać powinna trwałym rozwiązaniom.

Wśród wielu wydarzeń ubiegłego tygodnia bez większego rozgłosu przebiegła wizyta nowego kanclerza NRF — H. Schmidta u nowego prezydenta Francji V. Giscarda d'Estainga. Dla obu tych mężów stanu były to premiery: pierwsza zagraniczna podróż w nowej roli H. Schmidta i pierwsze spotkanie V. Giscarda d'Estainga w Pałacu Elizejskim z przywódcą innego kraju. Wiadomo, że tematem rozmów były przede wszystkim problemy walki z inflacją oraz złożona sytuacja gospodarcza Wspólnego Rynku.

Długa jest lista trudności EWG i chyba nieprzypadkowo dwaj rozmówcy — do niedawna ministrowie finansów (co za zbieżność dróg!) — rozpoczęli kontakt między sobą od tych spraw. Sytuacja obu krajów nie jest jednakowa — Francja w bieżącym roku oczekuje deficytu bilansu płatniczego, NRF — nadwyżek, we Francji inflacja osiągnęła ponad 10-procentową stopę wzrostu, w NRF — jest na najniższym poziomie w świecie zachodnim... Istotniejsze jest wszakże, jak ukształtuje się współpraca między Paryżem i Bonn. Na pierwszy rzut oka warunki do współdziałania powinny być pomyślniejsze niż poprzednio. Schmidt, jak podaje prasa, na swym biurku kanclerskim umieścił fotogra-

fię Giscarda d'Estainga, a tenże ciepło wyraził się o Schmidcie, kanclerz boński nie przecenia EWG, a prezydent Francji jest mniej europejski niż jego poprzednik. Jest jednak pewne „ale”. Polega ono na tym, że Giscard d'Estaing widzi powodzenie „procesu budowy Sprawy od starannie przemyślanej sprawy stosunków z Niemcami” podczas gdy Schmidt stwierdza, że „zjednoczenie Europy może nastąpić w sytuacji partnerstwa ze Stanami Zjednoczonymi”. Nie odwołajmy się więc Francji, a kokuje wyrażenie sojusznika z oceanem. I tu właśnie mimo wzajemnej sympatii do siebie obu mężów stanu — ich drogi mogą się rozsejść.

Nie mamy jeszcze dostatecznie wiele elementów, aby skomentować paryskie rozmowy. Zresztą nie one, lecz praktyka najbliższych miesięcy wykaże, czy Paryż i Bonn ocaleją swe stosunki. Dla zachodniej Europy, uwikłanej w coraz te nowe kryzysy gospodarcze, będzie to miało duże znaczenie.

W ub. tygodniu na posiedzeniu Sejmu minister spraw zagranicznych — S. Olszowski złożył informację o wynikach narady Doradczej Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego oraz aktualnych kierunkach polityki zagranicznej PRL. Z obszernego przeglądu sytuacji w świecie wynika optymizm, zmierzamy w kierunku trwałego pokoju, który jest celem polityki zagranicznej państw wspólnoty socjalistycznej. Wiele jeszcze na tej drodze trudności, ale też wiele przeszkód już poza nami.

W. ŚLAWSKI

## ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

W tym zeszycie nosi się długie suknie — i słusznie, bowiem to bezwzględnie demonstrowanie zgrabnych (co gorzej) ud wyżu demograficznego na pewno niczem dobremu nie służy. A zwłaszcza nie służy Rodzinie. I właśnie dlatego „Magazyn Rodzinny” pokazuje panie dość szczerze ubrane, albo dokładnie zawinięte w zwój polskiego lnu, czystej żywej wełny lub białego filcu firmy Teofilów.

Satysfakcjonuje nas życie rodzinne, ale oczywiście nie takie, jak „Życie rodzinne” Krzysztofa Zanussi. Właściwie zupełnie nie wiadomo dla kogo ten pan robi swoje filmy — na pewno nie dla pani Basi z Otwocka, którą nudzą one potwornie. A szkoda, bo Krzysztof Zanussi jest bardzo utalentowany i mógłby zrobić jakiś film, w którym powiedziałaby nam wszystkim, jak żyć i w ogóle.

Niestety — pan Zanussi wymaga, abyśmy na jego filmach

# SŁOŃCE ŚWIECI

myśleli sami, nie chce nam powiedzieć wprost, co jest cacy, a co jest be. Jedyna dobra rzecz, jaką zrobił Zanussi, to film kryminalny dla producenta amerykańskiego. Otóż Zanussi wcale nie zrobił kryminału, tylko pod pozorem sensacji zastanawiał się nad zupełnie innymi sprawami, rozmiękając syte społeczeństwo amerykańskie. I to było słuszne.

Podobnie jest z tematem okrucieństwa w sztuce. Ma oczywiście ono sens w sztuce zachodniej, gdzie tego nieuczynego mieszczaucha trzeba przekłócić, trzeba nim wstrząsnąć. A kim u nas chce wstrząsnąć Janusz Majewski w ohydnych filmie „System”? Naszymi dziećmi chce wstrząsnąć, nasze dzieci chce straszyc obłąkaną Komorowską i wariatem Przybylskim?

Nie z nami te numery Bruner, ty świni!

Ciesz się nas bardzo, że nawet dawni trupiści odwracają się z obrzydzeniem od swojej minio-

nej twórczości. Stanisław Grochowiak, który w swej nierozważnej i lekkomyślnej młodości epatował czytelników brzydota, śmiercią i śmietnikiem — zrozumiał już, jak dalece błędził.

Bo przecież — powiedzmy sobie szczerze — jak harcerz przyczyna, liście się zielenią, „zakochani są wśród nas”. Piosenką na dzień dobry budzi nas co rano Polskie Radio... Gdzie tu miejsce na smutki i komplikacje?

Sztuka jest, jak wiadomo, zwierciadłem życia. Pozostawmy przy tym porównaniu i wyobraźmy sobie jakie wesołe „zajaczki” możemy puszczać, łapiąc w lusterko promyki letniego słońca. Ile to wtedy śmiechu i wesela, gdy komuś mignie po oczach takim błyskiem!

Ten, któremu błysnę, w oczy, akurat nie widzi z

tego blasku, ale dla reszty ile radosnego śmiechu!

I właśnie tak powinno być — myślę sobie — żeby te słoneczne blaski od zwierciadła sztuki rozświetliły nasze serca. Te wszystkie mroczne sprawy niech sobie idą precz. I niech nas Adam Hanuszkiewicz nie bierze na lep „przelamywania konwencji”, niech nam nie mówi o jakichś „racjach artystycznych”. Kobierzece przebarwionych kwiatów lata ścielący się u naszych stóp — czyż nie jest prawdziwie artystyczny? Czyż to „przelamywanie konwencji” nie jest li tylko łamaniem o-wych kwiatków kwitnących na łące?

Słońce świeci, liście się zielenią, radośnie nam coś w duszy gra, a nad polem skowronek śpiewa swoje piosenki. Prawdziwie i artystycznie.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM OKIEM

MUZEA TAKIE I INNE

Po ładnych kilkunastu latach odwiedziłem znów gliwickie palmiarnie i akwarium. Przez te wszystkie lata nie przybył tu ani jeden gatunek ryb, ani jedna szklana przegroda. Budynekki w ładnym miejskim parku zmalały jakoś, pochylły się, zmurszały. Ciasne przejścia pomiędzy akwariami wydają się jeszcze ciśniejsze, z zażym wytrzeszczają ku nam swe beznamienne okna, płotki i mały, smętny szczupaczek. Pamięć naczyni stojących, widzących lokatorów zmarli bezpompnie.

To akwarium było kiedyś ciekawostką Gliwic, całe wyliczki szkolne zjeżdżały tu tylko po to, żeby obejrzeć faunę naszych wód. Miasto rozbudowało się wspaniale, palmiarnia zdaje się dożywać swoich lat. Szkoła.

W Inowrocławiu obejrzeć można muzeum guzików. Nie każdy pasjonuje się guzikami, ale sam fakt, że tyle tego naraz nie zobaczy się nigdzie indziej, podgrzewa naszą ciekawość. Będąc w czeskim Gottwaldowie, nie sposób pominąć muzeum obuwniczego, zawierającego pantofelki, i buciska i skórznie wszystkich krajów i epok, włącznie z tragicznej pamięci drewnianymi, przez Holendrów wymyślonymi sabotami, w jakich przeczłapalem parę lat mojej lagrowej młodości. W Apoldzie — w NRD ogląda się muzeum dzwonoń, w Dreźnie — oprócz oczywiście niezrównanej galerii i szklanej damy — muzeum masywnych biurowych, nawet drewnianych, Francuskie miasteczko Chambéry zafundowało sobie muzeum historii chleba, które bardzo chciałbym zobaczyć, jako familijne a od dawna powiązany z piekarniczą branżą.

Piękne stare rzeczy mają swoich nieustrudzonych wielbicieli. Ale oprócz nich kreją się jeszcze po kraju i po świecie milionowe rzesze turystów, wędrujących bez przerwy za nowością, za specyfiką danego miejsca we wszystkich tego słowa rozumieniach — od specyficznej kuchni, ubioru, obyczaju, poprzez krajobraz, architekturę, historię, po takie właśnie niepowtarzalne, szczególnie, miejscowe ciekawostki: specyficznie dobrane zbiory.

To dobrze, że mamy wiele muzeów regionalnych. Nie można jednak nie przyznać, że w wielu z nich powstają się te same kolowrotki, dzbanki, piśnanki, sierpy i talerze. Różnicę zauważy fachowiec, turysta nie znajdzie tam rewelacji, niczego takiego, co by zapamiętał, „zaliczył”, o czym by warto opowiadać. Dopiero wyjątkowość jakiegos muzeum, wszystko jedno na czym ona polega, czyni je wartym pow-

JAN GONTAL

BOGDA MADEJ

## TOSIEK TAŃCZY OBERKA

Dojeżdżał Jan D. do piątego krzyżka w stanie beznym, zbrzydło mu płacenie bykowego, przeto jął się umizgiwać do dorastającej Marioli, córki państwa R., zajmujących w charakterze lokatorów trzy izby w jego domu. Trzy lata trwały owe umizgi, obłapienia lubieżne w sieni, słodkości różne, majtki koronkowe w prezentach, tudzież kuszenie winem domowej roboty, lecz z Marioli był małolat, nauka jej w głowie, a nie spółkowanie ze starociami, przed Mariolą klasa maturalna jeszcze, więc z zalotów nici.

Zagrała meška дума w pierśiach Jan D., skupił się w sobie i zaczął, zemstę z rzuceniem pląg przeróżnych poprzyściągł. I odszedł w centrum miasta z podniesioną głową do bloków, na wygodę, nieruchomości drewnianą oddając w ręce małżonki Teodora i Lucji P. za 120 tys. zetje.

I wówczas na krańcu periferyjnej uliczki, gdzie już strzechy, kury, piwonie, buszujące w ogródkach króliki, zrobiło się wesolutko, i swojsko, czyli sami swoi zatańczyli oberka. Ale tańczyła tylko jedna strona, tzn. zgrzyliwy Teodor oraz jałowita Lucja, oboje na P., którą obywatel R. postanowili wysłać z chałupy.

Zaczęło się od niewinnych prób kompromitacji i mażenia cisy nocnej. Oto kiedy chcieli już pisać i maciejka pachniała mocno, z pięciobobowego drewniaka wypadają w gaciach Teodor P., za nim jego rozdułona żona w bufiastej różowej koszuli, a znad tej koszuli

wrask bił w przycupnięte senne nozdrza:

— Ludzie, ratujcie, bo ta k. Mariola znow wzięła do łóżka mego Toska!

Pan Tosiek tańczył też oberka solowo, mianowicie kota państwa R. on chwytal, tułów zwierzęcia pozostawiał w sieni, ogon zaś kładł między drzwi i przyciskał sadystycznie, w wyniku czego kot darł się wśród nocnej cisy, że węgiel jest podły. Aby dogryźć panu R., Teodor P. galotki obu jego kobiet zaświłtuśzał żelatyną lub bezbarwnym lakiem. Lucja pracowała z mniejszą finezją: zamknęła na klódkę drzwi strychu, obywatelka P. pałętała się z mokrą bielizną po sąsiadach, a kiedy powiesiła ją na rozciągniętych sznurach między drzewami, tuż przy swoich oknach, Lucja, ciach! kozikiem i mokre fatalazki leciały w piasek. A z okna P.:

— Do usraniej śmierci nie wypierzesz się, babo, he, he!

No i wszystko się zgadzało, bo pan Tosiek wbił hak w cembrowinę i przy pomocy klódkki unieruchomił korbę od walu studziennego. Ale była to tylko uwertura do opery udręk, jaką skomponowali obywatele P. lokatorom R. Widziało się bowiem, jak przedstawiciele rodziny R. dymali z kubelkiem do sąsiadów, gdyż wstęp do śmietnika również został zamknięty; widziało się też pana R., jego żonę i córke bieżących truchciem do sąsiedzkich kibelków, albowiem i spełnianie postawowych czyn-

ności fizjologicznych na terenie państwa P. nie było im dane. Z tym, że pan Tosiek unikając zbędnych wydatków na klódkę, tuż przy wychodku zlokalizował budę ziej bestii imieniem Azor. Półwillk Azor bywał też często spuszczać z łańcucha, grasował z jągotem po ogródku, a przedstawiciele rodziny R., głównie w porze wieczorowej, szczękali przed furtką zębami, czym psa rozdrażniali jeszcze okrutniej. Po pół godzinie wychodził z udanym zaspaniem pan P. i laskawie wpuszczał lokatorów na teren obejścia, nie omieszkując wykryzczyć w noc:

— Wlóczy się to po nocach, lajdacy, ludziom spać nie daje, cholera!

W pogranicznej sieni dochodziło do różnych ekcesów, starc zbrojnych i różańcowych utareczek słownych, a już najmłodszy był wiedy, gdy ob. R. zaczęli się remontować dziurawy sufit w jednej z zajmowanych przez siebie izb. Gospodarz zabronił. Przez ten sufit zaczęła wykurzać lokatorów pani Lucja. Wchodząca ona mianowicie na strych, zlatęła śmieci i przesiewała je dziurami do izby R.; sprytniejszy jednak okazał się pan Tosiek, który ćwicząc oko sikał sobie swawolnie do dziur w suficie...

Nadeszła wiosna, zropaczony ob. R. odcęty nawet od kibla, zrobił pod progiem prokwojacyjną kupkę, lecz na taką kontestację gospodarz zamknął na klódkę furtkę i rodzina R. babrała się po kolana w

## CUKIERKI dla PIŁKARZY

SPORT

Daniel Passent postanowił nie czytać żadnych publikacji, w których występuje „okrągła piłka”.

Trener Górski skarży się, że w szkoleniu kadry w Zakopanem przeszkadza mu nie tyle kiepska pogoda, co natrętni kibice i dziennikarze.

„Przegląd Sportowy” maluczeko, a zamienił się w „Przegląd Piłkarski”. Już w tej chwili w każdym numerze mamy po dwa konfekty kadrowców, ciepłą opowiadkę z ich życia i autograf dla kolekcjonerów. Łódzka spółdzielnia cukiernicza „Rusalka” przygotowała specjalne cukierki „mezzo-we”. Specjal ten podesołano już naszym piłkarzom do Zakopanego, nie zabraknie im go również w Monachium. W ten prosty sposób „Rusalka” przyuczurzyła powszechną troskę o „słodkie życie” naszych ulubieńców.

Mecz kadry z Węgrami w Chorzwie rozegrał się przy pustawych trybunach. Oglądający hałas trąbek co prawda zorganizowano, ale tego prawdziwego dopingu jakoś nie było słyhać. Gwizdy i

śmiech, owszem. Przed meczem trener Górski powiedział, że „każdy z piłkarzy ma po prostu zagrać tak, jak powinien to czynić w czasie finałowych bojów o mistrzostwo świata”. Stefan Rzesot komentując to spotkanie wiele razy zaś podkreślał, że film z meczu będzie interesującym materiałem do dyskusji w grudniu piłkarzy. W dobrze pojętym interesie naszych zawodników powinien to być materiał zatytułowany „Jak na mistrzostwach świata grać nie należy”. Chyba że było to kolejne mistrzostwie maskowanie prawdziwej formy piłkarzy. Tylko po co?

Tęgo samego dnia oglądaliśmy mecz reprezentacji NRD z Anglikami. Teoretycznie forma naszych sąsiadów ani nas ziębi ani parzy. Praktycznie zaś polscy piłkarze powinni dać sobie spokój z oglądaniem filmu z własnego meczu, a popatrzeć, jak grała jedynastka NRD. Na naukę nigdy za późno. I jak to się dzieje, że takie samo, sparringowe, przecież spotkanie, które odbyło się przy pełnych trybunach

i znakomitym dopingu, można oglądać z prawdziwą satysfakcją? Może dlatego, że trener drużyny NRD, po surowej krytyce prasy i kibiców, wystawił w Lipsku jedenastkę w skorygowanym składzie?

Z licznych doniesień prasowych wiemy, w jakich, ciepłarnianych wręcz warunkach, szlifują swoją formę polscy piłkarze. Poniedziałkowy „Express Wieczorny” w sprawozdaniu z ligowych zawodów lekkoatletycznych donosił, że dyżurującego „z ramienia” organizatorów lekarza najpierw przez megafon trzeba było wyzwać do kontuzjowanego Balachowskiego, a potem do Wernera za rękę poprowadził go trener. Trener wiedział co robi, bo lekarz zamiast nogi Balachowskiego określił bandażem nogę zupełnie innego zawodnika. Lekkoatleci, którzy przygotowują się do występów na mistrzostwach Europy, ulegają takim samym kontuzjom jak piłkarze, z tą tylko różnicą, że nie zdobywają ich w ligowo-bratobójczej kopaniu. A Polski Związek Lekkoatletyczny nie może doprosić się

o etaty dla własnych lekarzy. „Express Wieczorny” zatyłował swoje sprawozdanie „Liga królowej sportu wystartowała”. Panowie, kto tu jest królową?

W Zakopanem telewizja przygotowała specjalny program o piłkarzach i kibicach. Wystąpił tam również zespół „No to co!”, śpiewając piosenkę z następującym refrenem:

„Po zielonej trawie piłka gon, albo my wygramy, albo oni. Albo będzie dobrze, albo będzie źle. Piłka jest okrągła, a bramki są dwie”.

Autorem słów jest Ludwik Jerzy Kern, No i co? Czy teraz Passent przestanie czytać Kerna?

A drużyna piłkarzy australijskich, która startuje w tej samej grupie, co RFN, NRD i Chile już wykupiła sobie bilety powrotne do kraju z precyzyjnie ustaloną datą. Po ostatnim meczu w swojej grupie.



# MAGAZYN

## DOMOWE KINO AUTORSKIE

Zadna to sztuka nabywszy za kilka złotych bilet rozsiad się wygodnie w krzesle i biernie kontemplantować cudze pomysły na białym ekranie, zadna to sztuka. Dlatego życzliwie popieramy ideę Domowych Kin Autorskich, w skrócie De KA. Znajdźcie w mieszkaniu swoim skrawek nagiej ściany. Jeśli go nie ma odsuńcie po prostu szafę. Usiądźcie teraz naprzeciw tej ściany, natęście wole i wyobraźnię! Może nie zaraz, może ponateżać się jeszcze trochę trzeba ale ujrzyście wreszcie na ścianie tej nagiej film, a autorem jego będzie wasza dusza. Z czasem i kolorów to to nabierze. Oczywiście, początki są trudne. Ściana chropowata, sennosc... Pierwsza wizja niesłużności polityczne mieć może albo erotyczne dłuższy. Zonę prosicie o cenzurę, aż wersja doskonała powstanie. Lecz i wtedy na laury nie opadajcie. Znowu pod pustą ścianą usiąść należy i tworzyć, tworzyć, tworzyć.

## CORAZ LEPSZE PRZYSŁOWIA

Ukończono wreszcie prace nad zebraniem materiału do nowego serialu telewizyjnego. Będzie to monumentalny cykl pt. „Przysłowia i porzekadła ludu polskiego”. Akcja każdego odcinka oparta będzie na jednym przysłowiu lub na dwóch



porzekadłach. Dzięki wysiłkom realizatorów, większość przysłów ulegnie znacznemu uproszczeniu. I tak pierwszy odcinek osnuty będzie na polepsznym już przysłowiu „Prostyutka prostytutki głowy nie pozabaw!”. Według nie sprawdzonych jeszcze danych kinematografia

TRAFA ADAPTACJA  
Według nie sprawdzonych jeszcze danych kinematografia

nasza ma przystąpić do realizacji filmu „Mały Książę” wg znanego opowiadania Saint-Exupery'ego. Tytułową rolę zagra zapewne Roman Kłosowski, węża zaś ktoś długi i śliski.

## POSZUKIWANIA NOWYCH FORM

Dziennik Telewizyjny nie ustaje w poszukiwaniach nowych form przekazu. Zapewne przychylnie zostanie przyjęte czytanie wiadomości z przybliżeniem oka. W praktyce wyglądać to będzie np. tak: lektor mówią: „Kapitałisci amerykańscy to najlepsi przyjaciele klasy robotniczej” — zamruga okiem do telewizora. Wtedy od razu wiadomo, że to lipa, bo kapitałisci amerykańscy to krwiopijcy. Nowy sposób zmusi widzów do większej uwagi ale i zabawy będzie więcej.

## ZE WSPOMNIENIEM NASZEGO SZWAGRA

Po obejrzeniu odcinka „Odysei” nasz szwagier przypomniał sobie, że po ostatnich

mięśniami też długo nie mógł powrócić do domu.

## ZWIERZĘTA, A ŚRODOWISKO REŻYSERSKIE

Jest rzeczą ciekawą i charakterystyczną, że zwierzęta hodowane przez ludzi, przejmują zwykle cechy swoich opiekunów. Zwierzęta hodowane przez reżyserów filmowych nie stanowią tu wyjątku. Tak np. chomiki u reżyserów zaprzestają tzw. „Chomikowania”, stają się rozrzućne i chętnie pożyczają ziarenka swoim kolegom. Zwierzęta hodowane przez reżyserów filmowych nie stanowią tu wyjątku. Tak np. chomiki u reżyserów zaprzestają tzw. „Chomikowania”, stają się rozrzućne i chętnie pożyczają ziarenka swoim kolegom. Zwierzęta hodowane przez reżyserów filmowych nie stanowią tu wyjątku. Tak np. chomiki u reżyserów zaprzestają tzw. „Chomikowania”, stają się rozrzućne i chętnie pożyczają ziarenka swoim kolegom.

## SMUTNE, ALE STANOWCZE PRZYPOMNIENIE

Rodziców dzieci urodzonych w dniu dzisiejszym prosimy o cierpliwość, równocześnie przypominając im, że Ich mała pociecha dopiero za lat siedem będzie mogła obejrzeć wesoły film „Zaczarowane podwórko”. Jednak w wypadku, gdyby rozwój umysłowy dziecka przebiegał prawidłowo, można powyższy okres przedłużyć o jeden rok.

# POWIĘKSZENIA

## WYROZUMIAŁOŚĆ

Po chorowskim meczu kadry PZPN z ligą węgierską „Przebieg Sportowy” zamieścił korespondencję z Zakopanego pt. „Magnetowid nie kłamie”. W korespondencji tej z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy:

„Nie chciałbym się narazić na to, żeby ktoś mi przytoczył powiedzenie o złej baletnicy, ale są pewne tzw. okoliczności łagodzące. Nie mówił wprawdzie o tym trener Górski, ale w jakiejś mierze na postawę całego zespołu musiał wpłynąć fakt, że piłkarze mieli za sobą ponad 4-godzinny podróż autokarem. Droga z Zakopanego do Chorzowa odbył w bardzo dobrych warunkach, ale piłkarze nie lubią tak długich autokarowych wypraw. Poza tym przed meczem musieli jeszcze pojechać do... Krawców, którzy szyją im garnitury na mistrzostwa świata. Była to zresztą konieczność. Są to sprawy drobne, ale często drobni mają wpływ na samopoczucie zawodników”.

Zgodnie z prośbą nie przytoczymy powiedzenia o złej baletnicy, ale autorowi — Mirosławowi Skórkiemu przypominamy tylko, że jeszcze ze szkoły podstawowej powinien pamiętać inne powiedzenie: „Paluszek i główka to głupia w y m ó w k a”.

## DWÓJKA Z HISTORII

W „Gazecie Ziemi Piotrkowskiej” Szczerowicz przypomina: „Demokryt przed wiekiem powiedział...”

Demokryt — co można sprawdzić choćby w „Małej Encyklopedii Powszechnej” — żył w latach około 460—370 przed naszą erą. Nie mógł więc nic powiedzieć przed wiekiem. Chyba, że w czasie wywoływania duchów.



Fot. Archiwum

## FELIKS RAJCZAK FRASZKI

### CREDO

Samo credo jeśli ci nie do.

### PRAWO MECHANIKI

W naszych świecie piątek koło Wciąż wysuwa się na czoło.

### DEWIZA

W świat rozkoszy i nędzy Można wejść bez pieniędzy.

### NIEZASTĄPIONY TWÓRCA

Ochodząc rzekł skromnie „Zastąpi mnie pomnik”.



Fot. Archiwum

## Wspomnienia Karin Stanek (1)

# GRAŁAM W MARZENIACH NA GITARZE

Wiele osób jeszcze do dziś spotykając mnie po raz pierwszy, zapytuje, jak brzmi moje prawdziwe imię. Ponieważ imię jest rzadko spotykane, więc większość myśli, że to pseudonim. Karin — to moje prawdziwe imię, a Stanek — prawdziwe nazwisko.

Wcześniej poznałam trudny życia, może zbyt wcześnie musiałam stać się dorosła. Byłam zaledwie w szóstej klasie szkoły podstawowej kiedy warunki domowe zmusiły mnie do przerwania nauki. W domu było sześcioro dzieci i sama matka utrzymywała nas, pracując ponad siły. Kiedy starsza dwójka poszła do pracy, ja musiałam zająć się domem i trojgiem młodszego rodzeństwa. Wstawalam skoro świt, budziłam

dzieciaki, szykowałam im śniadanie, a potem wsadzałam całą trójkę w „rodzinny” wózek i odstawiałam do przedszkola. W domu czekało na mnie pranie, sprzątanie, zakupy.

Tak płynął dzień po dniu, jeden podobny do drugiego. Czasem zdarzało się, że dorywałam się choć na chwilkę do ciekawej książki, rzucałam się wtedy wraz z bohaterami w wir szalonych przygód, poznawałam dalekie, nieosiągalne, pełne tajemnic

kraje. Lubiałam te chwile. Błądziłam wzrokiem po mapie świata, zwiędziałam nieznane morza i lądy. Lecz brutalność życia nie pozwalała na zbyt długie przebywanie w oieknych krajach. Szybko musiałam wracać do rzeczywistości i do pracy. Upiływały dni, upływały miesiące. Każdego dnia miałam moc pracy w domu, każdego dnia robiłam to samo i tylko z zadrzećią mogłam popatrzeć przez okno, jak moje koleżanki, leniwie i z niechęcią, idą do szkoły. One szły, bo musiały. A ja chciałam i nie mogłam. Może komuś trudno w to uwierzyć, ale ja naprawdę chciałam. Lubiałam się uczyć, poznawać wciąż coś nowego, ciekawego. Było tylko jedno wyjście — szkoła wieczorowa. Okazało się, że to też nie takie najlepsze wyjście, bo przecież musiałam przedłożyć zaświadczenie, że pracuję. W środku lata rozpoczęłam długie wędrówki od biura do biura w poszukiwaniu pracy. Niestety, okazało się to prawie niemożliwe, abym ją zdobyła, bo przecież nie miałam 16 lat i nigdzie nie chcieli mnie przyjąć. Musiałam użyć podstępny — podrobiłam po prostu datę urodzenia — i udało się. Zostałam przyjęta do Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Bytomiu jako pomoc biurowa. Życie moje wprawdzie uległo zmianie, ale obowiązków nie ubyło, wprost przeciwnie. Od godziny siód-

mej rano biegłam z grubą teczką pełną korespondencji i piśmiek z piętra na piętro, z pokoju do pokoju, z biura na pocztę itp.

Czy śpiewałam kiedyś jako dziecko? Ależ oczywiście, razem z innymi dziećmi śpiewałam na wycieczkach szkolnych, koloniach, czasem dla koleżanek. A kiedyś nawet śpiewałam solo na kolonii. Miałam wtedy może 11 lat. Było ognisko, na które zaprosiliśmy inną kolonię. Śpiewałam dwie modne wtedy piosenki — „O my papa” i „Pieśń o matce”. Miałam tak ogromną tremę, że nie słyszałam sama siebie — ale okazało się, że nie było tak źle, bo otrzymałam nawet duże brawa i przy okazji zyskałam sporo nowych przyjaciół.

Właściwie nigdy nie marzyłam o gitarze, to czysty przypadek sprawił, że nagle zapragnęłam ją mieć. Pracowałam, wieczorem chodziłam do szkoły, a na rozrywkę czasu nie starczało. Ale któregoś niedzieli odwiedził nas wujek. Wiedziałam, że gra na gitarze, a ponieważ przyniósł ją ze sobą, więc poprosiłam aby coś zagrał. Słuchałam i patrzyłam jak on to robi, jak uderza w struny, gdzie układa palce. Kiedy skończył, poprosiłam, aby pozwolił mi też spróbować. Nie było to oczywiście łatwe, ale już po chwili spodobało mi się tak ogromnie, że byłam zupełnie oszaloniona, prawie nieobecna. Czulałam, że chcę grać, że muszę, że siedzi we mnie coś, co może się wyzwolić właśnie dzięki gitarze — to mnie męczyło. Od tego dnia chodziłam wciąż zamysłona, nuciłam cicho poznane piosenki i grałam w marzeniach na gitarze. Tak długo biegałam mamę, aż kupiła mi gitarę, zwyczajną za 150 zł. Były na niej wymalowane kwiaty, gwiazdy, naklejone zdjęcia — była cudowna.

Mama moja grała na gitarze, stała się więc moim pierwszym nauczycielem. Już po pierwszym dniu nauki potrafiłam sobie akompaniować do kilku piosenek. Moje zainteresowanie muzyką rosło z dnia na dzień: każda wolna chwile spędzałam z ukochaną gitarą. Słuchałam radia i modnych wtedy piosenek Jerzego Połomskiego, Marii Koterbskiej, Bogusława Wroblek i próbowałam sama śpiewać i grać.

Z ogromną przyjemnością załatwiałam mamie codzienne zakupy w pobliskim sklepie. Biegałam wtedy przez placyk, na którym każdego dnia po szkole zbierała się grupka chłopców z gitarami i grali modne w tym czasie piosenki. Stawałam za drzewem zasłuchana i zapałzona, nieruchoma, stałam tak czasem godzinę a nawet dwie. Wreszcie przywrócona do świadomości jakąś dłuższą przerwą, zdawałam sobie raptem sprawę, że minęło już tyle czasu, mama czeka, a ja prawdę mówiąc, nie pamiętałam nawet co miałam kupić. Dostawałam za to burę w domu, ale zawsze starałam się jakoś wynagrodzić to mamie, która



kochałam najbardziej w swoim życiu, więc pomagałam jej we wszystkich pracach do późnej nocy.

Wyczekiwałam z niecierpliwością każdej niedzieli, mogłam wtedy tak dużo czasu poświęcić grze. Przez kilka miesięcy uczyłam się u profesora muzyki. W tym czasie opowiadałam tyle chwytliwych, że potrafiłam już zaakompaniować sobie do każdej piosenki. Gitara stała się moim nieodłącznym towarzyszem. Musiałam jedynie rozstać się z nią w godzinach pracy, bo i kiedy szłam do szkoły. Ale za to śpiewałam. Biegałam teraz po piętrach mojego biura rozśpiewana. Nucałam również biegając po mieście i załatwiając sprawy służbowe w katowickich biurach.

Poznawałam coraz więcej grających kolegów, którzy wprowadzili mnie do klubów młodzieżowych i Domów Kultury. Przez jakiś czas należałam w Domu Kultury w Bobrku do zespołu instrumentalnego, składającego się z kilkunastu osób, byli to gitarzyści i akordeoniści. Uczyliśmy się grać pod kierunkiem nauczyciela muzyki, a potem zespół nasz brał udział w imprezach organizowanych w Domu Kultury. Grałam w tym zespole jako jedyna dziewczyna.

Wzwał mnie kiedyś do siebie mój zwierzchnik i powiedział: „Słyszałam, że pani śpiewa w różnych tam zespołach. Niech się pani zdecydować, albo praca, albo śpiew. Co, chce pani zrobić karierę? Tu mi kaktus wyrosnie, jak pani, coś osiągnie”.

Ciekawe co z tym kaktusem?

c.d.n

Oprac. A. KRUSZKIEWICZ

